

PIELGRZYM

III Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie
im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego



Kielce 2024

redakcja: Marek Maciągowski
skład i projekt graficzny: Dariusz Ścisło
grafiki AI Piotr Kaczmarczyk, wg. pomysłu Dariusza Ścisła
Copyright © by Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej, Kielce 2024
wydawca: Wzgórze Zamkowe, ul. Zamkowa 3, 25-009 Kielce
www.zamkowa3.pl
www.ompio.pl
Kielce 2024

ISBN: 978-83-944242-9-9

SPIS TREŚCI

Marek Maciągowski Słowo wstępu	4
Marta Malon Droga	7
Stefan Badorski Coma	15
Anna Błachucka Jakkolwiek zawieje wiatr... ..	23
Emilia Branecka-Ledwoń Fudzi	31
Dominik Budny Liguryjczyk	35
Izabella Gądek in hoc signo vinces	43
Aleksandra Kuczys Kobieta w drodze	53
Mariola Lewandowska Już nie zawróci	63
Katarzyna Nowak-Szelejewska Ciocia Tusia wchodzi do klasztoru	69
Ewa Nowakowska Łańcuch	77
Mariusz Olejniczak Szukam pastora	83
Piotr Porzyc Pielgrzym Emeryk	91
Agata Poważyńska Tunel pełen ciszy	101
Patrycja Pelica Wszystkie stopnie Grabarki	109
Grzegorz Roda Prolog	115
Mateusz Świstak Zegarmistrz	123
Grażyna Tatarska Nie ma to tamto, wracaj	127
Elżbieta Wojciechowska Nie jesteś sam.....	135
Łukasz Wołczyk Fosa	141

Słowo wstępu

Zakłęty w kamień księżę Emeryk, pielgrzymujący na Święty Krzyż, tak znany z młodości Gustawowi Herlingowi-Grudzińskiemu, wracał do niego po latach prowokując do stawiania podstawowych pytań o sens ludzkiej wędrówki przez życie, o sens istnienia i człowieczeństwa. Czy ta wędrówka gdzieś prowadzi, czy ma swój cel, który dane będzie osiągnąć? Czy droga, którą się podąża nie prowadzi donikąd, czy warta jest poświęcenia? Czy może sama wędrówka przez życie i poszukiwanie dobra jest celem i nieważne czy kiedykolwiek go się osiągnie?

Motyw świętokrzyskiego pielgrzyma, posuwającego się mozolnie do celu o jedno ziarno piasku każdego roku, ważny i ciągle obecny w życiu pisarza stał się też kolejnym motywem Ogólnopolskiego Konkursu na opowiadanie im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Trzecia edycja konkursu zainspirowała 321 autorów. Zdecydowali się oni zmierzyć z tematem wędrówki, wiedząc, że nie jest to łatwe zadanie, tak jak nie jest łatwe zmaganie się z życiem, poszukiwanie jego sensu i jego prawdy, nawet wtedy, gdy już wiadomo, że celu nigdy się nie da osiągnąć lub wędrówka przestaje mieć sens.

Opowiadania nadesłane na konkurs wiele mówią o problemach współczesnego życia. Autorzy są wnikliwymi obserwatorami świata. Tworzą literacką fikcję, w której jednak, jak w lustrze, odbijają się wszystkie problemy codzienności. Ktoś szuka absolutu, pragnie spotkania z Bogiem, choć spotykają go rozczarowania. Ktoś inny zmagają się z losem i wiem, że musi być silny dla chorego dziecka, choć przeciw niemu jest cały świat. Jeszcze inny na swej drodze spotyka kogoś, kto każe mu spojrzeć na dotychczasowe życie. Wędrówka trwa przecież nieprzerwanie niezależnie od tego czy jest się w świętokrzyskiej wsi, czy gdzieś w dalekim świecie lub wymyślonej krainie własnej fantazji. Czasem przynosi ukojenie, czasem rozczarowanie. Ale trwa. W każdym miejscu trzeba dokonywać wyborów.

W nagrodzonym opowiadaniu jego literacki bohater mówi: - Czasem myślałem w takich momentach o życiu, czasem nie myślałem w ogóle. W mojej głowie stoczyłem za dużo bitew, zanim tu dotarłem, do mojej ostatecznej opoki. Byłem podróżnikiem, trochę pielgrzymem...

Widzę Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, gdy już w sile wieku przyjechał odwiedzić rodzinne Kielce. Mógłby wypowiedzieć te słowa...

Marek Maciągowski





Droga

Tamtego dnia niebo nad Warszawą było srebrne.

Cieężko jest mi powiedzieć, dlaczego to akurat ten szczegół tak bardzo utknął mi w pamięci. Być może reszty nie chciałem pamiętać. Po sześćdziesięciu trzech dniach walk niebo, którego nie przecinają świszczące pociski było jak ostoja nadziei. Rozległe, wolne, przejrzyste. Na jego tle unosiły się jeszcze resztki dymu. Nasza wola walki wisiała jeszcze w powietrzu, jeszcze dało się jej dosięgnąć, była na wyciągnięcie ręki. Była tam jeszcze długo, choć podpisana kapitulacja budziła wśród naszego oddziału mieszane uczucia. Byliśmy skrajnie wykończeni, od tygodni wszyscy marzyliśmy o odpoczynku. Niewielu z nas umiało jednak o nim myśleć z poczuciem braku satysfakcji. Mityczne spełnienie, które tak bardzo wszyscy czuliśmy pierwszego sierpnia, uleciało już jakiś czas temu, a przecież walczyliśmy do końca. Daliśmy z siebie wszystko. Ja też, prawda? Srebrne niebo było taflą odbijającą nasz stan, było naszymi myślami zawieszonymi ponad krajem, naszą flagą. Srebrnym triumfem. *Gloria victis.*

*Nad stanami jest i stanów-stan.
Jako wieża nad płaskie domy
Stercząca, w chmury...*

Opuszczanie Warszawy było przygnębiające. Ciężko mi było znaleźć odpowiednie słowa, by ją pożegnać i odpowiedni ton, by owe pożegnanie nie było do reszty pozbawione nadziei. Wspominając ruiny kamienic, barykady na ulicach, wszechobecne zniszczenie, budzą się we mnie wyrzuty sumienia, że nie zrobiłem tego poprawnie. Moje „do widzenia” musiało być na tyle jałowe, że miasto już nigdy nie wróciło do stanu, który pamiętam najwyraźniej. Do stanu sprzed powstania, sprzed wojny. Warszawa się zmieniała. My się zmieniliśmy. Te pożegnanie odbija się echem w mojej głowie do dziś. Błądzi i zakręca w odmęty mojej pamięci. Przyzwyczailem się, że powraca ono do mnie na co dzień, czasem gdy wiązę buty, albo robię śniadanie ktoś stoi za mną i mówi, że to

moja wina. Opuściłem miasto razem z cywilami, podobnie, jak niektórzy powstańcy. Być może stchórzyłem, nie wiem, niezbyt pamiętam impuls, który mną wtedy kierował. Miałem siedemnaście lat, a to chyba zbyt mało, żeby taka decyzja była świadoma. Byliśmy dziećmi, dlaczego musiało nas to spotkać? Dlaczego musieliśmy wybierać? Przeżyliśmy własną śmierć. Warszawa ją przeżyła. Przeżyć śmierć.

Gdy jednak, przeciwnie, myślę o życiu podczas powstania, wspominam szczególnie jedno wydarzenie. Pod koniec sierpnia, podczas krótkiej przerwy od walki, zauważyłem jak obok kamienicy, tuż pod barykadą, przebiega kot. Czarny, delikatnie tylko przyprószone kurzem, jakby na grzbiecie nosił płatki śniegu. Być może kot był naszą nadzieją, że gdzieś tam czeka na nas życie. Być może skomplikowane, niepewne i pełne strachu, jednak to nadal życie. Owe życie obserwowałem z okna na parterze. Przebiegło pod barykadą, kuląc ogon, ze sprytem przedostając się na drugą stronę ulicy. Ze zdziwieniem przyglądałem się mu i temu, z jaką dokładnością to zrobił. Zupełnie jakby sam brał czynny udział w walce. Wskoczył w grono naszego oddziału budząc poruszenie nawet wśród tych, którzy stracili już cały swój zapał jakiś czas temu. Rozejrzał się i zaczął się przechadzać pomiędzy ludźmi. Podeszedł do naszej sanitariuszki, spojrział na nią swoimi zielonymi oczami, jakby prosząc by ta opatrzyła mu skaleczenie na lewej łapce. Niezwykły był to widok; kot z bandażem kroczył teraz dumnie i nieco radośniej. Jak zwycięzca swojej małej bitwy, której sensu nie rozumiał. A może przeciwnie, zastanawiałem się, może on rozumiał więcej niż nam się wszystkim wydawało.

Przyjęliśmy kota w nasze szeregi. Nawet dowódca uległ błaganiom jego wielkich oczu, którymi patrzył kiedy łąsił się wokół jego nóg. Był jak nasza iskierka, nasze życie. Jadł z nami, choć nie było dużo do jedzenia. Spał z nami, choć nie byliśmy w stanie w pełni odpocząć. Walczył z nami, choć nie było czym. Wkrótce również bał się razem z nami, uciekał razem z nami, oswajał się ze śmiercią razem z nami. W przeddzień kapitulacji zniknął. Nasz czarny kłębek nadziei prostu zniknął, bez uprzedzenia. Nie zdążyliśmy się nawet pożegnać. Nie wiedzieliśmy gdzie poszedł. Pogodziliśmy się już z tym, że więcej go nie zobaczymy. W końcu nie dostał od nas imienia, nie wiedzieliśmy nawet kogo szukać, jak wołać. Tęskniłem za nim.

Gdy opuszczaliśmy Warszawę powstrzymywałem się, aby zapytać się ludzi dookoła, czy nie widzieli kota. *Czarny, miły taki, nie widziała pani? Dziecko, a daj spokój z kotem.* Nie było warto, wiedziałem, że to był koniec naszej krótkiej znajomości. W tamtym właśnie momencie zorientowałem się, że w moim życiu zawsze brakowało odpowiedniego „dowidzenia”. Moje pożegnanie z Warszawą, pożegnanie z Kotem, pożegnanie dziesiątek ludzi podczas powstania. Oni zasługiwali na lepsze słowa rozstania. Może gdybym nie był tak przerażony wizją utraty tych, których kocham spotkalibyśmy się jeszcze, może życie pokierowałoby nas inaczej, innymi drogami. Może w innym życiu Warszawa

nadal stoi nienaruszona, może wszyscy ci ludzie nie zginęli tak nagle. Wspólnie trwamy w egzystencji gdzieś pośród gwaru uliczek, niezależnie od wszystkiego innego, żyjemy spokojnie. Gdzieś w innym życiu. Jednak tak nie było, patrzyłem tylko pusto w srebrzyste niebo. To nie była moja wina, prawda?

*Wy myślicie, że i ja nie Pan,
Dlatego że dom mój ruchomy
Z wielbłądziej skóry...*

Ludzie opuszczali miasto z całymimi swoimi dobytками, który byli w stanie zabrać ze sobą w pośpiechu. Tłumy ludzi żegnały Warszawę; niektórzy w absolutnej ciszy, inni łkali lekko. Widziałem dzieci, starców, ludzi, którzy przez ostatnie tygodnie ukrywali się w piwnicach kamienic, by przetrwać. Widziałem cywilów, którzy naprędce pomagali AK-owcom przebrać się tak, aby nie wyróżniali się z tłumu. Nawet nie pamiętam momentu kiedy ktoś oddał mi swoją koszulę, bym mógł przebrać się ze swojej panterki, w której walczyłem większość powstania. Teraz pewnie nawet bym nie poznał tej osoby, wszędzie panował chaos, twarze ludzi zlewały się w jedną, wszyscy przybrali tę samą maskę. Jakieś dwie kobiety obok mnie wplatały sobie głęboko we włosy złotą biżuterię. Tak, by nie została im odebrana, by w przyszłości mieć przy sobie choć drobną wartość i za złotą obrączkę kupić kawałek chleba. Widziałem też dziewczynę, która ukradkiem podeszła za róg ulicy, żeby w szparę w ścianie wepchnąć biało-czerwoną opaskę. Widziałem jej oczy, były pełne nadziei, że za jakiś czas wróci tu i odzyska swój dowód walki. Nie znałem jej. Było to jednocześnie powitanie i pożegnanie, jakieś cicho powiedziane „Powodzenia”. Przez moment pomyślałem, że może ona widziała Kota, to głupie. Nigdy później jej nie spotkałem. Potem wręcz zacząłem się zastanawiać, czy ona w ogóle była prawdziwa. Nie wykluczałem, że to mój umysł, zmęczony i spragniony najprostszego kontaktu, sam wytworzył sobie postać tamtej żołnierki.

Obserwowałem ich wszystkich. Na dworcu, skąd mieliśmy ruszyć w dalszą podróż, stały tabuny ludzi. Wrzeszczących żołnierzy słyszałem jakby przez mgłę. Mój żołądek był ściśnięty, nie pamiętam czy jadłem w przeciągu kilku dni. Wszystko dookoła było tak przytłaczające, że całkowicie zapomniałem o sączącej się ranie na prawym piszczelu. Bandaż zrobiony prowizorycznie z kawałka materiału, już dawno przesiąkł. Poczułem nagle straszny ból, chyba wdało się zakażenie. Starłem się odwrócić uwagę od uciążliwego uczucia, skierowałem ponownie swoją uwagę na ludzi. Dobrze pamiętam dwójkę dzieci, chyba bliźniaków, którzy stali zagubieni pośród tłumu. Nie potrafię sobie wyobrazić uczuć, które mogły im towarzyszyć podczas powstania. Zapewne cudem przeżyli, ale nawet po takim cierpieniu nie dane im było zaznać spokoju. Ich życie już na zawsze będzie naznaczone wydarzeniami, na które oni nie mieli wpływu, postaci tragiczne. Patrząc

na dziewczynkę zwróciłem uwagę na jej warkocze, które przewiązane były różowymi wstążkami. Różowe wstążki. Poczulem nagle delikatny zapach jaśminu. Bóg wie, czy były to może perfumy jednej z tylu kobiet, które mnie mijały, czy moja wyobraźnia, która od tygodni nie dawała mi spokoju. Czulem się jak we śnie, na chwile zamykając oczy zobaczyłem wiejski krajobraz. Żółte pola pszenicy były takie jak dawniej, a na horyzoncie rosły te same drzewa. Śmiech. Uczucie, że wszystko jest na swoim miejscu, smak kompotu i porzeczek zerwanych prosto z krzaka. Pamiętam, lato tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego. Zobaczyłem wierzbę przy alei, była jak z obrazu Moneta. Jej pastelowo-zielone liście tańczyły razem z wiatrem. Szelest trawy. Odwróciłem się i spojrzałem przed siebie. Była tam. Była tam jak dawniej, tak samo piękna. Miała na sobie żółtą sukienkę w kwiatki i warkocze przewiązane różowym wstążkami. Pachniała jaśminem. Nie, to nie prawda. Jej sylwetka zniknęła za mgłą. Kolejne ukłucie w nodze.

Uważaj jak chodzisz!

Otworzyłem oczy i rozejrzałem się dookoła. Nie było pól, nie było wierzby i nie było jej. Był przykry zapach krwi i brudu. Byli ludzie, których nie znałem i których, o dziwo, nie chciałem poznawać. Chciałem tylko być w domu. Wtedy dotarło do mnie, że już go nie mam. Został pogrzebany razem z tysiącem innych domów. Umarły domy, umarli ich mieszkańcy.

Potykałem się o własne nogi, a do Pruszkowa została jeszcze długa droga. Ciągle towarzyszyło mi dziwne oniryczne uczucie, jakbym szedł w póżnie. Tłum ludzi był jak morze. Szerokie, którego fale kaskadowo zbliżały się w stronę brzegu, ciemne, sięgające po horyzont. Najbardziej przerażający był widok osób, którym nie udało się dotrzeć do końca podróży. Padali bezwładnie w otaczających ich ludzi. Czasem znienacka, czasem widziałem, że już jakiś czas nie czuli się na siłach, a upadek był ostatecznym wynikiem nadchodzącej drobnymi krokami śmierci. Bardzo nie lubiłem tego słowa. Nie tylko ze względu na jego znaczenie, ale też tego, jak brzmiało wypowiedane. Miękkie początek słowa, *Ś* pędzące jak wiatr, *M*, które delikatnie i pysznie osiadało na wargach, gwałtownie skontrastowane z *R*, wiercącym i kolącym w język, zakończone krótkim *Ć*, jak ostatni dech, cichy szept wypowiedziany na chwilę przed opuszczeniem świata. Nie lubiłem *śmierci*.

Żadna droga nie była dla mnie tak obciążająca, jak droga do Pruszkowa. Choć było to kolejne wydarzenie, jakby wytarte z mojej pamięci. Przeplatające się co jakiś czas ból w nodze, krzyk, czyjś płacz. Co jakiś czas pytałem, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Czasem ktoś dał mi część swojego bagażu, czasem brałem dzieci na ręce aby odciążyc ich matki. Lubielem trzymać dzieci, nawet wtedy, w tym tłumie, dawały mi jakąś radość i pewną nadzieję. Z pewnym sentymentem myślałem: *przecież też kiedyś taki byłem*. Dalej

bacznie obserwowałem ludzi. Wszyscy wędrowaliśmy. *Pielgrzymi Warszawy*. Czasem tylko okoliczni mieszkańcy zdążyli podarować nam coś do jedzenia. Mimo wszystko, niewiele wtedy zjadłem, tyle co nic. Wciąż byli przecież bardziej potrzebujący ode mnie.

W obozie przejściowym zostaliśmy *posegregowani*. Zdolni, niezdolni do pracy, ci, których należy wywieźć do Niemiec, albo w głąb Generalnego Gubernatorstwa, wszyscy byli jacyś. Ledwo widziałem na oczy, widok przede mną rozlewał się coraz bardziej. Przez chwilę czułem się jak impresjonista, który widzi świat ulotnym, w którego oczach chwila trwa dłużej niż u przeciętnego nie-artysty. Ale nie byłem artystą. *Kolejne uklucie w nodze*. Nie byłem impresjonistą, żaden ze mnie malarz. Nie byłem też pisarzem, choć przez moment poczułem jakbym wędrował przez moje własne *Stępy akernańskie*, samotny, daleko od domu. Wtedy nagle poczułem, że tracę całkowicie panowanie nad swoją świadomością, a świat stopniowo ściemniał.

*Przecież ja — aż w nieba łonie trwam,
Gdy ono duszę mą porywa,
Jak piramidę!*

Byliśmy pod wierzbą. Słońce już zaszło, a na zachodzie widać było Wenus, ciepły letni wieczór. Leżała na kocu z głową opartą o moje nogi, a ja patrzyłem na nią, próbując na kliszy swojego serca zapisać każdy szczegół jej twarzy. Zapamiętać kolor włosów, zapamiętać pasję w jej czekoladowych oczach, zapamiętać jej kąciki warg, które unosiły się aksamitnie co jakiś czas. Swoim ciepłym głosem czytała mi swój ostatnio napisany wiersz. Próbowałem zapamiętać każdy wers, który stworzyła. Coś tam było o przemijaniu, chyba tęsknocie. Było tam kilka słów, które czułem, że były do mnie, chociaż nie zostało to wprost powiedziane. Słowa stały się dziwnie niewyraźne. *Gdzie ja jestem?*

Przeniesiono mnie w półprzytomnego do szpitala. Pielęgniarki opatrzyły mi nogę, na szczęście ból ustał, przynajmniej chwilowo. Przez chwilę poczułem się lepiej, ale ciężko jest wyważyć które zło jest lepsze. Było trochę lepiej niż źle. Nawet warunki nie były tak tragiczne, było dosyć czysto. Obok mnie leżeli jeszcze inni chorzy, którzy wpisani zostali na tą samą listę co ja. Wbrew pozorom dawało to nadzieję, choć początkowo nie byłem w stanie w to wierzyć. Ani w to, ani w cokolwiek innego, moja wiara umarła. Wpisanie na listę chorych umożliwiało potem łatwiejsze opuszczenie obozu. Potem dowiedziałem się, że polskie pielęgniarki robiły wszystko, aby jak najwięcej osób uchronić od tego piekła i wpisywały na listę, nielegalnie, osoby zdrowe. *Absurd, chcieć być uznanym za chorego*.

W szpitalu leżałem jeszcze kilka dni. Pierwszy poranek dał mi poczucie, że będzie dobrze. Tak po prostu, bez zbędnych metafor, zwykle dobrze. Rozglądałem się po sali, patrzyłem przez okno. Niebo dalej było srebrne, tylko trochę jaśniejsze. W rogu pomieszczenia usłyszałem szelest, jakiś znajomy dźwięk. *Zza jednej z szafek z opatrun-*

kami wyszedł czarny kot, którego ogon krążył w powietrzu. Dziwnie niestrwożony zaistniała sytuacja, zaczął przechadzać się pomiędzy łózkami, a potem spojrzął się na mnie. Kot? To nie możliwe. Wyglądał znajomo, jakbym kojarzył ten wzrok zielonookiego zwierzęcia. Do sali weszła właśnie pielęgniarka. *Siostrze, co w szpitalu robi kot?*

W rogu sali nie było już żadnego kota. Zrobiłem z siebie głupca, znowu. Proszę odpoczywać, wkrótce się panu polepszy. Chciałem wstać i poszukać kota, pobiec za pielęgniarką, aby ta zobaczyła, że miałem rację. Przecież był jak żywy. Przez chwilę wyobraziłem sobie, że to nasz Kot przyszedł tu za mną z Warszawy. Niemożliwe. Chwilę po tym znowu zasnąłem, nadal byłem zbyt przemęczony ostatnimi wydarzeniami. Nie byłem pewny czy kiedykolwiek wystarczająco po nich odpocznę. Wiele lat później, jak się okazało, nadal musiałem mieć na sobie ciężar tamtych dni, choć z perspektywy czasu wcale mnie to dziwi. *Przeżyć tyle w tak młodym wieku.*

*Przecież i ja — ziemi tyle mam,
Ile jej stopa ma pokrywa,
Dopokąd idę.*

Odkąd znowu mieszkam w Warszawie, czuje się jak wędrowiec, który zatoczył koło. Obszedł glob dookoła i wrócił do domu. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Odkąd wróciłem trochę się pozmieniało, w Warszawie i we mnie. Mój dom sprzed wojny nie istnieje, na jego zniszczonych fundamentach zbudowano nowe – socrealistyczne – budowle. Chodzę tamtędy czasami i czuję, że wspomnienia, które tam stworzyłem nadal są żywe. Choć świadomość, że codziennie przechodzą tamtędy setki niczego nieświadomych ludzi, wcale tego nie ułatwia. Mieszkam teraz bliżej Wisły, zauważyłem, że płynąca woda zaczęła mnie uspokajać na starość. Chodzę tam czasami wieczorem i patrzę na rzekę okiem impresjonisty. Jednak nadal artystą nie jestem. Mieszkanie mam małe; z oknem z pięknym widokiem, czerwonym fotelem i stolikiem kawowym obok, z wazonem suszonych kwiatów. Koło łóżka stoi regał z książkami, obok wiszą małe obrazki, pejzaże kupione na Starówce od artysty, którego imienia nie pamiętam. Co najważniejsze, nie mieszkam sam. Obok regału leży błękitna poduszka, na której większość doby przespia Kot. Jak się wprowadzałem, siedział pod wejściem do kamienicy i patrzył na mnie swoimi cwanyymi oczami. Z początku nie wierzyłem, bałem się, że to znowu zwidy. Zamruczał, był prawdziwy. Tak samo, jak ten w powstaniu i w szpitalu, tak ten również był czarny. Dziwny zbieg okoliczności.

Wczesna jesień. Liście zaczęły spadać z drzew, ale słońce nadal było rude i ciepłe. Znowu się na nią spojrzałem. Promienie słońca wirowały w kaskadach jej włosów. *Mam pytanie. Jakbyś była zwierzęciem to jakim?* Głupie pytanie.

Swoimi rześkimi oczami spojrzała się na mnie i roześmiała. *Nigdy nie przestajesz mnie zaskakiwać. Znowu śmiech, ten sam, kojący. Chyba kotem, takim czarnym.* Powiedziała i spojrzała się w moją stronę. *To by było ciekawe, gdybyśmy po śmierci mogli wracać na Ziemię w innej formie, prawda? Jedno życie i to w dodatku jako człowiek jest szalenie nudne!* Widocznie miała rację.

Wieczorami siedziałem z Kotem na balkonie. Obserwowaliśmy samochody i gwiazdy, przemijanie. Czasem myślałem w takich momentach o życiu, czasem nie myślałem w ogóle. W mojej głowie stoczyłem za dużo bitew, zanim tu dotarłem, do mojej ostatecznej opoki. Byłem podróżnikiem, trochę pielgrzymem. Spojrzałem na Kota. *Oboje byliśmy.*

Warszawa, Powiśle, rok 1989.

*W opowiadaniu wykorzystano wiersz Cypriana Kamila Norwida „Pielgrzym”



COMA

Piasek jest przyjemnie ciepły. W letnie popołudnia potrafi oparzyć, podrażnić i tak narażone już na odciski i przecięcia stopy. Ale nie teraz. Zaraz będzie chłodny. Kiedy słońce zniknie za wzburzonym, morskim horyzontem. Kiedy utonie bezdźwięcznie, bez skargi, piasek będzie już chłodny.

Już ich nie widać. Zanurzone po kostki w rozdrobnionej mieszance zwierzęcych tkanek, kamyczków, bursztynowego pyłu może. Szukają chłodu. Im głębiej, tym chłodniej. Jak we mnie.

Poruszam stopami, a powstałe piaskowe wybrzuszenia zdradzają ich obecność. Nie ukryłyby się przed czujnym wzrokiem sowy. Jak wyklute przed chwilą z pozornie bezpiecznych skorup żółwie, wyłaniają się powoli spod powierzchni piasku. I tak jak one wiedzą, jakie to niebezpieczne pozostawać miejscu. Jakie to niebezpieczne czekać. Nie biec.

Chcą biec. Chcą mnie nieść wiedzione instynktem i żadną pewnością. Bez kompasu i strzałek. Nieświadome bezruchu jednej tylko gwiazdy na rozgwieżdżonym niebie. Chcą biec. Czuję to napięcie mięśni.

Już nie siedzę. Nie patrzę już na morze. Pozwalam im iść. Nie myślę. Stopy są mądre. I już nie w bezruchu. Nie czekam na przypływ. Pozwalam im iść. Nie tęsknię. Moje stopy są mądre.

Idę brzegiem morza, a spienione fale zacierają ślady.

Mam takie twoje zdjęcie, synku, kiedy stoisz w wełnianych skarpetkach. Trzymasz w dłoniach jakiś talerzyk. A na tym talerzyku coś jest. Pamiętasz, co to? Ja pamiętam. Kawalek tortu, który zrobiłam na twoje trzecie urodziny. Myślałeś, że świece też są do jedzenia. Pamiętasz? Ja pamiętam. Dobrze, że zauważyłam. Mógłbyś to połknąć, a później nie wiadomo, jak by się skończyło. Miałam takie wyrzuty sumienia, że na ciebie nakrzyczałam. To w końcu urodziny. Ale nie mogłam inaczej. To instynkt. Jak będziesz kiedyś rodzicem, to zrozumiesz. To taki dziwny stan, kiedy reagujesz natychmiast. Wiesz, że reagujesz właściwie. Nie wiesz skąd, ale wiesz, że właściwie. Jak będziesz kiedyś, to zro-

zumiesz. A będziesz, prawda? Chciałabym, żebyś był ojcem. Kiedyś. Wtedy przekonałbyś się, wiedziałbyś, dlaczego tu jestem. Dlaczego nigdy stąd nie pójde. Choćbym miała nie jeść i nie spać. Będę tu. Słyszysz? Będę tu.

To trochę tak, jakbym nie miał korzeni. Żadnych podziemnych wici, które trzymają mnie w miejscu niby dla bezpieczeństwa, niby przed wiatrem, niby przed tsunami. Które w zamian za obietnicę przetrwania zabierają wolność, kradną możliwość wyboru. Nigdy nie chciałem tak żyć.

Dlatego nie mam korzeni. Uciekam, kiedy moje pędy stają się za długie. Strzepuję z siebie grudki matki ziemi, pojedyncze owady. I prawie mi nie żal, kiedy idę dalej.

Stałość jest dobra dla drzew. Nie dla mnie. Dla mnie sandały w lato mocno zawiązane rzemieniami wokół kostek. Kozaki na jesień. Nieprzemakalne. Mogę też bosy. Po trawie. Późną wiosną. Tak chyba lubię najbardziej.

Chciałabym zobaczyć ślady moich stóp na wielkiej, papierowej mapie. Zawijasy pojedynczych, czerwonych punkcików, które można połączyć ze sobą jedną linią. Pewnie byłyby miejsca takie bardzo żywo czerwone. Miejsca ulubione, do których wracałem i wracam do dzisiaj. I takie ledwo zauważalne, daleko. I puste, gdzie jeszcze nie byłem.

Nie mam kursu ani celu. Żadnego iksa, który zdradza miejsce zakopania skrzyni ze skarbami. Świątyni, do której zmierzam, żeby oddać swój pokłon. Przepaści, nad którą miałbym stanąć, żeby zadecydować. Góry, na którą miałbym wejść. Jestem koczownikiem i bezwyznaniowcem. Serce indiańskie mam. Stopy indiańskie mam. Chyba pogańskie przyzwyczajenia. Nie mam skrzydeł, nie mam już orlich piór. W wyniku ewolucji, przez miliony lat, zmieniły swój wygląd dokładnie. Przepotworzyły się. W dwadzieścia sześć kości. W trzydzieści trzy stawy. W każdej mojej stopie.

Wczoraj przyszedł do nas Janek. Już się chyba nie boi. Kiedyś było inaczej. Co ja mówię „kiedyś”. Nie tak dawno przecież. Pytał o ciebie. Zmienił się. Włosy ma jakieś dłuższe i nieulożone. A może to przez wiatr. Nie wiem, ale nie podobają mi się. Jest jakiś taki... taki cholernie różowy. Może to przez wiatr, zimno było, a on miał takie wypieki. Kupił mi sernik. Podziękowałam. Nie zjadłam. Gdy wyszedł, wyrzuciłam do kosza. Chciałabym, żeby przestał przyłazić, ale nie umiem mu tego powiedzieć. Ćwiczyłam przed lustrem. Ile razy ćwiczyłam groźną minę i te słowa. Nie przychodź tu więcej. Ale zawsze, kiedy go widzę, mój trenowany z zapalem głos staruchy zamienia się w dźwięczne podziękowanie. Na przykład za sernik. Albo w delikatne „dzień dobry”. Wiedźmie kudły znów są moimi farbowanymi włosami, a szpony znów paznokciami krótko przyciętymi, prawie że do krwi. A zapalka, która miała rozżarzyć suche gałęzie,

szyszki i listowie przytargane nocą na stos, znowu była mi potrzebna, by nastawić czajnik na herbatę.

Pielgrzymowałem. Od łóżka do łóżka. W każdym jednym inna historia, inny zapach perfum i inny odcień czerwieni na ustach. Pielgrzymowałem. Od knajpy do knajpy. Porównywałem ceny. Chyba o to chodzi w życiu. Żeby je czuć. Poznawać smaki z różnych portów. Nauczyć się obsługi steru. Przestraszyć się siły wiatru. No powiedz mi, mamó. Można inaczej? Bez tego całego ryzyka dowiedzieć się, czego się pragnie najbardziej?

Przecież po to właśnie ludzie wyjeżdżają. Rowerem, pociągami, autem, autobusem. Po to, żeby sprawdzić, co lubią najbardziej. I żeby nigdy nie powiedzieć sobie, nie dojść do wniosku, że już jest za późno. Że mogło się kiedyś, ale dziś już nie.

A potem przyszła Justyna. Ona też pamiętała o twoich urodzinach. Myślała, że nie zauważę tego pierścionka na jej serdecznym palcu. Albo właśnie chciała, żebym zauważyła?

Suka.

Ale nawet jeśli chciała, to nic nie powiedziałam. Nie zapytałam. Byłam grzeczna, uprzejma jak zawsze.

Moje życie dzieli się na pół. Na dwa. Ta pierwsza połowa to ja, kiedy otwieram drzwi naszego domu i kiedy wpada tu światło, jakiś kurz z ulicy. I kiedy widzę twarz tego, kto dzwonił do drzwi. Układam rysy twarzy w uśmiech, rozmawiam o polityce. Przecież zawsze się coś usłyszy w tym cholernym radiu. Nie cierpię ciszy. Zawsze tu jest coś włączone. Nawet gdy zasypiam. Chcę czy nie, zapamiętam, co wybudowali, kogo osądzili i za co. Więc rozmawiam. A że ludzie to tchórze, to wystarczy im krótka odpowiedź na pytanie o zdrowie i samopoczucie. Nie drążą. I dobrze.

I jest jeszcze ta druga połowa mnie. Kiedy zamykam drzwi naszego domu. Nastawiam wodę na kawę, której nie zalewam. Włączam pranie i zapominam wyjąć. Ścieram kurze, ale nie wiem po co. Przechodzę z kanapy na fotel, a później na krzesło. Nastawiam budzik, myję okna i kupuję krzyżówki. A później, między wierszami, między nie-praniem i nie-gotowaniem wyobrażam sobie, jak morduję pół świata. I nie przeraża mnie to. Może jedynie dziwi, że tylko połowę. Lepiej mi wtedy. Biorę takie dwie słodkie tabletki. I zasypiam. Hibernuję raczej.

Urodziłem się, żeby być dzikim. Jestem nieoswojony jak kojot. Przyglądam się ptakom. Zazdroszczę im skrzydeł. Zawsze mi za wolno, za mało. Mam w sobie jakieś pragnienie, którego nie mogę ugasić. Zawsze mi za nisko, niewystarczająco za ślisko. Lubię przekraczać granice.

Była taka droga, nie pamiętam dokładnie. Piękna, kręta droga. Letni dzień. Po lewej stronie wysokie trawy, po prawej pola. Zakręty. Kurz, który unosił się za samochodem. Widziałem w lusterku. Nie mam skrzydeł. Mam pedał gazu.

Zawsze coś.

Wiem, kim byłem kiedyś. Wiem, czuję to. Gdzieś pod skórą, gdzieś w żyłach. Jeśli to prawda, że dusza po śmierci zmienia tylko ciało, to moja zapamiętała te tkanki poprzednie. Długie, czarne włosy z niebieskim połyskiem w świetle słońca. Skórę podobną w kolorze do ziemi. Ciemne oczy. Wystające kości policzkowe. Usta duże, umięśnione ramiona. Wiem, czuję to. Kochałem kiedyś konie. Lubiłem jeździć konno. Lubiłem wiatr. Dzisiaj też lubię wiatr.

Ale przecież bywają spokojni Indianie. Muszą też tacy być. Chociaż ja byłem inny. Niepokorny już wtedy. To dusza. Turkusowa, czerwona po brzegach. Opuszcza chore ciało, trafione strzałą, chłodniejsze z każdą chwilą. Opuszcza ciało, wybiera następne i wszystko zaczyna się od nowa. To, kim jestem dzisiaj, to tylko kolejna jej wersja. Dziś urzekają ją konie tylko mechaniczne.

Nie mam wyboru. Ja naprawdę nie mam wyboru.

Wciskam pedał gazu.

Była taka droga, nie pamiętam dokładnie. Piękna, kręta droga. Letni dzień.

– Patrz! Patrz tam! krzyknęła Justyna.

Siedziała na miejscu pasażera. Do tej pory nie mówiła nic. Patrzyła przez okno. Przypominała marmurowy posąg. Umarły, zakłęty w bezruch. Piękny. Ożywiony nagle.

Spojrzałem w kierunku wskazanym przez jej wyciągniętą rękę. Przez palce, na których pierścienie. Nadgarstek, na którym bransolety.

– To chyba jastrząb – powiedziałem, zerkając przez szybę.

Leciał obok samochodu. Z nami. Wykorzystywał moment, gdy droga skręcała. Wyprzedzał nas wtedy. Pedał gazu prawie że do dechy. Na prostej drodze. Machał skrzydłami, próbując dogonić. Unosił prawe skrzydło, odbijając, znikając na chwilę.

– Goni nas! – krzyczała Justyna.

Goni mnie. Pomyślałem.

Każdy Indianin ma przy sobie kobietę, o którą stara się zadbać. Którą kocha tą dziwną, niepokorną miłością.

Każdy Indianin ma swojego przyjaciela, z którym pali się fajkę, z którym pije się whisky, którego się chroni przed strzałą.

– Naprawdę nas goni – wtrącił się Janek, kiedy odstawił od ust szyjkę brązowej butelki. Siedział z tyłu. Przestał śpiewać już jakiś czas temu.

Mnie goni. Pomyślałem.

Każdy Indianin ma swojego orła. Swojego jastrzębia.

Piękny jesteś, bracie. Znalazłeś mnie, wyczułeś. Nie mnie. Moją duszę.
A może to ona ciebie odnalazła?

Straszą mnie. Potrafię już przewidzieć, co mi powiedzą. To proste. Wystarczy przez chwilę popatrzeć na ich twarze. W ich oczach kryje się strach. Przed moją reakcją chyba, chociaż nigdy nie krzyczę, nie szlocham przecież. A może boją się swojej? Łza na lekarskim policzku. Chyba by ich spaliło. A ci najtrwalsi, betonowi prawie... z nich też łatwo jest czytać. Napinają mięśnie, stają się jeszcze bardziej skostniali. Mówią zimnym tonem, nie patrzą na mnie. Patrzą na jakieś kartki, które miały w dłoniach, przekładają prawie bez przerwy. Założę się, że ci właśnie piją najwięcej.

Ale przecież im tego wszystkiego nie powiem.

Uśmiechnę się tylko. Podziękuję grzecznie. Udam, że nie widzę. Ale widzę. Nienawidzę.

Pielgrzymowałem. Od knajpy do knajpy. Tamtego letniego wieczora też. Ja.
I Justyna. I Janek.

Nasz galeon zacumował w końcu na dłużej. Siedzieliśmy w takim barze. Było ciemno, dużo ludzi. Niewiele pamiętam. Zmieniały się tylko kufle. Z pustych na przyjemnie chłodne. Chyba za często. To dobrze, że Janek zawsze dużo mówi. Wyręcza mnie. Na szczęście.

Smutna prawda. Nie wiem, co widziałem w Justynie. Chyba ją lubię za upór. I przykro mi, że ma gust taki skrzywiony. To nie mogło się udać. Upijam łyk, jakbym chciał wziąć za to toast. Ale w milczeniu. To nie mogło się udać. Nie jestem do rany przyłoż. Ani na wieczne nieoddanie. Nie mieszczę się w ramkach na zdjęcia.

I korzeni nie mam. I ciągnie mnie coś w zakazane. Chcę poznawać, porzucać, smakować i tęsknić. I jestem szczęśliwy, kiedy o tym myślę. I nie jest mi przykro.

Chcę iść. Marnuję z wami czas. Nie umiem dzielić siebie przez dwa, przez trzy, przez nas. Nie umiem się wiązać na stałe. I nie chcę się tego nauczyć. Wolę uciekać, przemierzać, kluczyć jak jastrząb. Może kiedyś odnajdę to miejsce, z którego nie będę chciał odejść. Może kiedyś będę zmęczony, odmieni mnie czas i autostrady zmarszczek. Ale nie teraz.

– Gdzie idziesz?

Chciałbym jej odpowiedzieć. Odchodzę od ciebie, kochanie. Ale za bardzo zajmuje mnie kołyszący się stolik i krzesła. Nie, to moja głowa pijana.

– Muszę się przejść – odpowiadam.

– Pójdę z tobą.

Po moim trupie – chciałbym jej wykrzyzczyć. Ale obraża się na zwykłe „nie”. To dobrze, że tyle wystarczy. Królewska dusza. Tak łatwo ją zranić.

– To może ja pójdę – proponuje Janek.

Zapomnij, przyjacielu – chciałbym mu powiedzieć. Na szczęście nie muszę. Wystarczy wzrok pijany, szczęka zaciśnięta. I pięść.

Wychodzę. Podnoszę kotwicę. Uciekam. Moje mądre stopy, silne stopy utrzymują mnie w pionie.

Nigdy nie pozwoliłabym ci stamtąd wyjść. Nigdy.

Zawsze lubiłem światła miasta. Neony. Latarnie. Pomarańczowa luna barwi moją skórę. Wreszcie jest indiańska. Wiatr, chłodny podmuch wiatru koi moje czoło. Ktoś mnie mija. Ktoś szturcha ramieniem. Widzę ulicznych grajków. Przystaję na chwilę. Znam tę melodię, ale nie wiem skąd. To miasto żyje nocą. Ja żyję nocą.

Potrzebuję samotności bardziej od bliskości. Tak już mam. Jestem twierdzą z fosą. A w niej krokodyle. Jestem samotnym pielgrzymem. A w torbie zamiast chleba trzymam papierosy. Moje stopy pragną iść. Pragną gór. Polnych dróg. Rosy.

Mijam opartą o mur dziewczynę. Ma czarne włosy. Czarną sukienkę. Patrzy na mnie. Pali. Gdybym był inny, coś bym ci powiedział. Pochwaliłbym za styl. Przymilił się trochę. Ale ty byś nie poszła na drinka. Jesteś jak ja. Samotna jak ja. Z wyboru jak ja. Dlatego tak patrzysz. Poznajesz swojego. Obląkanego.

Jak masz na imię? Pytam cię w myślach.

Coma. Odpowiadasz, nie poruszając ustami.

Ładnie. To jak Świadoma. Albo Uwolniona. Niedościagniona.

Mógłbym tak długo.

Ale nie możesz.

Dlaczego nie mogę?

Bo to wcale nie kometa. To samochód.

– Uważaj!

Ty krzyczysz. Potrafisz. To światła.

Pamiętam tylko tyle. Pamiętam, że bolało. I chyba upadłem. I wszystko zniknęło.

Nieprawda. Nie wszystko.

*

Masuję twoje stopy. Są jakieś obrzęknięte. Ale są też ciepłe. To daje mi jakąś siłę. Jesteś ciepły. Nie zimny jak lód.

Po łacinie to coma. Taki głęboki sen. Myślę czasem, że jesteś uwięziony gdzieś tam w środku i że szukasz wyjścia. Tak jak w ciemnym pokoju szuka się klamki. I nie możesz wyjść. Ale słyszysz mnie. I szukasz jej dalej. Tej klamki.

To tak nie wygląda, mammo.

A czasami myślę, że poszedłeś gdzieś. Twoja świadomość, dusza chyba. Że uciekła. Wyjechała gdzieś. Pielgrzymuje do tych wszystkich ważnych miejsc, o których mówiłeś. Że musisz tam być i je wszystkie zobaczyć. Dotknąć.

Jeszcze nie.

Ale że wróci. Ta dusza twoja niepokorna. I trzeźwa. Wróci, bo w końcu tu leżysz. Jesteś ciepły. Jak już się naogląda, dotknie i pocieszy. Wróci. Tylko nie wiem kiedy. I to takie jest straszne.

Nie wróci. Może to był błąd, że zostałem tutaj tak długo. Pójdę sobie. Kiedy będziesz już w domu. Przykro mi. Nawet nie wiesz jak bardzo. Szczególnie teraz. Kiedy widzę, jak pakujesz okulary do torebki. I chusteczki. I swój notes. Odwracasz się przy drzwiach. Zawsze tak samo. Zapamiętujesz mnie do jutra. Przeczuwasz. Ale nie powiesz tego głośno. Urwiesz myśl w połowie. Ale przeczuwasz.

Że zniknę, kiedy zacznie świtać. Że rozplnę się, rozplnę się. I ukryję się, ukryję tak, że mnie nie znajdziesz. Odpocznę w pociągu, jadąc bez biletu. Znowu mam skrzydła. I zegarek bez żadnych wskazówek na niewidzialnym nadgarstku. Zetrę z twarzy kosmiczny pył. Złoto z ust. Srebro z rzęs.

Że zniknę, kiedy będzie świtać. Zostawię po sobie sandały. Pióro. Figowy liść.

I znajdę kolejne ciało, żeby w nim mieszkać przez chwilę. I iść.

Dalej iść.



Jakkolwiek zawieje wiatr...

W moim życiu do tego roku wszystko się darzyło. Realizowałam się zawodowo, przyjaźnie się rodziły, miłość do męża się narodziła i syn Marcin się urodził. Rosła we mnie ciekawość świata, rozpościerała się radość i przekonanie, że urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą.

W moim życiu trzy lata później za sprawą wypowiedzi pani doktor – „prawdopodobnie autyzm”, świat stał się dla mnie i mojej rodziny nie do objęcia, nie do zrozumienia. Ta data jest jak uszkodzony szlaban, jak mgła nie do przekroczenia, jak rzeka nie do przepłynięcia, jak góra nie do przejścia... Diagnoza, niestety trafna, określiła i nazaczyła przyszłe dni. Rzutuje do dziś na moje życie, życie mojego męża i moich rodziców. Przemieniliśmy się wszyscy w grupę nieustannego czuwania i pomocy bez nadziei na przemianę, bez nadziei nawet na urlop. Tyle szczęścia, tyle zaznanych radości mojego dotychczasowego życia położyłam w tym dniu na szalę, a ona nie przeważyla diagnozy – głęboki autyzm. Marcin jest nieuleczalnie chory. Każdy dzień stał się pielgrzymowaniem do... serca mojego ukochanego syna. Wiem, że ludzie wędrują do wielkich mocy, do Boga, a ja codziennie idę do niego, wyrzekając się często snu, wygody, uciech, jedzenia nawet. Codziennie przemierzam szlak do świata mojego Marcinka.

Patrzyłam na syna jak na chore drzewo. Jakby go ktoś wewnątrz pokiereszował i wydrążył. Tak właśnie, jakby go ktoś wydrążył... To jest dobre określenie. Jaka siła to uczyniła? Jaki błąd i kto go popełnił? Piękne, urodzive dziecko, a odklejało się coraz bardziej od rzeczywistości. Umiał mówić i przestawał mówić, umiał się śmiać i przestawał się śmiać. A ja? Za słaba, żeby mu pomóc. Nie o siły fizyczne chodzi. Takie miałam i mam. Mogę do dziś nie spać trzy noce z rzędu i jakoś sobie radzę. Wymykało mi się moje dziecko z uczuć, z radości, z zabawy, z dociekliwości właściwej dzieciom, z chęci do cze-gokolwiek. Zawładnął mną strach przed czymś niezrozumiałym, niepojętym. Miałam ten strach w oczach, gestach i co najgorsze – w sercu. Wydawało mi się, że zwykła woda w kąpielni potrafi dać mojemu synowi więcej, niż ja. Woda go zawsze ukoi, uspokoi, a ja nie mam dostępu do jego sfer zdenerwowania i smutku. Nikt, kto tego nie przeżył, nie

zrozumie. Nie zrozumie bólu matki, która nie umie, choć bardzo chce, ogarniać stany rozdrażnienia i niepokoju swojego dziecka.

Pagórowo

Moje podwórko, moja ulica, moje Pagórowo. Dla mnie tu wszystko jest wyzwaniem. Dołek, krawężnik, brama, słup, tablice przy drodze, donica z kwiatami, pochylenie terenu... Każde urwisko to niepokój, każda ścieżka to tajemnica. Ozdobny głąz czy nawet niewielkie zakrzaczenie może przysporzyć nie lada kłopotów. Jak na jakies wojnie. Najpierw rozpoznanie, potem strategia jak przekonać Marcinka do spaceru jak zapowiedzieć, przestrzec, przewidzieć... Wszędzie dostrzegam pułapki; gardziele studni, przełyki strumyków, żujące żuchwy zarośli, a za nimi cienie niczym widma z ruchomymi ramionami, chłoningymi paszczami. Poza tym jeszcze tysiąc innych przeszkód, które Marcin nie jest w stanie wyczuć, zobaczyć i usłyszeć. Staram się i ja patrzeć oczami syna, słyszeć jego uszami, badać i poznawać wszystko wokół jego zmysłami i umysłem. A jeżeli nie wysię wyobraźni i nie uporam się z wielookimi i wielorekimi potworami krajobrazu, nie zapobiegnę, nie osłonię, to narażę syna na stres, siebie na niemożliwość zaradzenia różnym nieprzewidzianym wypadkom. Najczęściej, gdy jesteśmy w środku zaskakujących zdarzeń, to przypadkowi ludzie są tylko widzami nic nierozumiejącymi, zwykle wylęknionymi i bezradnymi. Marcinek się boi, a ja chyba bardziej, bo nie wiem jak ten lęk będzie dalej kierował jego zachowaniem. Ten dzień pamiętam tak, jakby to działo się wczoraj. Marcin miał 4 lata, a więc wydarzyło się to w 1994 roku. Był upalny lipcowy dzień. Wracaliśmy ze spaceru. Szłam z dzieckiem przez rynek. Marcinek zaczął biec, błyskawicznie skręcił w bok i schował się pod dużym ciężarowym samochodem. W oczach do dziś mam wielkość samochodu i mojego synka pod nim. Rynek kiedyś wyglądał inaczej. Ruchliwa droga wiodła drugą stroną placu, a my szliśmy chodnikiem przy uliczce, gdzie najczęściej parkowały samochody ciężarowe. Ale i tak było niebezpiecznie. Mógł się uderzyć w głowę, zaczepić o jakieś żelastwo, a co najgorsze mógł się wydostać na drugą stronę i dotrzeć do ruchliwej ulicy, zanim ja obiegłabym tira i synka dogoniła. Marcinek nadal leżał pod samochodem, a ja na klęczkach próbowałam go stamtąd wydostać. Staralam się chwycić go za rękę lub nogę, a on bardzo zręcznie unikał moich zamiarów. Prosiłam, żeby wyszedł a on nadał szedł w zaparte. Nie widziałam co robić. Musiałam przecież go stamtąd jakoś wydobyć i gdy postanowiłam, że spróbuję położyć się pod tym samochodem i przeczołgać się do niego, nagle pojawiła się leciwa staruszka. Zgarbiona z laską starowinka odezwała się do mnie:

– Co, nie chce wyjść?

Skinęłam głowę.

Starowinka próbowała uklęknąć, ale nie dała rady. Sięgnęła do niego tą laską i jakoś dziwnie ni to powiedziała, ni wyśpiewała:

– Wyjdź, pójdziemy razem, ja też tam idę, gdzie ty.

Marcin jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stał się grzeczny, a nawet potulny. Wyczołgał się spod samochodu i podał rękę staruszce. Ta niesamowicie przyjazna nam osoba przeszła z nami przez cały rynek i doprowadziła nas do przejścia przez ulicę. Pojawiła się nagle, jak jakiś Anioł Dobroci i tak też znikła. Oglądałam się później na wszystkie strony chcąc dostrzec w którym kierunku poszła, ale jej już nie było w zasięgu mojego wzroku. Nie mogłam jej też szukać, bo przecież z synkiem byłoby to niemożliwe. On i ja też już bardzo chcieliśmy być w domu.

Marcin nigdy nie chciał podać ręki obcej osobie. Nie mogę zapomnieć tej sceny. Tak mi wtedy ta pani pomogła, a ja nawet nie podziękowałam. Wiele razy, kiedy Marcin kładł się na ulicy, tupał, walił pięściami w słup przydrożny, rozglądałam się w nadziei, że skądś wypłynie anielska babcia. Nie pojawiła się już nigdy. A tak chciałabym zapytać ją o to, jak dotarła do umysłu mojego synka. Bo przecież nie słowami, bo je zapamiętałam i moje ich wymawianie na różnych tonach nigdy go nie uspokoiło. Obca osoba potrafiła ukoić jego rozbrykanie, roztrzęsienie, rozkojarzenie, a ja matka – nie umiałam. Ból do potęgi n-tej.

Marcin ma 6 lat

Marcin do tego czasu nie zdobył żadnych umiejętności. Nie jadł samodzielnie załatwiał się tam, gdzie stał. Byliśmy już po badaniu słuchu, które odbyło się w Warszawie w szpitalu na ul. Banacha i wiedzieliśmy, że słyszy, ale nie reagował na naszą mowę. Wykryto u niego padaczkę, był pod opieką neurologa, przechodził wiele badań psychologicznych które nic nie wnosiły. Byliśmy po konsultacji w centrum zdrowia dziecka na oddziale psychiatrycznym. Później udaliśmy się jeszcze do pani profesor która przyjmowała w Warszawie na ulicy Litewskiej. Wszędzie mówiono o autyzmie, ale tak, jak już słyszeliśmy lub czytaliśmy i przykro nam było, że tak niewiele z tego pasuje do naszego Marcinka.

Sytuacja była bardzo ciężka. Syn oddalał się od nas coraz bardziej, nie chciał wychodzić z domu, chował buty, kurtki, nie znosił mojego dotyku. Gdy niosłam go po schodach nie przytulał się do mnie i nie trzymał za szyję jak to robią inne małe dzieci tylko wyginał się do tyłu i sztywniał. Obawiałam się, że go upuszczę i starałam się go mocno trzymać, a on jeszcze bardziej się wyginał. Pomagała mi mama albo mąż. Syn nie umiał chodzić po schodach i nie chciał nawet spróbować.

Były do tego płacze nocne. Budził mnie w nocy jego krzyk nawet jęk, a czasami nieludzkie wycie. Oczywiście było sprawdzanie pieluchy, ocieranie łez, podawanie herbatki i próby ułożenia go do snu. Nic nie pomagało, a czasami nawet potęgowało atak płaczu. Krzyk był przerażający, a ja czułam się całkowicie bezsilna, bo nie mogłam ukoić lęków swojego dziecka. To było straszne. Po pewnym czasie zauważyłam, że uspakaja się, gdy noszę go na plecach i chodzę naokoło stołu, koniecznie w kółko. Chodziłam z nim, jak koń w kieracie, aż wydeptałam włókna dywanu do samej osnowy. A przecież nie był lekki. Krążyłam dotąd, aż zasnął. Delikatnie opuszczałam go na pościel. Zасыpiałam obok niego ułożona tak, aby swoim ciałem ochronić go od upadku, aby wyczuć każdy jego ruch i zareagować.

Zawsze wierzyłam w dobre dni i dziś myślę, że było coś niezwykłego w momencie naszego życia, kiedy to dotarliśmy do pani doktor Magdaleny. Czuwała nad nami jakaś niewyobrażalna moc. Potrzebowaliśmy dobrej terapeutki, kogoś wyjątkowego, bo nasz Marcin w swej chorobie był jeden jedyny na świecie. W telewizji zobaczyłam program o pani Magdalenie, terapeutce dzieci autystycznych. Następnego dnia poszłam na pocztę i odszukałam w warszawskiej księżce telefonicznej numer jej telefonu i oczywiście zadzwoniłam z wielkim płaczem i prośbą o pomoc dla mojego dziecka. Mówiłam, że niczego nie mogę go nauczyć, że już nic nie można zrobić, że nikt nie jest w stanie mi pomóc. Pani doktor powiedziała, że zawsze można pomóc i zawsze można coś zrobić, może niedużo, ale trzeba spróbować. Zgodziła się leczyć Marcina i pomóc całej naszej rodzinie, też już chorej, bo bezradnej i zmęczonej. Nasze życie małżeńskie oscylowało tylko wokół organizacji opieki i leczenia chorego dziecka. Mąż przestał się uśmiechać, był jak robot, co trzeba było w naszym „programie” wykonać, realizował bez szemrania. Zarabiał pieniądze, organizował wyjazdy, kupował leki, remontował...

Pani Magdalena była pierwszą osobą, która powiedziała, że aby ocenić stan naszego dziecka musi zobaczyć, jak Marcinek zachowuje się w domu. Chce poznać naszą całą rodzinę. Ponieważ była po operacji biodra, a chodzenie przy pomocy kul uniemożliwiało podróż pociągiem umówiliśmy się, że przyjedziemy po nią do Warszawy i z powrotem ją odwieziemy. Tak też się stało. Pamiętam dzień naszego pierwszego spotkania bardzo dokładnie, bo ten dzień dał nam szansę na dalsze życie z autystycznym synem. Kiedy udałam się pod umówiony adres otworzyła mi drzwi starsza pani w okularach, średniego wzrostu o krótko ostrzyżonych włosach i wyjątkowych oczach, w których zobaczyłam siłę, pozytywną energię i chęć pomagania innym. Pani Magdalena czekała już na nas, była ubrana i gotowa do drogi. Podczas podróży do Pagórowa opowiedziałam jej historię choroby Marcinka. Pytała o ciążę i poród. W ciąży czułam się bardzo dobrze, nie chorowałam wyniki badań kontrolnych zawsze miałam dobre. Nie zażywałam żadnych leków. Poród odbył się tydzień po terminie i był wywoływany

farmakologicznie, nie miałam bólów. Marcin po urodzeniu nie oddychał, widziałam ostre masowanie jego ciała, potrząsanie nim. Protestowałam, krzyczałam, że tak nie wolno. Zaraz go zabrano i potem dowiedziałam się, że leżał w inkubatorze. Było to dla mnie dziwne, przecież nie był wcześniakiem. W szpitalu lekarka mnie uspakajała, że taki poród nie odbije się na zdrowiu syna. Pojawił się pierwszy problem, Marcinek nie chciał ssać piersi. Ustawiała nas do karmienia położna, potem pielęgniarka, mama, koleżanka... Żadne rady nie sprawdzały się. Wypisano nas po dziesięciu dniach ze szpitala w stanie dobrym. Pokarm na początku ściągałam, a po trzech miesiącach udreki przeszłam na karmienie sztuczne.

Szczęśliwe dni

W ciągu trzech miesięcy terapii pani Magdaleny udało się nauczyć Marcinka samodzielnego jedzenia i załatwiania potrzeb fizjologicznych. Sukces! Pierwszy raz od czasu jego choroby poszłam do fryzjera. Mąż kupił sobie nowe jeansy i koszulkę. Zobaczyłam, że to bardzo przystojny mężczyzna.

Po roku Marcinek zaczął uczęszczać do przedszkola, na dwie godziny dziennie i brał udział w zajęciach ruchowych i plastycznych. Początkowo ze mną, a potem przebywał sam. Dzieci czteroletnie, a on siedmiolatek. Pierwszy raz narysował słońce. Popłakałam się z radości. Ale po kilku miesiącach nie chciał chodzić na te zajęcia. Nawet pani doktor nie znalazła wytłumaczenia i rady na takie zachowanie. Pozostał dom, tylko dom.

Zgodnie z umową pani Magdalena miała nas odwiedzać raz w miesiącu, ale nie musieliśmy znowu jechać po nią do Warszawy, ponieważ połączenie kolejowe Kielce z Warszawą jest dobre. Odbieraliśmy ją z dworca PKP. Sama zaproponowała takie rozwiązanie.

Ciągle poszukiwała, ciągle obserwowała Marcinka. Doradzała, abym oszukiwała jego apetyt dzieląc podstawową porcję na cztery. Był czas, że miał nieposkromiony apetyt i tył. Nie rozumieliśmy i już się nie dowiemy, dlaczego ulubioną jego książką był album z katastrofami statków, a szczególnie Titanica, dlaczego ulubionym miejscem jego spacerów był cmentarz. Marcin po alejkach cmentarnych chodził dotąd, aż się zmęczył. Mieliśmy już wózek, więc łatwiej było z dotarciem do domu.

Pani Magdalena zauważyła, że syn ma wspaniały słuch muzyczny. Zadziwiające. Ja kupowałam mu płyty z piosenkami dla dzieci, których on nie chciał słuchać, Pastoralki doprowadzały go do szału, a pani Magdalena zaproponowała zestaw muzyki filmowej, poważnej, jazzu...

Violine Greatest chamber music (Beethoven, Brahms, Debussy, Bach, Mozart)

Hollywood Club
Kung Fu Panda
Chant Music For Paradise
Alchemik Sfera szeptów

I stał się cud. Marcin, dziesięcioletni Marcin słuchał muzyki poważnej, muzyki filmowej i utworów anglojęzycznych. Nie miał styczności z tym językiem, nie mówił nawet po polsku. Zaledwie kilka słów. Zdziwił mnie i panią doktor odbiorem utworu Bohemian Rhapsody zespołu Queen. Wyciszał się, jego twarz nabierała regularności. Z czasem nucił po swojemu a nawet wypowiadał bezbłędnie niektóre słowa po angielsku. Czasem zdarzyło mu się wykrzyknąć słowo słuchanego utworu. Czy coś z tego rozumiał, czy tylko naśladował? Sięgnęłam po tłumaczenie tekstu tej jego uwielbianej piosenki i doznałam szoku.

*Mamo, życie dopiero się zaczęło,
ale już je zmarnowałam.
Mamo, nie chciałem twoich łez
Jeśli tym razem jutro nie wrócę
Żyj dalej, jakby naprawdę nic się nie stało...*

Tekst po polsku znam na pamięć, a nawet ten angielski język „wszedł” w moje usta, wszak słuchaliśmy tego razem co najmniej raz dziennie.

Nie wiem też, jak to się działo, że kiedy poszliśmy do sklepu muzycznego wybierał muzykę filmową, albo poważną, albo coś ulubionego zespołu Queen i nigdy się nie powtórzyła ta sama płyta. Jego płytoteka ma ponad sto pozycji i zawsze wiedział, czego chciał słuchać. Nigdy nie przebierał, dochodził i brał. Gdy raz brakło prądu i baterie się rozładowały, wpadł w szal. Mnie ostro odtrącił, a babcię uniósł jak piłkę do góry i rzucił do wanny. Złamała sobie nogę. Lekarzowi tłumaczyła: – To bardzo dobry chłopiec, tylko choroba jest mocniejsza czasami od niego.

Pani doktor zmarła, ale miałam wrażenie, jakby obok była do końca jego dni. Wydawało mi się, że razem obierałyśmy drogę do potrzeb syna, we dwie tam szłyśmy i we dwie łagodziłyśmy bóle jego duszy i ciała. Na taką chorobę nie da się wypisać recepty.

Marcin ma 15 lat

Chcieliśmy kupić Marcinowi nowe buty, najlepiej lekkie, wygodne trzewiki lub sportowe adidasy. Przede wszystkim włożyłam do torebki: leki, wodę mineralną, ulubiony serek, kubeczek i łyżkę. Spakowałam też do plecaka ubrania syna, tak w razie czego na zmianę. Pogorszył się jego stan zdrowia ma problemy z kontrolowaniem potrzeb

fizjologicznych, a pampersa nie dał sobie założyć. Gdy jestem już przygotowana mówię synowi, że jedziemy kupić nowe buty i że jeżeli będzie cierpliwie mierzył obuwie to w nagrodę kupimy mu płyty CD z muzyką, jaką wybierze sobie sam. Bardzo miło przyjął tę wiadomość, bo chętnie poddał się czynnościom przygotowującym go do wyjścia.

Sklep obuwniczy mieścił się nieopodal głównego wejścia do galerii, więc nie było problemu z dotarciem do niego. Mąż i Marcin usiedli na wygodnych pufach a ja zaczęłam szukać odpowiednich butów dla Marcina. Mierzenie zajęło około pół godziny.

Wracaliśmy do domu z nowymi butami i z płytą Original Trailer (1984) | GHOSTBUSTERS, oczywiście upominek wybrał sobie sam w ciągu jednej minuty.

Marcin już nie żyje. Zmarł w wyniku raka trzustki, gdy miał 21 lat. Została mi po nim płytoteka. Spisałam tytuły jego płyt. On je znał na pamięć. Nadal, co najmniej raz dziennie słucham i nucę jego ulubioną melodię.

Is this the real life -

Is this just fantasy -

...i jeszcze spaceruję po alejkach cmentarza.



Fudzi

Opierała się plecami o ciepłe, przysadziste cielsko domu. Wodziła palcami po jego skórze, przypominającej szorstki aksamit, perłowy od słońca i porysowany starością. Drewno, kiedyś ciemnobrązowe, spłowiło i posiwiło. Kolor było widać już tylko w zagłębieniach. Z bruzd pomiędzy deskami wykruszał się kit. Drobne pęknięcia układały się gęsto, jedno przy drugim, otaczając sęki tak, jak poziomicę na mapie otaczają szczyty gór. Dałaby głowę, że dom oddycha. Ledwowyczuwalnie, rytmicznie napiera na jej plecy. Jak wieloryb wyrzucony na brzeg stawu. W ścianie mieszkają osy. Obserwowała jak wchodzą i wychodzą z małych otworów. Krzątają się. Starła się nie przeszkadzać.

Siedziała na drewnianej ławce okrytej starą baranicą, którą znalazła w jednej z szaf. Kwiaty malw, nasączone lipcowymi promieniami, o tej godzinie świeciły własnym, jaskrawym światłem. Jak witraż z krepiny w różnych odcieniach różu i fioletu. Amarantowym, biskupim, bordo.

Chmury, z wierzchu spiętrzone, jak lśniącobiała cukrowa wata, od spodu podeszły siną wilgocią, przesuwają się synchronicznie po niebie i gładkim lustrze wody. Ściana drzew na linii brzegu rosła jednocześnie w górę i w dół. Dolne korony rozszczepiały się w łagodnie falujące, centkowane ławice, jak na obrazach impresjonistów. Wietrzne podmuchy raz po raz uciszały trele sikor.

Zmysły Olgi zaskakująco się wyostrzyły. Im dłużej tu mieszkała, tym bardziej były łapczywe. Czuła się jak świeżo wyklute pisklę z zachłannie rozdziawionym dziobem, jakby zaraz miała połknąć te chmury i popić wodą ze stawu. Pragnęła, by krajobraz przetaczał się przez nią. Trwała w jego wszechmocnych objęciach.

Stary dom w zakolu Lubrzanki, wijącej się niczym pęknięte naczynko krwionośne wśród świętokrzyskich pól, kupiła za równowartość swojego kieleckiego mieszkania w bloku. Wcześniej spędzała tu urlopy i długie weekendy. Przez lata zaprzyjaźniła się

z właścicielami. Kiedy nie mieli już siły przyjmować letników i postanowili sprzedać, uznała to za szansę na odzyskanie równowagi.

Całe to zamieszanie nazywane leczeniem, załatwianie sobie miejsca wśród żywych, ciągle starania, o to, by nie wypaść z systemu, z listy oczekujących, z bazy ludzi.

Nie będzie trybikiem w maszynie toczącej nierówną walkę z jej chorobą. Czowała, że jest tylko jedno słuszne wyjście. W kwestii przyszłości postawić na jakość, nie na ilość. No i była to winna psu.

Edek siedział obok niej i dyszał. Miał już swoje lata, choć najpewniej przeżył też trochę cudzych. Z ludźmi odhaczył kilka niepotrzebnych początków. Nie lubił do tego wracać, a Olga nie pytała. Po prostu postanowiła, że im obojgu należy się przyzwoite zakończenie.

Był ranek. Nie była pewna, jaki jest dzień tygodnia, ale w soboty przychodził pan Kazimierz i przeczynała, że to dzisiaj. Nie miała tu żadnego kalendarza. Laptopa nie włączała, a smartfon dawno się rozładował. Dlatego Anka wydzwaniała do niej na domowy. Zapisała sobie numer ze względu na tutejsze problemy z zasięgiem. Aparat stacjonarny nie potrafił odmierzać czasu. Mierzył tylko częstotliwość telefonów od córki. Odstępy były coraz krótsze. Jak te pomiędzy skurczami, zanim lata temu Olga zobaczyła ją po raz pierwszy.

Pan Kazimierz szedł wzdłuż ogrodzenia, pchając taczkę. Pies nieprzytomnie ujadł, jak zwykle. Kazimierz trochę się bał Edka, choć próbował nie dawać tego po sobie poznać. Pies był wobec niego wyjątkowo napastliwy. Rzucił się do nóg, jakby chciał ugryźć. Nie była pewna, czy ostatecznie powstrzymał się z posłuszeństwa, czy z rezerwy jaką czuł do starego człowieka ze wsi. Być może to odziedziczona po przodkach, wpleciona w jego wielorasowe DNA, życiowa mądrość sprawiała, że w porę zrezygnował z narażania swych starych psich żeber na spotkanie z męskim gumofilcem.

– Psom nie można wierzyć. Niechby i z kijem nie poradzisz... – Kazimierz miał na to gotową opowieść, ale najwyraźniej zrezygnował z jej dokończenia. Światem Kazimierza rządziło prawo baśni. Okrucieństwo było aktem uzasadnionym, o ile miało się do czynienia z działaniem siły wyższej lub istotą bezrozumną czy demoniczną. Kiedyś opowiedział Oldze, jak natknął się w lesie na żmiję. Zatłukł ją łopatą, a wtedy z rozplatanego brzucha wypęzły młode. Śmierć i życie zawsze znajdują swoje sposoby.

Jak wiele osób we wsi, Kazimierz dorabiał na jagodach. Olga była jego najlepszą klientką. Kupowała wszystko, co akurat miał do sprzedania. Oprócz jagód przynosił jajka, mleko, twaróg, kurki. Zatrudniała go też czasem do drobnych napraw i cięższych prac gospodarskich. Dziś Kazimierz przyniósł dwa słoiki jagód. Wyjął je z reklamówki,

która pamiętała jeszcze lata 90. Czasy, w których szanowało się przedmioty najwyraźniej tutaj nigdy nie minęły. Wniosła słoiki do kuchni i wyszła z przygotowaną gotówką. Zaproponowała kawę. Nalegała, by Kazimierz chwilę posiedział, ale udał, że się spieszy. W nabożnych gestach mężczyzny pobrzmiwało echo wpajanej przez pokolenia usłużności, co wprawiało Olgę w pełne poczucia winy zakłopotanie. Była między nimi niezręczna wyrwa. Fundamentalny dyskomfort, którego nie byli w stanie przezwyciężyć.

Wiatr pogniótł powierzchnię stawu. Strzępki słonecznych promieni odbitych od zmarszczonej wody podrygiwały na drewnianym gzymsie chałupy, pniach i puszystym igliwiu sosen, niczym zbłąkane babie lato. Olga przelknęła łyk kawy patrząc na tańczące kurze łapki. Prawie nie słyszała dzwoniącego z głębi domu telefonu.

Córka rzadko tu przyjeżdżała. Czasem zostawała na dwa dni. Wtedy przez cały czas albo patrzyła w telefon albo spała. Jakby nadrabiała nieprzebrane zaległości, odsypiała całe miesiące, może nawet lata. Oczywiście była zła na Olgę za tę akcję z umieraniem. Buntowała się, wciąż zapisywała ją do lekarzy i dzwoniła, żeby się o to pokłócić.

Wcześniej miały razem plany. Jak podróż do Japonii. Chciały zobaczyć szczyt Fudzi. Kiedy Ania była mała, pocztówka z takim widokiem przyszła kiedyś do Olgi od znajomego i stała się ich wspólnym celem, przymocowanym magnesem do lodówki. Ich jasną górą. Wiedziała, że Anka cały czas odkładała pieniądze na tę wymyśloną dawno temu pielgrzymkę.

Telefon w końcu przestał dzwonić. Olga, która zdążyła się już przyzwyczaić do jego nieznoszącego sprzeciwu sygnału, nie mogła sobie znaleźć miejsca. Postanowiła zająć czymś myśli. Ugotowała zupę dla siebie i zapas ryżu z mięsem i marchewką dla psa. Poszli na spacer wokół stawu, niezbyt daleko. Następnego dnia wypielili niewielki warzywnik i żwirową ścieżkę przed domem. W kolejnej dobie uprzątnęła narzędzia w szopie. Kiedy telefon się odezwał, układała drewno na opał. Zdziwiła się jak szybko potrafi dobiec do aparatu. Zdyszana rzuciła się na słuchawkę. Po drugiej stronie usłyszała głos kobiety-roboty. Powiedział dzień dobry i zrobił długą pauzę na odpowiedź. Olga miała szczęście. Wygrała mop parowy lub darmowe badanie d e d y k o w a n e jej grupie wiekowej. Mogła sobie pogratulować.

Matka siedziała z psem na ławce przed domem i kontemlowała otoczenie. Wciągała powietrze nosem, zamierała na chwilę, po czym powoli wypuszczała ustami.

Zaciągała się, jakby jarała blanty. Z rękami rozłożonymi na boki i wnętrzami dłoni zwróconymi do zewnątrz wyglądała jak hinduistyczne bóstwo. To, które ma wiele rąk. Kali. Władczyni czasu i pani śmierci. To jest ta jej jakość. Po prostu siedzi tu i wystawia czułki. Rozpościera macki. Matka Macka. Dosięgnie ją wszędzie, żeby nie wiem co. Zbikowana hipiska. Cwaniara. Teraz sobie odumrze, ale rozwinie się wewnątrz niej jak obcy i stopniowo przejmie kontrolę. Czy nie to właśnie robią matki?

Stary Edek pierwszy zauważył Annę. Skomląc i łasząc się na odległość zataczał się do furtki.

Anka miała silne postanowienie. Tym razem nie będzie się wkurzać ani mieć pretensji. Po prostu z nią pobędzie. To tylko weekend. Wytrzyma.

Późnym wieczorem rozпалиły ognisko. Położyła się na plecach i gapiła w rozgwieżdżoną ciemność. Ogarnęła ją niespodziewana beztroska. Nagle nieskończoność była pokrzepiająca. Jak w wakacje, w dzieciństwie, kiedy każda kometa oznaczała spełnione marzenie, a przyszłość można było napisać sobie na niebie rozżarzonym patykiem. Zjadły upieczone w ogniu ziemniaki. Usiadła blisko dogasających płomieni. Na plecach czuła chłód, ale z przodu było jej gorąco. Dym rozpulchniał skórę na twarzy i wgryzał się w oczy.

Edek zjadł kielbaskę i spał na boku, chaotycznie podrygując. Coś w nim świszczowało i wydawało ciche pomruki. Jakoś sobie poradzą.

Rano piły kawę, siedząc na przyzbie. Dobrze, że przywiozła matce ten ekspres.

Znad horyzontu unosiła się ciężka, granatowa mgła. Nad nią coś wystawało. Biały kształt, z chmur. Jakby stożek. Ścięty stożek. Tak wyraźny na tle czystego nieba, że nie dało się go zignorować. Patrzyły w osłupieniu, bojąc się poruszyć. Milczały. Poczują jej chłodną dłoń na swojej.

LIGURYJCZYK

Każdy cywilizowany człowiek ma dwie Ojczyzny – własną i Włochy.

H. Sienkiewicz

I.

– Wyjeżdżamy. To jedyna słuszna decyzja jaką może podjąć małżeństwo w kraju, w którym kilkadziesiąt metrów kwadratowych spokoju kosztuje kilkadziesiąt lat kredytu. Decyzja o wyjeździe była niespełnionym marzeniem, a jednocześnie ostatnim tchnieniem (jeszcze) młodych ludzi. Była pielgrzymką cyfrowych nomadów¹ w poszukiwaniu tego co współczesna nowomowa nazwała *work life balance*, moja mama ochrzciła *świętym spokojem*, a Fellini dawno temu zatytułował *La Dolce Vita*.

Mogliśmy być prawie wszędzie, ale z wielu powodów padło na Włochy. Jechaliśmy bez celu z wypchanym po sam dach samochodem. Cały dorobek życia i pies. Nie mieliśmy konkretnych planów, żonie zależało na górach, a mi na morzu. Miejscem łączącym te dwa żywioły okazała się wciśnięta w Półwysep Apeniński Liguria.

– A więc to tu przebiega cienka linia naszego małżeńskiego sporu – zażartowałem zaciągając hamulec ręczny na stromej skarpie, z której rozpościerał się majestatyczny widok na kaskadowe ogrody poprzecinane głębokimi dolinkami, pośród których stały rozrzucone gdzieniegdzie kamieniste domki. Gdy odwróciłem wzrok obraz ginął za horyzontem i wpadał do morza zlewającego się z bezchmurnym niebem.

¹ Inaczej high-tech nomad, termin po raz pierwszy użyty w 1983 roku przez Steve'a Roberta oznaczający osobę wykonującą pracę zdalną przy wykorzystaniu nowych technologii, która nie jest przywiązana do jednego, konkretnego miejsca zamieszkania.

Znajdowaliśmy się dokładnie pomiędzy tym co Włosi określają podczas upalnego lata caldo², a tym co daje wytchnienie i sprawia, że jest fresco³. To tu mieszają się żywy, to tu chłodne i dzikie góry otulają ciepłe śródziemnomorskie wybrzeża Zatok Genueńskiej. Równiny Piemontu i Lombardii przecina rzeka Pad wraz z jej skomplikowanym zapisem geologicznym będącym siecią wyrytych dopływów. Korytarzami żłobień płynie wyciśnięta z gór czysta woda, która ma swoje źródło głęboko w Apeninach. Południowa część tego pasma wznosi się dość stromo ponad Morze Liguryjskie, nie zostawiając praktycznie żadnego nabrzeża. Kamieniste plaże ukryte są pomiędzy skałami, a z perspektywy morza rozpościera się z nich widok na leniwy pagórkowaty krajobraz, zza którego w oddali wyrastają groźne i strome szczyty przypominające strażników niedostępnej krainy. Podróżowanie po regionie ułatwia sieć kolei wyryta w podziemnych tunelach. Wedle popularnego porzekadła, gdy Liguryjczyk położy się na plaży, ma stopy w morzu, a głowę na torach kolejowych.

II.

Po dwóch tygodniach bezowocnych poszukiwań swojego nowego lokum, siedząc na wersalce w zawilgoconej suterynie na obrzeżach Genui żona uświadomiła mi, że została do obejrzenia ostatnia nieruchomość.

– Gdzie to jest? – zapytałem wyraźnie rozczarowany.

– Przy granicy Ligurii i Piemontu, w Sassello.

Pojechaliśmy tam bez szczególnego przekonania, że warto, raczej pogodzeni z tym, że nie uda nam się znaleźć wymarzonego miejsca w Italii. Droga do miasteczka była szeroka, co na tutejsze standardy wąskich i krętych uliczek wijących się po stromych serpentynach było miłym zaskoczeniem. Liguryjskie drogi przypominają górskie strumyki, a jazda nimi powoduje mdłości, zachwyty i poczucie grozy.

Przy wjeździe do centrum przywitał nas napis *Paese delle Dolcezze*⁴, który nawiązuje do tradycji wyrobów cukierniczych na bazie słynnego likieru *Amaro e Amaretto di Sassello*.

Zgodnie z ustnym przekazem pierwsza osada powstała tu już w czasach prehistorycznych. Ocaleni z Ligurii uciekali w głąb lądu, by znaleźć schronienie po najazdach Rzymian na ziemię między Sturą, a Doliną Bormidy. To musieli być ludzie samodzielni o delikatnej naturze. Mieli już dość ciągłego podpalania ich domostw, płądrowania dobytku i gwałcenia kobiet. Chcieli pracować i żyć spokojnie. Osada została po raz pierwszy

² z wł. „gorące”

³ z wł. „świeżość”

⁴ z wł. „kraina słodkości”

wymieniona pod nazwą *Salsole* w dyplomie cesarskim Ottona Wielkiego w tym samym roku, w którym miał miejsce Chrzest Polski. Trzy wieki później majątek sprzedano Genuńczykowi Branca Doria, który samowładnie ogłosił się „panem z Sassello”. Jego nikiemność była na tyle ogromna, że został umieszczony w trzecim kręgu dantejskiego piekła, gdzie znaleźli się „zdraycy przyjaciół”⁵. Okres panowania Doriów to rozwój aglomeracji, między innymi wybudowanie zamku Bastia Soprana, czy nowej miejskiej fortyfikacji. Skomplikowane relacje między feudałami, a mieszkańcami spowodują w kolejnych latach coraz bardziej zaciekle starcia, które ostatecznie doprowadzą do buntu Sassellesów.

– Nie wiedziałam, że Napoleon Bonaparte⁶ był Liguryjczykiem – wystrzeżona żona wertując przewodnik po regionie. W epoce napoleońskiej terytorium stało się miejscem kilku zbrojnych bitew. Po Rewolucji Francuskiej i po pierwszej kampanii włoskiej Napoleona Bonaparte, terytorium Sassello wróciło do Republiki Liguryjskiej i to właśnie w tym okresie stało się samodzielną gminą, którą jest do dziś.

III.

Po niespełna dwugodzinnej podróży znaleźliśmy się na miejscu. Do mieszkania na drugim piętrze ogromnej kamienicy w środku lasu weszliśmy z lokalną agentką nieruchomości. Nieopalone od lat pokoje, z eleganckim lastriko były przestronne i po otwarciu wszystkich okiennic znakomicie oświetlone. Kadłuby zasuszonych owadów upadły z kamiennych parapetów przez podmuch świeżego górskiego powietrza. Gęste pajęczyny i zakurzone drewniane meble podziurawione przez korniki, przypomniały mi o opowiadaniu Wieża Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, które czytałem, gdy byłem jeszcze licealistą. U niego na ścianach wisiały grafiki Piranesiego z cyklu *Invenzioni Caprici di Carceri*⁷, tu kilka litografii nocnych zwierząt leśnych autorstwa Édouarda

⁵ zob. Dante Alighieri, Boska Komedia, Pieśń XXXIII. Opowieść śmierci Ugolina. — Oddział 3. Ptolomea. Zdraycy przyjaciół. Brat Alberigo. Branca d’Oria. Strącone do piekieł dusze ludzi jeszcze żywych.

⁶ Dom rodziny Buonaparte od strony ojca znajduje się w Sarzanie obok La Spezia. Napoleon Buonaparte (później Bonaparte) mówił po włosku i w dialekcie liguryjskim. Język francuski przysparzał mu do końca życia sporo problemów o czym świadczą liczne błędy ortograficzne, które popełniał w oficjalnych dokumentach.

⁷ Tłumaczone również jako „Wyimaginowane więzienia”. Seria szesnastu akwafort weneckiego architekta Giovanniego Battisty Piranesiego. Prace przedstawiają ogromne podziemne sklepienia ze schodami i potężnymi maszynami. Dzieło Piranesiego zaliczane jest do włoskiego gatunku architektonicznych fantazji zwanego capriccio.

Travièsa⁸ świadczące o zamiłowaniu do przyrody poprzednich właścicieli. „Czy więzienie jest jeszcze więzieniem, jeśli jesteśmy w nim zamknięci ze wszystkim co kochamy?” – zastanawiałem się patrząc na żonę. Może to właśnie świat zewnętrzny jest więzieniem, bo zawsze jest ktoś, kto zarządza strachem.

Jeszcze tego samego dnia podjęliśmy decyzję o zakupie tego mieszkania.

Wkrótce okazało się, że kamienice zamieszkuje także para emerytów. Gdy tylko dostaliśmy klucze przywitali nas i zaprosili do siebie na sardele z winem. Leila i Giovanni, bo o nich mowa, poznali się w Genui, gdy oboje byli w poprzednich związkach. Historia miłosa jakich wiele – kobieta pracowała w knajpie nieopodal stacji kolejowej, do której przychodził po pracy kolejarz.

– Wiedziałem, że to jest to. Gdy zdarza się miłość zawsze wiemy, że to jest to – podsumował Giovanni. Po jakimś czasie postanowili zacząć wszystko od nowa i schowali się pomiędzy Ligurią, a Piemontem. Najpierw w Piampaludo, gdzie wynajmowali *casa rustica*⁹ i mieli stadninę koni, a później w Sassello, gdzie jak sami stwierdzili stali się *guardie del palazzo*¹⁰.

IV.

Gdy co noc siedzieliśmy z sąsiadami w naszej altanie popijając wino rozmawialiśmy zazwyczaj o muzyce, jeździe konnej i jedzeniu. O pierwszym właścicielu Costalungi niewiele wiedzieli. Walczył pod Monte Cassino, a następnie zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach na terenie Związku Radzieckiego. Wiadomo, że był dobrym gospodarzem, który w epicentrum dzikiej przyrody pozostawił pałac. Czułem oczywiście niedosyt tej opowieści. Nie była ona nawet przerwana w połowie, jej w ogóle nie było. Co zrobić z niedopowiedzianymi historiami? Pierwsi chrześcijanie uzupełniali te białe plamy tworząc apokryfy. Moim ulubionym zajęciem w chwilach, gdy leżałem sam na hamaku patrząc na Drogę Mleczną było szukanie dalszej historii. Nigdy nie potrafiłem jej skończyć. Wątki ginęły jak niektóre gwiazdy i nie mogłem ich później na nowo odnaleźć.

⁸ Édouard Traviès (1809-1876) francuski akwarelista, litograf i ilustrator. Znany głównie ze swoich obrazów o tematyce przyrodniczej.

⁹ z wł. „dom rustykalny”, odpowiednik polskiego siedliska.

¹⁰ z wł. „strażnicy pałacu”. Tu żartobliwie o samotnym mieszkaniu w wielkiej kamienicy.

Nocą, pośród gwiaździstego nieba i ciemnego liguryjskiego lasu nasz włoski palazzo wyglądał jak wielki statek dryfujący samotnie po morzu. Od razu pomyślałem o Krzysztofie Kolumbie, o którego życiu też niewiele wiadomo. Czasami nie wiemy kim są ludzie, którym wiele zawdzięczamy. Nie zawsze możemy dowiedzieć się wszystkiego o tych, którzy pozostawiają po sobie trwałe ślady.

Nasz świat, nasza cywilizacja potrzebuje cudów albo chociaż dobrych uczynków. Być może każda decyzja, każda droga zawiera w sobie kupon loterii i jest jedną z nieskończonej ilości możliwości, które możemy wybrać. Ostatecznie każdy wybór daje kolejne możliwości, a ważniejsze od porażki jest to, że się ciągle próbuje.

V.

Po zorganizowaniu sobie życia na nowo zaczęliśmy coraz częściej zjeżdżać do miasta. Typowy Włoch z liguryjskiej prowincji podczas sjesty siedzi w kafejce oddając się wielogodzinnym rozmowom, pali fajkę, pije wino i gra w karty. Ma skromny dom i kawałek ziemi wyrwany naturze, na którym uprawia małe poletko. Jakieś ziemniaki, trochę zboża, cytrusy, warzywa, może jakieś zwierzęta hodowlane. Tylko tyle i aż tyle. Być może na niewiele go stać, ale to nie jest ważne, bo nie brakuje, żeby przeżyć, zapłacić rachunki, ubrać się i zjeść. Czas płynie powoli, dla niektórych zbyt powoli... Przeciętny Polak ma podobne mieszkanie na kredyt i nie ma czasu. Jeden ma kredyt, drugi ma czas. Z naszej perspektywy mogliśmy zobaczyć kto z nich jest bardziej szczęśliwy i czuje, że żyje.

Wkrótce zauważyłem, że po jakimś czasie moje rozważania o Polsce zaczęły wygasać, pojawiały się coraz rzadziej. W końcu zdarzały się jedynie w trakcie niedzielnych mszy. Kościół był jedynym miejscem, które łączyło mnie z ojczyzną. Patrzyłem wtedy pustymi oczami na eucharystie. Przerażony, bo świadomy, że straciłem wiarę. Ludzie bez wiary są nieuważni. Stają się niebezpieczni, bo nie mają celu, nie potrafią kreować tego co może czekać jutro. Moja żona na różne sposoby chciała żebym odzyskał wiarę, ona jedyna wierzyła, że warto.

VI.

Może to dzięki jej wytrwałości, w wiosce Palo, w małym kościółku pod wezwaniem *Bernarda z Clairvaux*¹¹ podczas jednego z wielu koncertów przypominałem sobie, że muzyka jest opowieścią. Zawiera w sobie elementy sielankowe i radosne, ale także elementy tragiczne, śmiertelnie poważne. W skrócie: „życie”.

Dźwięk jest nieskończony, towarzyszy nam od początku naszego istnienia. Dźwięk trwa ciągle, nie ginie, nawet pod pretekstem ciszy odczuwamy go w myślach. Muzyka jest zapisem urywku, zapisem chwili. Wymowna i precyzyjna całość spogląda na nas spod skupionych oczu solisty, bacznie śledzącego zapis linii melodycznej.

– Podoba ci się? – zapytałem żony w przerwie pomiędzy *La campanella*, a *Cantabile* Paganiniego.

– Nie znam się – skromnie spuentowała. Oczywiście rozumiała bardzo dokładnie, czuła się zapewne tak jak ja – nieswojo. Zatrzymaliśmy się tu na godzinny koncert i uświadomiłem sobie jak marnowałem dotychczas swój czas, żyjąc od-do z ludźmi mówiącymi tym samym językiem co ja, których kompletnie nie rozumiałem.

Dopiero w Palo zdałem sobie sprawę, że moja podróż, wewnętrzna pielgrzymka jest rodzajem przystani. Oazą, w której się schowałem, żeby zagoić rany i odpocząć. Statkiem znajdującym się na pełnym morzu, którego kapitan, gdy nie wieje już wiatr wydaje rozkaz, by opuścić maszty i pozwala spokojnie dryfować. Miejscem, gdzie mogę w końcu się zatrzymać i spojrzeć z perspektywy dystansu, z odpowiedniej odległości na wszystkie sprawy, jakie niosłem ze sobą. W końcu mogę zrzucić ten bagaż ze zmęczonych pleców, wypakować go i poukładać na nowo. W moim życiu brakowało tych ważnych przerw pomiędzy czynnościami. Istotnych pauz, wymownej ciszy zmuszającej do przemyśleń.

Skrzypce zamykają w sobie smutek świata, przenikają dogłębnie człowieka i przypominają mu o jego skończoności. Paganini zanim wypłynął z Genui na szerokie wody był bity i zmuszany do tytanicznej pracy przez swojego apodyktycznego ojca. „Prawdziwe piętko zawsze rodzi się z bólu” – pomyślałem klaskając na bis.

¹¹ Bernard z Clairvaux (1090-1153) – Jeden z najwybitniejszych teologów średniowiecza. Mnich cysterski, opat klasztoru w Clairvaux, doktor Kościoła i filozof znany jako „Doktor Miodopłynny”, patron Ligurii i Genui.

Wyszliśmy z kościoła. Byliśmy tu obcy. Wieczór był przyjemny, a rytmiczny dźwięk cykad jeszcze na długo przed zaśnięciem zlewał się z brzęczeniem w uszach tuż po koncercie.

VII.

Tej nocy przyśniła mi się długa męcząca wędrówka, której nie jestem do końca pewien. Nie jestem przygotowany na wielogodzinny marsz skalistą ścieżką na Monte Beigua¹². Nie wiem czy ta podróż jest dla mnie opłacalna. „Nie wszystko co się opłaca jest tego warte i nie wszystko co jest tego warte się opłaca” – powtarzałem przez sen jak mantrę dopasowując ją do rytmicznych kroków pieszej wędrówki. Podczas wielogodzinnego wysiłku fizycznego, zapominamy o bólu, zostajemy sami ze swoimi myślami w głowie. Zapominamy o czasie, przestaje on być ważny. Czas mija, tak jak wszystko. Przemijanie jest przywilejem, które nie jest dostępne dla wszystkich. Każda góra strzeże bożego porządku i cierpliwie czeka aż na nią wejdziemy.

Nie potrafię sobie do końca przypomnieć, czy znajdowałem się wtedy jeszcze we Włoszech, być może była to któraś z górskich ścieżek prowadzących do Kaplicy *Madonny del Foresto*¹³. Nie byłem do końca przekonany, ale wytrwale szedłem przed siebie, pomimo że nigdy nie należałem do ludzi, którzy mogą chodzić cały dzień z kamykiem w bucie.

Nazajutrz obudziło mnie pianie koguta i gorące powietrze zawiesznięte w sypialni. „Ciao. Bądź szczęśliwy, bo ja jestem szczęśliwa¹⁴. Zostaniesz ojcem” – usłyszałem kobiecy szept.

Wtedy pierwszy raz w życiu zrozumiałem, że nie ma celu. Jest tylko droga.

COSTALUNGA, SASSELLO, 2023.

¹² Monte Beigua – najwyższy szczyt znajdujący się w liguryjskim Parco naturale regionale del Beigua – największym obszarze chronionym w regionie.

¹³ Kaplica Madonny del Foresto zwana także kaplicą Bei Bailà lub Sbarbayò znajdująca się w wiosce Palo (gmina Sassello). Od ponad 20 lat domem obok kaplicy zarządza drużyna harcerska „GENOVA 7”.

¹⁴ Ostatnie słowa wypowiedziane do matki przez Chiarę Luce Badano, dziewiętnastoletnią mieszkankę Sassello zmarłą na nowotwór kości. Ogłoszona błogosławioną 25 września 2010 r., patronka tegorocznych Światowych Dni Młodzieży 2023.



IN HOC SIGNO VINCES

Położyłam się po północy, czując straszny ból głowy.

Był środek kolejnego, wyjątkowo upalnego lata, które ciężko było przetrwać bez klimatyzacji. Temperatura dochodziła w ciągu dnia do czterdziestu stopni.

Niestety, mimo włoskiej aury, nie wprowadzono sycylijskiej sjesty i w większości urzędów pracownicy przegrywali ze zmęczeniem, co odbijało się na zdenerwowanych petentach.

Załatwiłam na mieście absolutne minimum i czym prędzej kierowałam się do domu. Do cichego salonu z wiatrakiem i spuszczoneymi roletami.

W takie leniwe dni, coraz częściej zastanawiałam się, jaki sens ma moje życie, przypominające bieg przerażonego chomika w plastikowym kółku, ustawionego w rogu klatki.

Mój czas i energię pochłaniało od lat wykopywanie się z nowych kłopotów. Różnorodnych i zaskakujących, bo jak nie urzędowych, to emocjonalnych, jak nie finansowych, to emocjonalnych. Kiedy wieczorem słuchałam wiadomości z podsumowaniem dnia, odnosiłam wrażenie, że inni wcale nie mają lepiej. Z różnych kanałów monitora satelitarnego dziennikarze od lat relacjonowali wojnę, epidemię, terroryzm, kataklizm, wypadki, inflację, podwyżki, brak paliwa, opału, wody, czy przekręty rządu... Zmieniała się jedynie kolejność.

Wyłączyłam po kilku minutach puszkę Pandory i z marnym nastrojem usiłowałam zasnąć.

Od jakiegoś czasu planowałam ważne spotkanie, które mogło odmienić moje życie, a ja bardzo tego potrzebowałam.

*

Obudziłam się czując na sobie czyjeś spojrzenie. W ciemnym rogu pokoju, dostrzegłam wysoką, męską sylwetkę. Przez chwilę miałam wrażenie, że to jedynie sen, który za moment się skończy, jednak postać konsekwentnie stała w tym samym miejscu.

– Witaj Aniu. – niski, przyjemny głos przerwał niezręczną ciszę. Jestem Pielgrzymem Nieskończoności, ale zapewne się tego domyślasz, bo wielokrotnie prosiłaś o nasze spotkanie. Powód mojej wizyty jest jasny. Chcesz poznać równoległe rzeczywistości i dokonać wyboru, gdzie zostać i żyć. W tym nie potrafisz odnaleźć spokoju, ani szczęścia.

Postać zrobiła krok do przodu. To pozwoliło mi dokładniej zobaczyć właściciela głosu.

– Eh... Witaj... To prawda. Od dawna czekałam na nasze spotkanie. – Mimo wszystko byłam zdenerwowana, a suchość w ustach zniekształcała mój głos.

– Chciałabym znaleźć się w lepszym miejscu. Z roku na rok jestem coraz bardziej rozczarowana i zgorzkniała. Smutna i samotna. Marzę o wyrwaniu się z tego świata. W tym, w którym utknęłam jest mi źle. Chciałabym żyć w lepszym miejscu...

– W lepszym? A skąd pewność, że takie istnieje?

Siedząc na łóżku przypatrywałam się mówiącej cicho postaci.

Wiele razy wyobrażałam sobie jak będzie wyglądał ten nietypowy przybysz.

Przedemną stał postawny, starszy mężczyzna, ubrany w czarny płaszcz z dużym kapturem, wykończonym aksamitną listwą. Jego twarz była mocno pomarszczona, jednak pogodna. Jasne oczy, lśniły młodzieńczym blaskiem.

– Wierzę, że nie wszędzie jest tak podle i destrukcyjnie jak na ziemi. Mylę się? – spytałam cicho, spuszczać wzrok.

– Przekonasz się sama, a potem zadecydujesz gdzie chcesz zostać, a teraz wstań, zamknij na chwilę oczy i podaj mi obie dłonie.

Wstałam. Zamknęłam oczy, wyciągnęłam przed siebie ręce. Spodziewałam się zimnego, szorstkiego dotyku. Zaskoczeniem były ciepłe i miękkie dłonie mojego gościa.

Wraz z uściskiem, poczułam nieznaną lekkość. Jakbym przestała podlegać prawom grawitacji.

Jakby zatrzymał się mój oddech, bicie serca, czas...

*

– Możesz otworzyć oczy.

Moje rozmyślenia o własnym stanie skupienia, przerwał cichy głos Pielgrzyma Nieskończoności.

Nagle świadomość wróciła. Nakazałam moim oczom się otworzyć i sprawdzić zmiany, które nastąpiły.

Zawieszeni byliśmy w nieznanym przestrzeni, w przezroczystej bańce, o średnicy około 1,5 metra wypełnionej zielonym, metalicznym płynem. Na zewnątrz była niezliczona ilość okrągłych, zielonosrebrzystych kształtów. W środku każdej z kul, znajdowały

się przeróżne istoty. Niektóre siedziały w nich samotne, inne przebywały w parach. Byli to nieznanymi mieszkańcy innych galaktyk, hybrydy różnych gatunków, ale i znany mi homo sapiens.

– Małe te nasze stateczki. Możemy z nich wyjść? – chciałam spytać, ale nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu, bo płuca wypełniał mi płyn, którym byliśmy otoczeni.

Zaraz poznałam odpowiedź, bo słowa, jakie chciałam wypowiedzieć, pojawiły się na ścianie kulki przed nami.

Prorok uśmiechnął się, a za moment zobaczyłam iskrzący napis, będący odpowiedzią na moje pytania.

– Witaj w wymarzonym, innym świecie. Nie, nie ma wyjścia z kapsuły, ani możliwości przebywania poza nią. Jednak nie musisz tu nic robić. O nic się starać. Niczego planować, czy pilnować. Możesz jedynie trwać w cieczy, która wypełnia każdą twoją tkankę, jak formalina. Tylko wzrok pozwala ci na kontakt z kimkolwiek, ale za jakiś czas uznasz, że lepiej zamknąć oczy.

– Nie można nic innego zrobić?! – poddenerwowane emocje wyraziłam zaledwie połyskliwymi literkami.

– Nic. Dokładnie nic. Przecież ludzie tak często nie chcą robić nic, nieprawdaż?!

– To na czym polega to szczęście i spokój, skoro nie można robić nic, poza gapieniem się jak niema ryba na resztę tych dziwnych pasażerów donikąd?

– To istota tego wymiaru. Jesteście panami nicości. Nudy. Niebytu. Pustki. Przecież nieraz chciałaś zniknąć, zapaść się pod ziemię. Być wolna od obowiązków i ograniczeń. Skończyć nieustanną walkę o jutro. Można uznać, że jesteś właśnie w tym idealnym, wyproszonym przez siebie miejscu.

Patrzyłam na mijane bańki z innymi „szczęśliwcami”, ale jakoś nie było po nich widać, ani zadowolenia, ani tego oczekiwanego błogostanu trwania w nicnierobieniu.

W zielonych akwariach panował smutek. Rezygnacja. Zawód.

Na ściankach, co jakiś czas pojawiały się migocące zdania. Nawet na tych, gdzie była tylko jedna istota. Widocznie musiała porozmawiać sama ze sobą...

*

– Chcę wracać! – wyświetliło się przed nami. A ja jak umiałam najidiotyczniej wcielałam się oczami w rolę Kota ze Shreka. – Możemy już opuścić te bezsensowne bańki?

– Tak szybko? Ależ dlaczego Aniu? Popatrz jak tu fajnie. Nie trzeba robić nic. Nic się nie wydarzy. Nic cię nie zaskoczy. Nic niespodziewanego nie spotka. Możesz

rozkoszować się pustką, brakiem zmian i zaskoczeń. Na zderzenie kulek raczej również nie ma co liczyć. Zostało to skasowane z opcji bytu, aby uniknąć niepotrzebnych emocji i sensacji w tej waszej oazie trwania – kontynuował Pielgrzym Nieskończoności, a właściwie Prorok Przyszłości.

Czułam się coraz koszmarniej.

W kulkach podróżowały oczy, które miały świadomość przegranej. Było w nich rozczarowanie, smutek, porażka, niemoc...

– A gdyby być w tym zielonym, przezroczystym pudełku z kimś bliskim? – przerwałam jego monolog.

– To jeszcze większy zawód i smutek. Nie jesteś w stanie odczuwać w cieczy nieśmiertelności NIC. Dotyk, emocje, wrażliwość, to tylko metaliczne wyrazy wyświetlane na krawędzi waszego wymarzonego świata, które zostały zalane płynem obojętności. Nie ma uścisku. Pocałunku. Nie ma śmiechu. Nie ma głosu. Nie ma też łez i rozczarowania.

– Czyli nie można nic odczuwać? – byłam coraz bardziej przerażona i zawiedziona podróżą.

– Mistrzu, czy uczucia zostały sparaliżowane tym płynem? No, ale ja czuję przecież ten bezsens. Wiem, że nie chcę tu być. Dusi mnie ta pustka.

– Ciebie jeszcze tak, bo jesteś tu ze mną i na razie twoje emocje są na poziomie tych, które miałaś i znasz. Płyn masz tylko w płucach, bo tu nie da się inaczej porozumiewać, ale jeśli wypełni twoje tkanki i serce, będziesz ich pozbawiona jak wszyscy. Taka hibernacja w wegetacji.

– Nie chcę tu dłużej zostać. Nicość nie jest dla mnie. Możemy wracać? Proszę...

– Naprawdę miałam dość.

– Dobrze, wybór należy do ciebie. Podaj dłonie.

Wkrótce spotkamy się ponownie, a teraz zamknij oczy i żegnaj.

„Żegnaj koszarze” – pomyślałam i straciłam świadomość.

*

Ocknęłam się obolała, leżąc przykryta miękkim kocem w sypialni.

Powoli rozluźniałam mięśnie, rozkoszując się ziemską grawitacją.

Świtało. Spojrzałam na zegarek. 5.36. Dziwna pora. Ani spać, ani wstawać.

Postanowiłam wyprowadzić psa, żeby bez stresu pozwolił mi potem odespać zarwaną noc. Ubrałam dres i za kilka minut patrzyłam na budzące się niebo, a psiak wesoło zbierał informacje pozostawione na trawie przez kolegów.

Po spacerze wzięłam zensen.

Czy te białe, małe tabletki są moim jedynymi chwilami szczęścia?
Czy zrozumienie i bliskość przestały istnieć?
Czy naprawdę ludzie muszą się bez sensu krzywdzić?
Pamiętam jeszcze wypełnione śmiechem wieczory i namiętne noce.
Gdzie to zniknęło?
Zapytam o to następnym razem Pielgrzyma.
Powoli zażyta substancja zaczęła mnie wprowadzać w inną rzeczywistość.
Zdecydowanie lepszą niż zielone więzienia.

*

Kolejne dni mijały mi na rozmyślaniach o spotkaniu z Prorokiem Zmian i krainie srebrzystych baniek.

Nic nie robić i na nic nie czekać musi być koszmarem.

Za każdym razem, kiedy zaczęłam marudzić na natłok obowiązków, przypominał mi się niemy horror, z napisami na ścianie okrągłego więzienia.

Zaczęłam sobie tłumaczyć, że raty kredytu, jakie mam płacić przez kolejne 19 lat nie są niczym strasznym, a trzy godzinny korek w centrum, to super czas na wykonanie zaległych telefonów.

Ziemskie życie posiadało masę emocji, ale większość z nich niestety nie była pozytywna. Gniew, smutek, bezsilność, strach, egoizm, samotność – wyliczałam te najbardziej dokuczliwe. Czemu przestaliśmy być radośni, serdeczni i spontaniczni?

Czy nie da się funkcjonować bez kalkulowania, narzekania i złości?

Dobrze by było, jak kiedyś, spotykać się ze znajomymi wieczorem, czy wyjść na koncert do miasta, ale teraz nikomu się nie chce. Nie ma już nocnych eskapad, bo lepsza jest opcja komunikatora z własnej kanapy w poplamionym dresie.

A miłość? Istnieje? Czy ona jeszcze na mnie czeka? Ta ostatnia, po dwóch wspólnych latach stwierdziła, że woli opcje singiel, bo tak jest wygodniej.

A poprzednia... aaa, no poprzednia zapomniała, że jesteśmy razem, jak wyjechałam w delegację. Dodatkowo, aby go upokorzyć i poniżyć wróciłam do własnego domu 4 dni za wcześnie. No debilka ze mnie. Złośliwa i podstępna zmija, która chciała go nakryć we wspólnej sypialni, z jęgo uczennicą. Skompromitować, ośmieszyć i zniszczyć.

Swoją drogą, małolata miała świetne ciało.

Jedynie pies trwa przy mnie, z jako takim oddaniem 16 lat, chociaż nie będę sprawdzać, czy sąsiadka nie przekupi go lepszym kabanosem.

*

Pielgrzym pojawił się ponownie, w upalny lipcowy wieczór.

Dochodziła druga w nocy, a ja nadal siedziałam w salonie pod wentylatorem sącząc trzecie mohito.

Tym razem przywitałam gościa z uśmiechem i z wielką ciekawością tego, co się wydarzy.

– Witaj mój Przyjacielu – zaczęłam z optymistycznym nastawieniem.

– Cześć Aniu. Ciągłe jesteś niezadowolona z ziemskiej rzeczywistości? Lecimy dalej, czy zostajesz? – dzisiaj mój Przybysz postawił na letnią stylizację. Lniane spodnie i koszula w kolorze kawy z mlekiem. Uwielbiam ten kolor. Mimo wieku, był bardzo przystojny. Siwe, gęste włosy opadające na ramiona i zmarszczki wokół oczu dodawały mu uroku.

Mimo wieku... Nie miałam pojęcia ile ma lat, ale nie chciałam o to zapytać.

– Myślałam sporo o tych bańkach. Bezczywność i nicność z zalanymi płucami, z pewnością jest gorsza od tego, co znam. Chciałabym czuć życie. Spełniać swoje pragnienia. Działać. Doświadczać. Smakować. Poznawać.

– Ha! Dobrze, w takim razie, w drogę! Podaj mi dłonie Aniu i zamknij oczy.

Zrobiłam to, o co poprosił Pielgrzym. Musiał słyszeć moje bijące serce, które wpływem adrenaliny i emocji tłukło się niecierpliwie.

Tym razem nie poczułam stanu nieważkości, a jakby minimalne przesunięcie.

Było bardzo gorąco i duszno. W powietrzu unosiły się nieprzyjemne zapachy.

W oddali słychać było naprzemiennie krzyki, śmiechy, skowyty i jęki.

– Aniu, jesteś gotowa na spotkanie z rzeczywistością przepełniona emocjami, dziką rozkoszą i bezgraniczną ekstazą?

– Mam nadzieje, chociaż tym pytaniem pewnie coś mi sugerujesz. Mogę otworzyć oczy?

– Tak. Pielgrzym puścił moje dłonie, a ja zobaczyłam scenerię, która przypominała powojenne, przepalone zgliszcza.

W odległości kilkuset metrów widać było ludzi. Panował hałas, zgiełk, a przede wszystkim nieład i brud.

Im bliżej podchodziliśmy do skupiska będącego źródłem smrodu i hałasu, tym wyraźniej widziałam mieszkańców tego miejsca.

Niektóre postacie przypominały ludzi, inne były hybrydami, jeszcze inne całkowicie mi nieznane. Sylwetki były jednak niekompletne. Albo brakowało jakiejś kończyny, albo ciało nosiło znaki okaleczenia.

Wszystkie jednak ogarnięte były jakimś szałem i dziką ekstazą.

Istoty, które szalały w pojedynkę, albo sobie coś wydłubywały, albo odcinały, podpalały, szarpały członki i wnętrzności. Ślady krwi, gnijące resztki były wszędzie.

Postacie, które były w parach, czy grupach, kopulowały ze sobą w najdziwniejszych pozycjach i konfiguracjach, co chwile wściekle wrzeszcząc i wijąc się w konwulsjach.

Otoczenie sprawiało wrażenie otwartego ogromnego obozowiska, na którym przeplatały się miejsca do biesiadowania i rozrywki. Nie było osobnych pomieszczeń, odrębnych zabudowań, a jedynie otwarta przestrzeń, będąca własnością wszystkich.

– Pielgrzymie! Co tu się dzieje? – wyszeptalam przerażona, bojąc się, że ktoś nas usłyszy.

– Droga Aniu, to czego sobie przecież życzyłaś. Jesteś w przybytku szalonej ekstazy. Miejscu obłędu, braku granic, gdzie z pewnością nie spotkasz nudy.

– Nie kpij proszę. Jestem w szoku. Co oni sobie robią? Czemu nikt nie wygląda normalnie? Czy oni nas napadną, bo zaczynam się bać, że nie wrócę w kompletnym stanie do domu?

– Nie. Nie bój się. Oni nas nie widzą. Gdyby było inaczej z pewnością zaraz zostałabyś ofiarą zbiorowego gwałtu, a potem prawdopodobnie pozbawiona jakiejś części ciała, z którą lepiej się nie rozstawać.

– Nie żartuj. Możemy wracać?

– Oooo.. Już chcesz wracać? Nie tak szybko Anno. Poznaj świat, gdzie mieszkańcy zdecydowali, że chcą żyć pełnią życia. Doświadczać jak najmocniej i jak najszybciej. Prześcigają się w pomysłach na przekraczanie niemożliwego, chociaż większość szybko umiera, bo każdego dnia chce być dalej i dalej bez końca.

W tej rzeczywistości można wszystko. Nie ma kar za samo i okaleczanie innych, bo jest to coś, czego pragną mieszkańcy Madru, pod wpływem specyfików, od których są świadomie uzależnieni.

W Madru, nie ma podziałów na gatunki. Od wieków kopulują ze sobą wszyscy i wszędzie. Spójrz tam na tą grupę po lewej stronie. O tam, pod tymi roślinami przypominającymi palmy.

Faktycznie pod ogromnymi roślinami, uprawiało dziki seks z kilkadziesiąt istot. Ludzkich, nieznanych i pomieszanych. Zachowywali się jakby byli naćpani i kompletnie pozbawieni hamulców.

Orgia posplatanych ciał, jakiej z pewnością nie wymyśliłby Hefner w najczarniejszych snach, po podwójnej viagrze.

– Czy oni robią coś innego poza tą ... destrukcją? – ciężko było patrzeć na stan niektórych szczątków organizmów.

– Nie Aniu. Dawno temu podjęli decyzję, że chcą przeżyć swoje istnienie w najbardziej szalony, a w właściwie nieludzki sposób. Ulepszyli specyfiki, podobne do ziemskich narkotyków na tyle, że nie odczuwają bólu, który znasz. Nie mają też po nich innych myśli poza tym, co widzisz.

Madruanie, zaprogramowali roboty P -700 do tego, aby stale dostarczały im substancji psychoaktywnej oraz pożywienia. Niektóre samice rodzą dzieci. Te, jak zostało ustalone, przez radę Władców Madru, zostają zabrane przez roboty do Miasta Dzieci, gdzie są wychowywane i przygotowywane do upustu nagromadzonych emocji przez 12 lat.

Potem zaczynają dostawać eliksir i kiedy są gotowe, roboty wypuszczają je na zewnątrz do zabawy na śmierć i życie. Tu wszystko jest wspólne. Nikt nic nie chce posiadać, czy gromadzić. Jedyne istotne jest, jak najmocniejsze odczuwanie tego, co uroi się w szalonych głowach. Ich przodkowie byli znudzeni ograniczeniami i normalnością.

Wy byście powiedzieli, że „świat stanął na głowie”, ale im o to dokładnie chodziło.

Jedyne, co ma wypełnić ich życia, to realizacja najbardziej wymyślnych fobii i dziwactw.

Nie podoba ci się tu? Nie chcesz spróbować, jak to jest na maxa puścić wodze fantazji i moc wszystko, bez żadnych konsekwencji?

– Boże nie! Lubię czasem zaszaleć, ale planuję raczej do śmierci zostać w takiej formie, jak teraz i jakoś nie preferuję orgii, tym bardziej w takim towarzystwie. Wracajmy proszę.

– Maruda z ciebie Aniu. Tak ci źle na tej ziemi, a jak tylko ją opuszczasz, nie możesz doczekać się powrotu. Bańki nudne, Madr przerażający. Zastanów się, czego ty chcesz.

Może nie ma sensu przeklinać ziemskiego trwania?

Może to w twojej głowie i nastawieniu tkwi problem?

Dawaj dłonie i zamykaj oczy, a po powrocie na spokojnie to sobie przemyśl.

– Dobrze – odpowiedziałam cicho, robiąc wszystko, żeby się nie porzyceć.

*

Po drugiej próbie odnalezienia swojego miejsca we wszechświecie, miałam dosyć.

Nuda nie dla mnie, totalna destrukcja jeszcze gorsza.

Kolejne dni lipca były słoneczne i ciepłe. Zabierałam psa na długie spacerki.

Wieczorami na tarasie czytałam Lema, delektując się czerwonym winem. Wróciłam do Zoli i Artura Rimbaud.

Po spotkaniu z Pielgrzymem Nieskończoności „Sezon w piekle” nabral innego znaczenia. Zaczęłam przyglądać się z większą uwagą ludziom i otoczeniu, na które tak narzekam.

Czy było faktycznie, aż tak źle?

Coraz częściej rozmyślania puentowało zdanie: „Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”. Doskwierała mi samotność, ale czy nie tkwiłam w niej z własnego wyboru?

Nie przypominam sobie, abym entuzjastycznie podchodziła do propozycji spotkań z kimkolwiek od bardzo dawna.

Może to wszystko zależy ode mnie, a narzekanie i szukanie jedynie ciemnych stron wszystkiego, generowało ten zniechęcony stan?

*

Na nadchodzące urodziny zamówiłam z Anglii, niedostępne u nas albumy Gigera. Przesyłka przyszła tydzień przed metrykalnym terminem.

Postanowiłam poświęcić na ich degustację cały wieczór.

Zaopatrzona w zacy, brunatny trunk, zasiadłam do dokładnego studiowania każdej ze stron. Mroczne kadry kreślone przez wizjonera zawsze robiły na mnie duże wrażenie.

Czy on znał te miejsca, które malował? Czy znał Pielgrzyma? Czy spotkania z nim były inspiracją do dzieł, które fascynowały i przerażały jednocześnie.

Na odpowiedź nie musiałam długo czekać, ponieważ na trzecie spotkanie mój Nietypowy gość właśnie się wprosił.

– Witaj Aniu. 100 lat jak to się u was mówi. Widzę, że przeglądasz album mojego znajomego. Pielgrzym stał za moimi plecami, wpatrując się w jeden z obrazów.

– Hej. Dzięki wielkie! Czyli znałeś go. On tam był z Tobą? – spytałam przekładając kolejne strony.

Chwilę milczeliśmy starając się wyobrazić miejsca, które skądrował malarz.

– Tak... Odbyliśmy kilka podróży. Podobnie jak ty prosił o spotkanie, ale ostatecznie Hans zdecydował, że zostaje z wami.

– Więc nie ma lepszych światów? Pragniemy czegoś, czego nie ma? – moje pytania stały się bardziej stwierdzeniami.

– Nie wiem. Zależy. Nie tylko on malował to, co mu pokazałem. Nie muszę ci chyba wymieniać artystów, których dobrze znasz, zarówno z obrazów jak i literatury.

Najwięcej podróży odbyłem z Nietzsche. Był zafascynowany tym, co mu pokazywałem, ale do końca życia nie potrafił wybrać obłędu, który by go zadowolił.

Zabawny był Salvador Dali – prawdziwy szaleniec. Lubiłem go. Ciekawa postać o nietuzinkowej osobowości. Faktycznie wtedy do was nie pasował, ale bardzo kochał Gałę, a jej nie mógł zabrać. Tylko dla niej tu pozostał, ale zapewniam cię, że to był szczególnie przypadkowy szaleńca. Bosch z kolei, po spotkaniu ze mną tak bardzo uwierzył, że byliśmy w piekle, że na zawsze stało się jego obsesją.

– A raj? Czy istnieje coś takiego.

– Nie ma ani piekła, ani raju, a to co, ci się wydaje miejscem pozbawionym zła, czy krzywdy istnieje tylko w bajkach dla bardzo małych dzieci, ale i one podchodzą do tego z rezerwą. Chcesz jeszcze poznać inne wymiary, aby przekonać się jak jest „gdzie indziej”.

– Nie... chyba nie... Zostanę tu, bo coś mi mówi, że nie bez powodu kupiłam na kredyt obraz Beksińskiego – In hoc signo vinces. Zobacz, jak Pielgrzym w kapturze kołysz Przeszłość. Powinam zostać z nim na zawsze. Zwycięzę tu. Przynajmniej się postaram.

– Dobrze. Staraj, to dobry pomysł. Najważniejsze jest twoje nastawienie. Życzę ci tego.

A zatem nigdy więcej się nie zobaczymy... wiesz o tym?

– Wiem.

Postać zniknęła, a ja do rana patrzyłam na biomechanoidy i landscapes stworzone przez Ojca Obcego i uwierzyłam, że czeka mnie lepszy świat...

*

Kobieta w drodze

Rozdział 1.

Błogość. Spokój. Pełnia. Znów była nad rzeką. Unosiła się na wodzie, przyjemnie chłodnej, ale nie zimnej, czując delikatne promienie słońca na twarzy. Sonia była obok, jak zawsze ćwicząc zawzięcie wodne akrobacje. Brała głęboki oddech i znikwała pod wodą, robiąc fikołki. Za każdym razem wynurzała się, triumfalnie krzycząc, że pobiła kolejny rekord. Oszukiwała rzecz jasna, ale ona często przymykała na to oko, dając wiarę, że siedmiolatka spokojnie może zrobić dwadzieścia fikołków na jednym wdechu. Czasami, kiedy była w bardziej kłótliwym nastroju, robiła jej wymówki twierdząc, że to niemożliwe, że Sonia nie jest mistrzynią, tylko zwyczajną krętaczką. Dziewczynka udawała obrażoną, ale dzielnie dowodziła swoich racji, przytaczając mnóstwo nedorzecznych, dziecięcych argumentów i ostatecznie wychodziła z pojedynku Matka-Córka zwycięsko. A potem znikwała. Tak po prostu, bez żadnego ostrzeżenia. Jej miejsce zajmowała rozpacz.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Katię patrzącą na nią uważnie. Tak jakby badała w jakim dziś jest nastroju, czy od razu się podniesie i ją nakarmi, czy też zostanie w łóżku na długie godziny zostawiając kotkę na pastwę suchej karmy, za którą nie przepadała. Jadła ją jednak ze spokojem godnym podziwu. W wolne dni tak właśnie było. Wstawała jedynie do toalety i przez godziny zaciskała oczy, licząc, że po prostu zaśnie. Jednak dziś był czwartek i trzeba było zwlec się z łóżka. Była przecież kobietą pracującą. Z przyzwyczajenia włączyła radio, zagotowała wodę na kawę i poszła do łazienki. Wzięła szybki prysznic, umyła zęby, wklepała toner, esencję i krem zgodnie z zasadami koreańskiej pielęgnacji. Właściwie nie wie czemu wciąż to robiła, gdzieś miała walkę z czasem. Równie dobrze, mogłaby się zapuścić, nie myć się i nie czesać, nawet nie zmieniać bielizny, ale było jej jakoś głupio. Tak przed samą sobą. Nie chciała pozwolić sobie na taki oczywisty manifest rozpacz. Starła się trzymać swojego planu.

Rozdział 2.

W pracy czas mijał jej naprawdę szybko. Robiła machinalnie, to wszystko co do niej należało i robiła to naprawdę dobrze. Należała do tych skrupulatnych, a przy tym twórczych osób, za które pracodawcy daliby się pokroić. W tej dziedzinie jej życia, właściwie nic się nie zmieniło, a nawet było lepiej, bo już jej nie zależało. Nie przejmowała się bzdurami, które dawniej nie dawały jej spać i krytyką. Nie miała już żadnych ambicji, nie chciała piąć się po szczeblach kariery, po prostu robiła swoje. Nie ceniła swojego czasu, wysiłku, chętnie brała zastępstwa i dodatkowe obowiązki, co inni z kolei chętnie wykorzystywali. Szef po jej powrocie zaproponował jej wyższe stanowisko, ale Laura mówiła, że jeszcze jest za wcześnie, że potrzebuje czasu. Przyjął to ze zrozumieniem i empatią, w ogóle wszyscy byli dla niej wyrozumiali, szczególnie na początku kiedy zdarzało jej się w biurze zawiesić na długie momenty. To przychodziło nagle, podczas zwykłej rozmowy, kiedy coś przypomniało jej o Soni – rozpacz momentalnie zwała ją z nóg. Kilka razy miała też napady paniki, ale jedna z koleżanek, praktykująca jogę, nauczyła ją panować nad sobą, dzięki prostym technikom oddechowym. W pracy myśleli, że pogodziła się z losem i że dobrze sobie radzi. Ona czasem też tak myślała.

Rozdział 3.

– Poddałaś się – powiedział bez ogródek kiedy ją zobaczył. Nie zaprzeczyła. Nie chciało jej się udawać i przekonywać go, że jest inaczej. Nie miała na to siły. Poza tym uważała, że po tym, co razem przeszli, akurat Maks zasługuje na szczerość. Obydwoje zapalili papierosy. Wrócili do palenia, niemal równocześnie w dniu diagnozy.

– Czemu chciałaś się spotkać? – zapytała.

– By zobaczyć jak się trzymasz. Nadal jesteś moją żoną. Bierzesz leki? Chodzisz na terapię?

– Przecież wiesz, do cholery, że nie chodzę na terapię, bo ona w ogóle nie działa!

– U mnie się sprawdza. Terapeutka namówiła mnie też na grupową. Jest taka, grupa ludzi po stracie, bardzo się wspieramy. Chciałbym, żebyś spróbowała.

– Daj spokój, przecież wiesz, że nie pójdę. Byłam w takiej grupie na Facebooku i rzeczywiście na początku działało, a potem zrozumiałam dlaczego i się przestraszyłam.

– Dlaczego? – zapytał.

– Bo zamieniałam się w pieprzonego potwora, żywiącego się nieszczęściem. Czułam się tam jak ryba w wodzie, im więcej traum, tym mi było lepiej. Znaczą gorzej, rozumiesz?

– Jak zawsze, wszystko komplikujesz – powiedział, ale czuła, że Maks wie o czym mówiła.

– A Ty jak, zawsze wszystko upraszczasz. Ze spraw istotnych, Katia – czuje się nieźle. Nieźle jak na kogoś, kogo toczy raczysko.

– Mogę wpaść, by ją zobaczyć?

– Masz klucz, więc możesz przyjść kiedy chcesz, ale i tak nie przyjdiesz. Obydwoje to wiedzieli. Pokój Soni był zamknięty od półtora roku. Raz w tygodniu, przychodziła pani Lonia, sąsiadka, odkurzała i ścierała kurze w królestwie Soni. Niczego wcześniej niczego nie ustalały, ale pani Lonia wiedziała, że ma niczego nie ruszać. Emerytka nie brała grosza za sprzątanie tego pokoju.

– No tak, jest trochę za wcześnie. W każdym razie obiecaj, że pomyślisz o terapii – poprosił. – Nie pomyślę, ale dobrze było Cię widzieć. Muszę lecieć do weterynarza.

W drodze do domu, myślała o czasach sprzed Sonii. O ich małżeństwie, wspólnym, wygodnym życiu z którego wcale nie chcieli rezygnować na rzecz prawdziwej rodziny. Tak zawsze mówiła jej matka – prawdziwa rodzina to rodzice z dziećmi. Inne znajome pary miały już jedno, a nawet dwoje dzieci. Wyglądali na zmęczonych i zagonionych, szczególnie matki. Opowiadały o pierwszych ząbkach, nieprzespanych nocach, dyskutowały o wyższości pełzania nad raczkowaniem. Rozpierała je macierzyńska duma i pewna władczość nad nie-matkami. Ona zapragnęła dziecka dopiero wtedy, gdy poroniła. Czuła się winna, bo dużo pracowała i kiepsko się odżywiała. Wtedy obudziła się w niej tęsknota za czymś utraconym i postanowili intensywnie pracować nad projektem baby. Nie musieli czekać zbyt długo. Pewnego dnia, po prostu poczuła, że jest w niej życie.

Rozdział 4.

– Jak u niej z apetytem? – zapytał weterynarz, uważnie badając Katię.

– Tak sobie, czasy łakomstwa to już historia. Jej kiedyś tłuściutka, czy jak mówili złośliwi spasiona niebieska rosyjska kotka, była teraz dystyngowanym, szczupłym, ale nie wychudzonym stworzeniem. Poza tym nic się nie zmieniło. Miała to samo mądre, ujmujące spojrzenie. Wiedziała, że jest Panią życia, nie tylko swojego.

– Powiem tak, gdybym nie badania krwi i zdjęcia USG w życiu bym nie powiedział, że ma chłoniaka. Zdziwiająco dobrze znosi leczenie i to daje nadzieję, ale oczywiście, nie na pełne wyleczenie. Wie Pani o tym?

– Jasne, rozmawialiśmy o tym wiele razy – odparła.

– Wiem, ale wolę za każdym razem to podkreślić.

– Spokojnie, panie doktorze. Wiemy z Katią na czym stoimy. A właściwie nad czym. Nad przepaścią.

Weterynarz spojrział na nią, a ona uśmiechnęła się lekko, zapakowała Katię do kontenera i wyszła z gabinetu.

Rozdział 5.

Nie brała silnych leków z jednego prozaicznego powodu. Po nich rzeczywiście czuła się lepiej, miejsce rozpaczony zajmował znośny smutek, znacznie łatwiejszy do udźwignięcia. Czuła się jak zombie i to było bardzo wygodne, działała w spowolnionym tempie, mając wrażenie, że kontroluje ból. Dlatego sądziła, że polubi się z pigułkami, a jednak potem zrozumiała, że zabierały znacznie więcej niż dawały. Zapadała po nich w głęboki sen, przerażający, bo bez snów. Przestała widywać Sonię, a Ona żyła tylko po to by ją widywać. Sonia pojawiała się niemal każdej nocy, nie zawsze wyglądała jak Ona. Czasem była staruszką, czasem niemowlęciem, jej nieżyjącą przyjaciółką, matką, często zwierzęciem. Ale zawsze to była ona. Odbywały razem długie, egzotyczne podróże, patrzyły na nieznanne, piękne lub przerażające krainy, domy w słońcu i ogniu, pustynie piachu i lodu. Chłoneły ludzkie emocje – strach, gniew, ból, doświadczały radosnych uniesień i wzruszeń. Tak wyglądało jej prawdziwe życie. Było podróżą. Nie mogła pozwolić by jej to odebrano, a tego właśnie chciał psychiatra. Był zwolennikiem silnych leków i rezygnacji z iluzji, jak nazywał jej podróże z Sonią. Im bardziej naciskał, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że robi słusznie. Przerwała terapię i znalazła innego lekarza, który przepisywał jej antydepresanty, pozwalające jej chodzić do pracy i udawać dzielną. Już nigdy nikomu nie powiedziała, że widuje Sonię. Nawet Nice, zwłaszcza Nice.

Rozdział 6.

Siedziała owinięta w koc, w ciemnościach, z butelką czerwonego wina i resztkami kolacji z pudełka, czekając na sygnał od przyjaciółki na WhatsAppie. Umawiały się wcześniej na rozmowę o konkretnej godzinie bo jej przyjaciółka, która znalazła życiową przystań w Porto była teraz bardzo zajęta osobą. Rozległ się dzwonek. Laura zapaliła lampkę, by mogły się zobaczyć.

– Hej, Skarbie. Dobrze wyglądasz, choć wciąż jesteś strasznie chudziutka. Jesz coś?

– Tak, mam – z sarkazmem odezwała się Laura. Jem. 5 posiłków dziennie przygotowanych przez firmę cateringową – „Szczęśliwe jelita”. Jem, piję i palę. Będziemy rozmawiać o moich licznych nałogach?

– Lu, nie nabzdyczaj się. Jak będziesz się unosić to wsiądę w pierwszy samolot i sprowadzę Cię tu, choćby siłą.

Laura, wiedziała, że Nika jest do tego zdolna. Już widziała jak rozmawia ze swoim mężem Gabrielem, i tłumaczy mu, że znów musi ratować przyjaciółkę. Kiedy Nika dowiedziała się o chorobie Soni, przyleciała na drugi dzień. Wspierała ją i Maksa,

rozmawiała z lekarzami, szukała informacji o nowoczesnych terapiach, zbierała ich co rano do kupy i zagrzewała do walki. Była ich prywatnym Aniołem Stróżem o niezwyklej skuteczności. Po pogrzebie spędziła z nimi dwa, najstraszniejsze tygodnie w życiu, kiedy Maks siedział w pokoju Soni zanosząc się płaczem i tłukąc głową w ścianę, a Laura wlewała w siebie hektolitry alkoholu i tkwiła w stuporze nie odzywając się ani słowem. Laura wiedziała, że Nika nie żartuje i że najpierw działa, a potem myśli.

– Nika, nic się nie dzieje. Jest lepiej, naprawdę jest lepiej – powiedziała.

– Lu, zawsze gdy to mówisz przechodzi mnie dreszcz. Twoje nieudolne, dyletanckie kłamstwa czuję na własnym ciele. Nie może być lepiej skoro wciąż tam tkwisz. Musisz przyjechać do Porto, pomóc nam rozkręcić interes. Tu na nikogo nie mogę liczyć. Gabriel zatrudnia do pomocy swoich kuzynów i bratanków, ale oni są jak dzieci we mgle. Lu, potrzebuję Cię.

Przyjazd do Porto – to był właśnie pomysł Niki na jej nowe życie. Pomysł dobry, pod warunkiem, że chciałyby żyć.

– Nika, wiesz, że nie mogę przyjechać. Jeszcze nie teraz. Muszę zostać z Katią, zostało jej niewiele czasu.

– Ty i ta kotka jesteście w cholernej znowie! Od pół roku wciąż słyszę, że stoi nad grobem, ale jakoś chwyta się życia swoimi ostrymi pazurkami.

Rozmawiały około dwóch godzin. Nika trajkotała, opowiadając jej o swoim życiu na wysokich obrotach, o jej sekretnym przepisie na pierogi, który podbił podniebienia klientów ich knajpy i wreszcie o Bogu, który według Niki postawił na jej drodze męczyznę marzeń – Gabriela. Tu Nika była oszczędna w słowach, bo wiedziała, że opowiadając o wierze może rozjuszyć Lu, a tego bardzo nie chciała. Miała w pamięci obraz zdemolowanego przedsionka kościoła, do którego wtargnęła pijana Laura kilka dni po pogrzebie, krzycząc jak twierdził kościelny coś w nieznanym języku. Ksiądz na szczęście okazał się człowiekiem wyrozumiałym i łagodnym, bo nie powiadomił policji. Znał sytuację Laury, dlatego skończyło się na rekompensacie za poczynione szkody. Laura nie zareagowała na słowa przyjaciółki, słuchała z uwagą i czułością wynurzeń Niki, która naprawdę ją kochała. Laura czuła tę miłość i była za nią wdzięczna, nawet jeśli już nie była w stanie tego okazać. Wypaliła 10 papierosów, wypila butelkę wina i poszła spać.

Rozdział 7.

Stała w parku, oslepiona przez ostre promienie słońca. Na początku jej nie zauważyła, poczuła tylko jej obecność, więc ruszyła naprzód, sądząc, że Sonia chce się z nią bawić. Słyszała jej cichutki śmiech, więc nim się kierowała. Stanęła na rozdrożu,

nasłuchując uważnie, bo nie wiedziała którą ścieżkę wybrać. Zamiast dziecięcego śmiechu usłyszała potężny grzmot i zobaczyła błyskawicę. W ciągu kilku sekund zapadła kompletna ciemność, że nie widziała własnej dłoni. Laura krzyknęła z przerażenia, bo od dzieciństwa bała się ciemności. Nagle poczuła, że jakaś ogromna siła unosi ją w górę. Gigantyczne, skrzydlate stworzenie przeniosło ją do światła. Już się nie bała, tym bardziej, że kilka metrów dalej zobaczyła Sonię bawiącą się z Katią. Chciała do nich podejść, ale im była bliżej, tym one bardziej się oddalały, aż wreszcie zniknęły. A ona zobaczyła kobietę siedzącą na kamieniu.

Rozdział 8.

Obudziło ją ciche pukanie do drzwi. Wstała, choć ostro zakręciło jej się w głowie, poczuła, że ból obejmuje jej głowę ciasną obręczą. Spojrzała w lustro i przyglądała włosy. Nie wyglądała źle, była tylko potargana, a poza tym była kompletnie ubrana, bo nie rozbierała się do snu. W drzwiach stała pani Lonia.

– Dzień dobry, mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powitała ją sąsiadka.

– Umawialiśmy się dziś na sprzątanie? – zapytała Laura.

– Nie, przyjdę w sobotę jak zawsze. Chodzi o coś innego. Trzeba kogoś przenocować. Zaoferowałam się księdzu, że pomogę, ale okazało się, że córka wcześniej wnuki przywiezie i nie mam jak. Przenocuje pani jutro, pątniczkę?

– Pani, Loniu, jaką znowu pątniczkę. Nie mogę, muszę iść do pracy, a po pracy... – mamrotała pod nosem, walcząc z bólem głowy.

– Pani Lauro, to tylko o jedną noc chodzi. Pani jest wykształconą osobą, zna języki, a ona jest z Brazylii, nazywają ją Kobieta w drodze, bo od kilku lat pielgrzymuje po świecie.

– Czemu ksiądz na plebanii jej nie przenocuje, albo te dewotki z Kółka Różańcowego? – Przecież Pani wie, że już do kościoła nie chodzę.

– Wiem, wiem, też się zdziwiłam, jak ksiądz poprosił by Panią zapytać.

Laura zacisnęła usta. Stary, sprytny lis z tego proboszcza. Wiedział, że będzie jej trudno odmówić przysługi po pijackim wybryku w kościele. Musiała spłacić dług.

– Dobra, proszę przekazać księdzu, że przenocuję tę kobietę. Przyjadę po nią do kościoła i odbiorę po wieczornej mszy.

Gdy zamknęła drzwi, poczuła dziwne ukłucie w sercu. Z trudem oddychała, osunęła się na podłogę i leżała tak przez dłuższą chwilę. Kiedy wyrównała oddech, wstała, wzięła tabletkę od bólu głowy i zaczęła szykować się do pracy. Nałożyła Katii jedzenie i zawołała ją, ale kotka nie przyszła. Obeszła wszystkie kącie miejsca w domu i zajrzała pod łóżko. Napotkała parę błyszczących oczu. Kotka ani drgnęła. Laura wyjęła tabletkę

z szafki, rozdrobniła ją łyżeczką i wymieszała z karmą. Czuła, że Katia daje jej znaki, że zostało niewiele czasu.

Rozdział 9.

Pojawiła się w piątek w kościele, kiedy wieczorna msza dobiegała już końca. Usiadła w ostatniej ławce. Z boku pod ścianą leżał plecak, a obok niego klęczała kobieta. Laura spojrzała na nią z ukosa. To pewnie ta Brazylijka. Kobieta była krępa, niemłoda już, ale jeszcze niestara. Miała ciemną karnację i czarne włosy, poprzetykane srebrnymi nitkami. Piękne, duże oczy. Kiedy spojrzała na Laurę, ta poczuła się dziwnie bezbronna.

– To Ona. Kobieta w drodze – szepnął ktoś z boku. Laura zobaczyła znajomą twarz, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd zna tę kobietę. Przeszukała zakamarki pamięci i doszła do wniosku, że kiedyś wspólnie organizowały akcję dla rodziny pogorzalców.

– Podobno, była kiedyś nauczycielką, miała rodzinę, normalne życie, ale zapożyczyła się u mafii by leczyć najmłodsze dziecko i wszystko straciła. Męża i dwóch synów zabili, a córka wyszła za gangstera i odcięła się od matki. Najmłodszy syn też umarł, mafia przejęła dom i kobieta trafiła na ulicę. Ponoć postradała zmysły, trafiła do psychiatryka. Tam się nawróciła i odtąd pielgrzymuje – szeptała znajoma.

– Pani Laura! Jak miło znów Panią tu widzieć – proboszcz podszedł do niej i uściśnął jej dłoń.

Laura nie zauważyła, kiedy kobieta stanęła obok niej. Poczuła jej rękę na swoim ramieniu.

– Lucinda – przedstawiła się kobieta. Miała piękna, niską barwę głosu.

– Bardzo się cieszę, że spędzimy razem trochę czasu – Lucinda mówiła niezłe po angielsku.

– Ja również – uprzejmie i oschle powiedziała Laura. Czuła się jak uczennica, którą ktoś zmuszał do wykonania żmudnej pracy domowej i jeszcze kazał jej się z tego cieszyć.

W domu Laura zaczęła przygotowywać kolację. Nie było to skomplikowane, bo niezawodna pani Lonia przyniosła jej zapiekanek ziemniaczaną i sałatkę Caprese. W tym czasie Lucinda poszła do łazienki, by zmyć z siebie pielgrzymi brud – jak powiedziała wesoło.

– Mogę wstawić twoje ubrania do prania. Mam suszarkę, więc rano będziesz miała wszystko czyste – zaoferowała Laura.

– Naprawdę? Tego właśnie potrzebowałam. Mądroj kobiety, która zaproponuje mi pranie – zaśmiała się Lucinda.

– Nie wyglądasz mi na chuligankę, choć kościelny w tajemnicy powiedział mi, że zdemolowałaś przedsionek kościoła. Twierdzi, że jesteś opętana – Lucinda zanosła się perlistym śmiechem.

– Hmm, może miał rację – oschle powiedziała Laura. Nie podobało jej się, że ta nieznamna kobieta tak bezceremonialnie punktuje jej wybryki.

– Przepraszam – powiedziała Brazylijka. – Nie wiedziałam, że wciąż się tego wstydzisz. Nie chciałam Cię urazić.

– W porządku – powiedziała Laura.

– Co robisz w życiu? – zapytała Lucinda.

– Jestem specjalistką od marketingu i promocji, zajmuję się... Lucinda jej przerwała.

– Lauro, nie mamy zbyt wiele czasu, dlatego nie traćmy go na bzdury. Chcę wiedzieć co robisz tak naprawdę – Lucinda siedziała na kanapie z Katią na kolanach.

– Czekam na jej śmierć. Kiedy to się stanie, odbiorę sobie życie – Laura zdziwiła się jak łatwo przyszło jej to wyznać. Stale o tym myślała, ale jeszcze nigdy nie wypowiedziała tego na głos.

– A jeśli kotka będzie żyć długo? Zadbane koty, domowe mogą żyć nawet 16 lat. Ile ona ma?

– Ma 9 lat i chłoniaka. Umrze w ciągu najbliższych miesięcy, tak twierdzi weterynarz – powiedziała cicho Laura.

– Chcesz umrzeć? – zapytała Lucinda – naprawdę tego chcesz?

– Chcę być z Sonią. To jedyny sposób. Wciąż ją widuję w snach, ona mnie wzywa.

– Nie Lauro. To Ty wzywasz ją, zakłócasz jej spokój. Dziecko zawsze przybędzie na wezwanie matki.

Lucinda przysunęła się do niej, bo obie siedziały na podłodze. Objęła ją mocno nie zważając na opór Laury, która chciała się wyrwać. Walczyły tak przez chwilę, ale uścisk kobiety nie słabł, więc Laura musiała się poddać. A potem poczuła łyzy płynące po policzkach. Płakała pierwszy raz od śmierci Soni, potem już nie mogła. Modliła się o łyzy, bo zawsze przynosiły jej ukojenie, ale nie była w stanie płakać. Teraz łyzy w objęciach tej dziwnej kobiety wróciły. Początkowo łąkała cicho, jej ciałem wstrząsały dreszcze, czuła, jak ulatuje z niej gniew, strach i ból. Jej płacz przerodził się w krzyk, a potem ryk. Im głośniejsz łąkała, tym Lucinda mocniej ją tuliła, śpiewając przy tym i modląc się po portugalsku.

Kiedy Laura zasnęła wyczerpana, od razu zobaczyła Sonię. Stała w górach, na środku łąki w swojej ulubionej niebieskiej sukience, uśmiechając się do niej. Laura, chciała do niej podbiec i wziąć ją na ręce, ale dziewczynka powstrzymała ją, kręcąc głową. Laura widziała ją, jak idzie pewnie i radośnie po górskiej ścieżce i po chwili straciła ją z oczu. Jak zawsze, ale pierwszy raz od dawna nie poczuła rozpacz.

Rozdział 10.

Obudziła się bardzo wcześnie, tuż po piątej i zobaczyła krzątającą się po kuchni Lucindę. Podeszła do niej z kubkiem kawy.

– Na mnie już czas – powiedziała Brazylijka.

– Jesteś naprawdę? Czy to nadal sen? – zapytała Laura.

– Jestem, jeszcze przez jakieś 10 minut. Przyniesiesz mi ubrania?

Laura zwlekła się z łóżka i poszła do łazienki po rzeczy Lucindy.

– Jak się czujesz? – zapytała Brazylijka.

– Jak po maratonie. Co mi właściwie zrobiłaś?

– To co umiem najlepiej. Otworzyłam Cię, oczyściłam i zamknęłam. Nie ja, Bógoczywiście. To dar, który od Niego dostałam, gdy czekałam na śmierć, tak jak Ty.

– Od razu wiedziałaś co masz robić? – zapytała Laura.

– Nie, to przyszło z czasem. Ja po prostu ruszyłam przed siebie. Zostałam „Kobietą w drodze” – zaśmiała się.

Długo stały przy drzwiach obejmując się. Lucinda odsunęła delikatnie Laurę i pogłaskała Katię, która chciała się z nią pożegnać.

– Twój plan nie wypali, bo ona ma swój własny. Mylicie się Ty i ten twój weterynarz. Do zobaczenia Lauro, żyj tak pięknie jak umiesz. To wystarczy.

Rozdział 11.

– To niemożliwe – weterynarz kręcił głową ze zdumienia, patrząc w monitor USG.

– Też tak sądziłam, choćby dlatego, że kompletnie nie miałam pojęcia, kiedy to się mogło stać. Przecież ona w ogóle nie wychodzi z domu. Potem przypomniało mi się, że mniej więcej miesiąc temu uciekła do ogrodu i zniknęła na kilka godzin.

– To nie były stracone godziny. Nasza koteczka będzie mamą. Chyba, że zdecyduje się pani na aborcję, bo niestety wszystkie znane mi przypadki pokazują, że nowotwór w czasie ciąży będzie bardziej agresywny, choć z drugiej strony wyniki badań krwi są lepsze niż ostatnio, więc...

– Więc będziemy rodzic, to nasz nowy plan – przerwała Laura.

Kiedy wróciła do domu, stanęła przed pokojem Soni. Łzy cisnęły jej się do oczu, wiedziała, że jest gotowa by to zrobić, ale mimo to bardzo się bała. Katia stanęła przy niej by dodać jej otuchy. Wreszcie otworzyła z impetem drzwi, a potem okno. Pokój wypełnił się zapachem bzu, mimo, że był lipiec. Sonia uwielbiała bez. Laura usiadła na łóżku i napisała wiadomość do Niki – *Już nie musisz się o mnie bać. Przyjadę do Porto, ale jeszcze nie teraz. Mam nadzieję, że Gabriel lubi koty. Kocham Cię. Lu.*



Już nie zawróci

Już nie zawróci, wiedział to od chwili, gdy wyszedł z kościoła. Stał na schodach. Nie wiedział co zrobi dalej, ale podjął decyzję, że kończy swoją wieczną pielgrzymkę. Ta decyzja dojrzywała w nim już od jakiegoś czasu, pamiętał ten moment, gdy się to zaczęło, a może było jeszcze wcześniej? Siedział na placu klasztoru w Oborach. Tłum ludzi wokół przygotowywał się do komunii, on również. Ile razy przyjął komunię, ile razy przyjął Jezusa do swojego serca? Zadał sobie pytanie, ale nie znalazł odpowiedzi. Patrzył, jak ludzie ustawiają się wokół placu, kładą ręce na piersi i patrząc przed siebie oczekują w skupieniu. Twarze mają poważne, ramiona skulone, a smutne oczy wbite w ziemię. Otwierają szeroko usta i wysuwają język na dolną wargę, niektórym ten język drży. Ciało Chrystusa. Kapłan kładzie biały opłatek, a oni odpowiadają amen z wielkim namaszczeniem schylając głowę. Odchodzą na swoje wcześniejsze miejsce i pogrążają się w modlitwie. Teraz pewnie dziękują za łaskę, a może proszą o więcej? Chciałby stanąć obok nich i przyjąć znów ten mały, cienki opłatek, bez refleksji, z wiarą, z oczekiwaniem, że zmieni jego życie. Tyle razy czuł go na języku, tyle razy błagał "Pomóż". Wstał i stanął między ludźmi. Przyjmie i dzisiaj Chrystusa do serca i dzisiaj poprosi. Jak zawsze, od lat. I jak zawsze nie poczuje jego obecności.

Gdy już nie mógł znieść swojego grzechu, wyruszał na pielgrzymkę. Kroczył do Częstochowy i głośno śpiewał Maryjne pieśni. Najpierw, jeszcze przed wyruszeniem w drogę, szedł do spowiedzi. Przygotowywał się, nie tyle fizycznie co duchowo. Bo fizycznie to wszystko miał już przygotowane: namiot, śpiwór, materac. Dobre buty. Teraz już nawet nie robiły mu się pęcherze na stopach. Było takie powiedzenie wśród pielgrzymów, że masz tyle pęcherzy co grzechów. Na początku je liczył, z czasem przestał. Bo przecież grzech miał tylko jeden. Bił się w piersi, żałował, wypełniał pokutę, a potem...

Stał przed kościołem i patrzył przed siebie, na drogę, na niebo. Zaczął powoli schodzić, nie obejrzał się ani razu. Może od początku coś źle robił, szukał wybaczenia, szedł do konkretnych miejsc w nadziei, że wreszcie przyjdzie wyzwolenie od grzechu. Ksiądz stukał w drewno spowiednicy i przez moment nawet czuł ulgę, nawet wierzył,

że tym razem mu się uda. Klękał w ławce wśród innych, pochylał głowę i błagał o łaskę. Wysuwał język i przyjmował ciało Boga do swojego serca. I wierzył, że tam jest Bóg.

Ale Go nie czuł.

Kiedyś poszedł na Górę Grabarkę, bo ktoś na rekolekcjach powiedział, że tam to dopiero dzieją się cuda. Ruszył pieszo prosto ze swojego domu, z całym dobytkiem na plecach. Pod koniec drugiego dnia myślał, że skończy życie na tej drodze. Plecy paliły go ogniem, a ramiona pękały z bólu. Już miał zrezygnować, ale przypomniało mu się, że podobno, ktoś tam doznał oświecenia, miał widzenie i że tam właśnie można poczuć Boga. Płakał i szedł dalej. Dziewięć dni. Wszedł na Grabarkę, w samo południe, odmawiając różaniec, tak jak go nauczono. Nasłuchiwał i rozglądał się. Gdzie jesteś, zapytał, gdy stanął u krzyża. Ciszka. Czekał. Ukląkł, położył swój pielgrzymi balast u stóp krzyża i miał ochotę krzyczeć; gdzie jesteś. Nadeszli inni pielgrzymi, pochyleni, smutni, skupieni.

Nie czuł tam Boga.

Nieraz, przed snem wyobrażał Go sobie, jak siedzi na tronie. Dostojny i dobry. Patrzył z dołu prosto w Jego oczy. Dobre i wyrozumiałe. Wyobrażał sobie, że powierza Mu swoje troski, jak kazali księża w kościele, że prosi o radę i jak zawsze o wybaczenie. Wyobrażał sobie, jak ten dobry Bóg wyciąga rękę i gładzi go po głowie i szepcze jego imię. I wybacza. I tak bardzo pragnął Go poczuć, usłyszeć. Chociaż ten jeden raz.

Ale Bóg milczał.

Kiedyś zakonnik opowiadał, że doświadczył obecności Boga, że stało się to po długiej, żarliwej modlitwie, gdy leżał krzyżem przez całą noc przed ołtarzem. Więc on też tak zrobił. Najpierw poszedł do spowiedzi, odprawił pokutę, a później w swoim mieszkaniu postawił krzyż na komodzie i położył się twarzą do ziemi z rozłożonymi ramionami. Leżał tak godzinę, modląc się wszystkimi znanymi modlitwami. Po godzinie zdrętwiały mu ramiona, a po dwóch zdrętwiały całe. Zrobiło mu się zimno i nie mógł już znaleźć słów żadnej modlitwy. I już miał wstać, ale zaraz pomyślał, a co jeśli właśnie teraz nadchodzi Bóg? Leżał więc dalej, ale już się nie modlił. Powtarzał tylko automatycznie słowa ojcze nasz. W kółko, żeby zabić inne myśli.

Boga nie usłyszał, ale wierzył, że jest.

Jeszcze przez chwilę słyszał śpiew dobiegający z kościoła i słowa „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata”. Powtarzał je jeszcze w myśli, gdy już nie docierał do niego żaden dźwięk. Gdy otoczyła go cisza.

Miał czterdzieści lat. Niektórzy mówili, że jest człowiekiem sukcesu. Pracował jako specjalista w dużej firmie. Mieszkał na przedmieściach w niewielkim szeregowcu. Stać go było na duży dom, drogi samochód, ale nie potrzebował tego. Tu miał tzw. miejskie ciepło, a więc nie musiał martwić się o opał, piec, ciepłą wodę. Miał też małe ogródek

i taras, na którym co rano ćwiczył i pił kawę, nawet jak było zimno. Nie miał psa, kota ani nawet rybek w akwarium. Za to mógł wyjść z tego domu i wyruszyć w drogę. Ludzie jeździli nad morze, wspinali się na szczyty, pływali na żaglówkach, albo leżeli na białym piasku plaży. On szedł do celu, którym była Jasna Góra ze świętym obrazem, na Grabarkę, do Świętej Wody, jechał do Lourdes i Medjugorie. Co roku tak spędzał urlop, od lat. Czy to lubił? Nie zadawał sobie tego pytania, chociaż tak, odnajdował w tych pielgrzymkach przyjemność. Gdy była to dłuższa podróż, z przewodnikiem i zwiedzaniem po drodze, czuł się jak na szkolnej wycieczce. Wszystko było zorganizowane, hotele zamówione, fajni ludzie. Czasami. Każdego ranka msza, w autokarze głośne śpiewanie pieśni, wspólna modlitwa. Kiedy docierali do celu wpatrywał się w obraz lub krzyż, modlił się, ale to nic w nim nie zmieniało. Po powrocie był taki sam, może tylko bardziej rozczarowany, bo znowu Go nie spotkał, nie usłyszał, a tak bardzo się starał.

Wrócił do domu. Zszedł do piwnicy i ściągnął z półki cały pielgrzymi ekwipunek, zaniósł na górę do salonu. Niczego nie brakowało: namiot, śpiwór, materac, menażka, a nawet ciuchy i oczywiście buty. Wszystko tak, jak spakował po ostatniej pielgrzymce. Gdzie to było? A prawda, Święta Woda.

Ułożył rzeczy w rogu pokoju. Poszedł do łazienki i po chwili dołożył przybory higieniczne, kilka ręczników jednorazowych, ręcznik z mikrofibry i mały rulonik papieru toaletowego. Wziął też sandały i oczywiście bieliznę i ubrania na zmianę. Wyjął wagę. Miał zasadę, żeby nie zabierać więcej niż osiem kilogramów. Usiadł i oparł czoło na dłoniach. Tak zastał go zmierzch.. Wyruszy rano. Wstał i zapalił światło. Wyjął kartkę papieru i napisał list do matki. Przyjdzie pod jego nieobecność sprawdzić, czy wszystko w porządku, poprosił, żeby wyjadła owoce z lodówki. Za dużo kupił, a przecież jeszcze wczoraj nie planował, że wyruszy do... No właśnie, dokąd? Dokąd właściwie miał iść?

Trzy tygodnie później wszedł do niewielkiej wsi. Nie wiedział jak się nazywała, bo nie spojrzął na tablicę. Nieważne, co za różnica. Miał nadzieję, że znajdzie tu jakiś sklep, bo skończyła mu się woda, a upał już dawał się we znaki. Po obu stronach drogi rosły lipy, a pod nimi niestrzyżona, wysoka trawa poprzetykana makami. Słyszał bzyczenie pszczoł i trzmieli. Postanowił, że dzisiaj zadzwoni do matki, nie chciał, żeby się o niego martwiła. Kochała go. Nieraz zastanawiał się, czy domyśla się, ale od razu odrzucał ten pomysł. Nie zaakceptowałyby jego odmienności, ona katoliczka, osoba wręcz ortodoksyjna. Koleżanki zazdrościły jej takiego syna, że zdolny, na stanowisku, dobrze sytuowany i w dodatku do kościoła chodzi. I na pielgrzymki. To nie było wcale takie popularne wśród młodych, w jego otoczeniu niewiele osób uczęszczało do kościoła, tylko niektórzy brali ślub kościelny, a nie znał nikogo, kto chodziłby na pielgrzymki. To była raczej domena ludzi starszych. Jego pokolenie miało inne wartości. Chociaż zauważył, że w ostatnich latach coś się zmieniło. Ludzie bardziej poszukiwali, medytowali, interesowali się różnymi

religiami. Czy szukali Boga? Być może, ale nie przyznawali się do tego. Mówili raczej o Źródle, Wszechświecie, o Quantum, czy Bóstwie. Unikali słowa Bóg. Nie dziwił się, on też o tym nie rozmawiał. Była to dla niego sprawa najbardziej intymna. Poza tym nie szukał zrozumienia ani aprobaty. Szukał Jego.

Usiadł na maleńkim skwerku, chyba w środku wsi, wyjął z plecaka telefon, ale okazało się, że jest zupełnie rozładowany. Musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie pozwoli mu skorzystać z gniazdka. Mijał trzeci tydzień odkąd był w drodze. To nie była pielgrzymka jak wszystkie dotychczasowe. Nie wiedział dokąd idzie, nie sprawdzał mapy, od początku założył, że droga go poprowadzi. Spotykał różnych ludzi, rozmawiał. Nieraz zapraszali go do swojego domu i korzystał z tego. Sam był zaskoczony, ale dobrze mu było z tym. Raz zaprosiła go do siebie starsza pani. Usiadł na rowie przed jej domem, bo strasznie otarł piętę. Wyszła i zagadała do niego. Mieszkała sama. Ugotowała na kolację ziemniaki i okraszyła je smażonym boczkiem, a do tego usmażyła jajko sadzone. Tylko jedno, bo kurki miała dwie. Został u niej trzy dni. Wykosił trawę za domem, wyrzucił obornik z kurnika i wrzucił świeżej słomy. Narąbał też drewna do pieca. Ona gotowała dla niego. Drugiego dnia poszedł do sklepu na zakupy i przyniósł jej czekoladę, dobrą kawę, herbatę. Stała i patrzyła, jak rozpakowywał torbę. Kiedy spojrzał, odwróciła szybko głowę, ale zdążył zauważyć łzy. Wieczorem, gdy zamknął drzwi do izby, w której spał, usłyszał cichy szmer modlitwy.

Znalazł sklep. Wprawdzie maleńki, ale zaopatrzone we wszystko, czego potrzebował. A potrzebował niewiele. Kupił dwie bułki z ziarnami, ser i pomidory. Zastanawiał się nad czymś w puszcze na obiad, ale doszedł do wniosku, że nie będzie tego ze sobą niósł, kupi gdzieś w następnym miejscu. Tak robił zazwyczaj, a jak się zdarzyło, że akurat nie było sklepu, a nie chciał już dalej iść, to po prostu nie jadł. Miał wrażenie, że schudł, ale czuł się znakomicie.

– Buen camino – odezwał się młody sprzedawca, gdy już spakował zakupy do plecaka i odwrócił się do drzwi. Obejrzał się i spojrzał na niego, jakby dopiero go zauważył. Chłopak miał na sobie błękitny t-shirt. Ciemne, kręcone włosy opadały mu na uszy.

– Tak mówi się do pielgrzymów, prawda? – zaczął przekładać na ladzie gumy i lizaki ustawione na małych stojaczkach.

– A skąd pan wie, że jestem pielgrzymem?

– Nie wiem, ale ma pan plecak, a to jest droga do Santiago.

Na chwilę znieruchomiał i powoli odstawił plecak z powrotem na podłogę.

– Chce pan powiedzieć, że to jest szlak Świętego Jakuba? – uniósł brwi.

– Nie wiedział pan? Jest muszla na wejściach do wsi. – Chłopak nie krył zdziwienia. – U nas można nawet podbić Credencial, to znaczy na plebanii można to zrobić.

Gdyby pan potrzebował – dodał jeszcze, jakby nie wiedział co powiedzieć. Wziął białą szmatkę i przetarł ładę.

Pielgrzym stał jeszcze chwilę. Miał ochotę pogadać, wypytać chłopaka o trasę, ale może za chwilę, później. Teraz czuł się, jakby coś go uderzyło w głowę. Usiadł na ławce przed sklepem i wyjął butelkę z wodą.

Wyruszył z domu bez planu, bez konkretnego celu, wręcz z założeniem, że nie będzie podążał do żadnego świętego miejsca, że nie będzie klękał przed cudownym obrazami, ani przechodził na kolanach przez grotty. Jednak było coś jeszcze, co czyniło to zdarzenie niezwykłym i wymagającym zastanowienia. Droga do grobu Świętego Jakuba, czyli Camino de Compostela była jego marzeniem od zawsze, ale nigdy się na nią nie odważył, bo albo nie miał tyle czasu, albo... No właśnie, dlaczego tam nigdy nie dotarł? Oparł łokcie na kolanach, a czoło na dłoniach. Jego ulubiona pozycja do głębokiej refleksji. Zamknął oczy. Chciał, aby droga go poprowadziła i oto proszę, zaprowadziła go dokładnie na Jakubowy szlak. Wprawdzie jego marzeniem było przejść hiszpańską trasę wzdłuż wybrzeża, ale jakie to miało znaczenie? Poza tym, może tu zacząć, a tam skończyć. Gdziekolwiek pójdzie, On pójdzie z nim. Ta ostatnia myśl podziałała na niego jak gwałtowny deszcz, jak łyk wody w czasie upału, bo była czymś więcej niż myślą, bo była JEGO obecnością. Poderwał głowę. „O Boże” – szepnął – „O Boże” – powtórzył głośniejszym głosem – „Pójdiesz ze mną, gdziekolwiek pójdę, będziesz ze mną, cokolwiek zrobię” – zamilkł na chwilę, bojąc się swojej zuchwałości, ale czuł, że oto nadchodzi odpowiedź, czuł, że nie jest sam. – „Będziesz przy mnie, gdy się zakocham?” – nie słyszał odpowiedzi, ale czuł ją w sercu – i gdy będą chciał z nim być?” – wyszlochał kryjąc twarz w dłoniach. Płakał, wycierał twarz ręcznikiem i znowu płakał. Przed sklepem we wsi, na szlaku Świętego Jakuba poczuł Boga. Nikt nie przechodził obok, nikt nie przyszedł do sklepu, jakby cały świat czekał na jego płacz i zrozumienie. Później, o wiele później, gdy wracał myślą do tej chwili nie potrafił jej opisać. To było jak mgnienie, jak dotyk czulej dłoni. I wielkie połączenie. On i On – jedność i cały świat. Jedno. Nikomu nigdy nie opowiedział o tym, co wydarzyło się tamtego dnia. Nikt nie poznał jego historii. Schował ją w sobie, na zawsze, na każdą dobrą i złą chwilę.



Ciocia Tusia wchodzi do klasztoru

Kiedy w końcu dotarła do Rabanal i udało jej się przetoczyć walizkę przez uliczki miasteczka wybrukowane kocimi łbami pod drzwi klasztoru San Salvador de Monte Irago, poczuła, jak bardzo nieestosowna była jej obecność w tym miejscu. Walizki nie dało się prosto ułożyć, więc pedantycznie oparła ją o niski murek okalający wejście do kościoła. Wszystko wokół niej, łącznie z klasztorną zabudową, było zrobione z kamienia, co niewątpliwie nadawało urok owemu miejscu, urok niespotykany przez nią na co dzień. Wyciągnęła z kieszonki sukienki paczkę nawilżanych chusteczek i przetarła nimi pokryte kurzem dłonie. Nie, nie zamierzała szukać jeszcze Mirka. Było na to o wiele za wcześnie. Zanim się z nim zobaczy, musi samodzielnie oswoić to miejsce, porozglądać się po okolicy, może nawet wstąpić do jakiegoś baru na *tortilla de patatas* i filiżankę czarnej kawy. Najlepiej espresso. Musi najpierw zrozumieć, co tutaj się wydarzyło. Kościół wyglądał niewinnie. Niski, wybrzuszony, zaniedbany. Nie remontowali go zapewne latami. Ale kto nie remontował? Braciszkanie? Mieszkańcy? Urząd gminy, który musiał gdzieś tutaj istnieć? Dziwny to kraj, który zaniedbuje swoje zabytki, pomyślała, nie mogąc powstrzymać się od krytyki. Zespół klasztornych budynków niewątpliwie pochodził z odległych stuleci. Był piękny. Nie potrzebowała wchodzić do środka, żeby ocenić jego wartość. Czula zapach kamieni i prześlizgującego się pomiędzy nimi pyłu. Nie powinni postępować w ten sposób. Postanowiła, że pierwsze co robi, to wejdzie do kościołka. Walizkę zostawiła opartą o mur.

W środku było pusto, cicho i chłodno. To te stare kamienie nie przyjmowały ciepła. Poczula się znakomicie. Panujący na zewnątrz ukrop nie służył jej. Zdziwiła ją ta pustka. Tyle ludzi przechodziło przez miasteczko i nikt się nie kusił, żeby tutaj wstąpić i odpocząć od słońca? Być może już się przyzwyczaili, w końcu ich skóra była pokryta gęstą, ciemną opalenizną. Zdążyła to zauważyć. Kryli twarze pod rondami kapeluszy, ale to było za mało, żeby ochronić się przed działaniem promieni słonecznych. I ona, moja kochana ciocia Tusia, założyła kapelusz, zaraz jak tylko opuściła samolot. Specjalnie na tę okazję trzymała go w bagażu podręcznym i jeszcze przed wylotem upewniała się, czy jest.

Na początku czuła tylko ulgę. Ulgę, że okryła ją kopuła dachu. Na kamiennym, a jakże, ołtarzu stały dwie białe świece po lewej stronie oraz szklany, przezroczysty, napełniony do połowy wodą wazonik z dwiema czerwonymi różami po prawej stronie. Ktoś litościwie okrył niewielką część ołtarza białym obrusem. Dostrzegła, że był nawet wykrochmalony i uroczyście odprasowany. Pomyślała o tych mężczyznach, którzy sprawowali opiekę nad ołtarzem, jak pochylali się nad deską do prasowania i troskliwie przykładali rozgrzane żelazko do fałd i zgięć na tkaninie. W przedsionku trafiła na tabliczkę, na której wypisano drukowanymi literami:

ODBYWAJĄ SIĘ TU NIESZPORY O 19:00, KOMPLETA O 21:00,
LAUDACJE O 7:30 ORAZ MSZA ŚWIĘTA O 9:00.
PIELGRZYMI SĄ ZAPROSZENI DO UCZESTNICTWA.
PIELGRZYMI CHCĄCY POROZMAWIAĆ Z MNICHAMI
MOGĄ TO UCZYNIĆ POMIĘDZY GODZINĄ 17:00 A 18:45.

– Byłam oczarowana – miała później opowiadać mnie i mamusi, kiedy siedziałyśmy przy stole w salonie i chrupały kruche ciasteczka z różową plamą konfitur, które nazywałyśmy kocimi oczkami. – Nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo zapragnęłam uczestniczyć w modlitwach i uroczystościach w tym kościółku. Chciałam zobaczyć, jak staje się przy tym niemal pustym ołtarzu. Większość ścian była obdarta z tynku, goły kamień, na suficie jedynie gdzieś tam prześwitywały odłamki fresków. Poza tym żadnych obrazów, no i część budynku ewidentnie się kruszyła. Mogłam podejść do ściany i tak po prostu wyciągnąć z niej kamień i wziąć go ze sobą. Oczywiście niczego takiego nie uczyniłam, ale Bóg mi świadkiem, że na pewno znaleźli się tacy rabusie, poznałam ich po dziurach wydrążonych palcami.

Ale nie o tym chciała nam przede wszystkim opowiedzieć. Była przekonana, że doświadczyła czegoś na kształt mistycznego spotkania. Kiedy stanęła na środku kościółka, w bliskości ołtarza, zdało jej się, że to święte miejsce i odczuła przymus zsunięcia sandałów. Wtedy dopiero zrozumiała, czym była owa kamienna podłoga i przelęknęła się, że nie jest godna.

– Stałam oko w oko, twarzą w twarz z czymś większym ode mnie – wyznała po chwili krępującej ciszy, w której to strzepnęła z palców okruchy po ciasteczku. – Zobaczyłam, jak niewiele warte było moje dotychczasowe życie. Puste jak wydmuszki po jajkach. Chciałam powziąć jakieś postanowienie na przyszłość, a równocześnie czułam, że nie ma to najmniejszego sensu. Bo jedynym sensem było stać tam, gdzie stałam. W zachwycie i we wstydzie, który już mnie nie bolał. Ale to nie są słowa do wypowiedzania. Język mi od nich drętwieje.

Nie potrafiła ocenić, ile czasu spędziła w kościele. Z mistycznego uniesienia wyrwał ją głos zakonników. Pojawili się o godzinie dziewiętnastej, żeby odprawić nieszpory. Śpiewali po łacinie. Dołączyło do nich kilku młodych ludzi oraz Mirek. Usiedli na specjalnych wysokich krzesłach po prawej i po lewej stronie od ołtarza. Tekst mieli przygotowany w cienkich śpiewnikach. Takie same zauważyła w przedsionku, ułożone pod tabliczką informującą o rytmie dobowym życia modlitewnego klasztoru. Mirek ustawił przy swoim krześle jej walizkę, ale jeszcze nie spojrzął w kierunku cioci Tusi.

– Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak daleko znalazłam się od mojego sklepu.

Nie odprawiła nieszporów. Wyszła z kościoła, znalazła jakiś podejrzany przybrudzony bar i zamówiła na kolację tortilla de patatas wraz z podwójnym espresso i lampką czerwonego wytrwanego wina. Kiedy kobieta przyniosła do stolika zamówienie, siedziała w odrętwieniu i śledziła fantastyczny strumień myśli przebiegający jej przez głowę. Kaszmirowe płótno do okrycia ołtarza, przelewający się wosk i wróżba w kształcie egzotycznego ptaka, dziki ołtarz, plemienny zryw, kotłujące się wokół ognia ciała. Wzdrygnęła się, kiedy kelnerka życzyła jej smacznego. O coś jeszcze zapytała, ale ona nie zamierzała zaprzętać tym sobie głowy. Pokręciła bezwiednie głową. Jedyne, czego sobie teraz życzyła, to żeby natychmiast zostawiono ją w spokoju. Kobieta, doświadczona w swoim zawodzie, nieomylnie odczytała potrzebę cioci Tusi i pospiesznie oddaliła się. Stała leniwie za barem i coś zanotowała na karteczce niedbale przylepionej do kasy.

Ciocia wiedziała, że nie ma wiele czasu. Zaraz odnajdzie ją tutaj Mirek. Czyż nie przyzywał jej do siebie w listach? Czyż mieścina, w której się zatrzymał, nie była zaledwie miniaturą? Na pewno znał ten bar i tę wąską uliczkę, w którą skręciła z rozmachem, w nadziei, że nikt jednak jej nie będzie przeszkadzał. Drżącymi rękami przedarła torebkę z cukrem i nagle przypomniała sobie, jak w latach młodości podczas jednego z licznych spotkań ze swoją przyjaciółką od serca, piła w wysokim, pękатым kieliszku wino wytrawne, które zostało posłodzone przez nie cukrem. A na dnie kieliszków ułożyły mrożone truskawki. Cóż za przewrotność. Nie przepadały wtedy za cierpkim smakiem, a niczego innego nie udało im się znaleźć w lodówce. Zawahała się, ale ostatecznie wysypała cukier do kawy. Nadal nie szczydziła sobie słodczy, ale przede wszystkim liczyła na to, że przyzwoita dawka cukru pozwoli jej lepiej zrozumieć to, co się wydarzyło. Właściwie to wolałaby wrócić do tego kościoła. Spędzić w nim noc. I kolejny dzień. A potem następny. Najlepiej w ogóle nie oddalać się od tego miejsca. Może wcale nie potrzebowała tego rozumieć. Są przecież sprawy, które nie mieszczą się w głowie. Sprawy tajemnicze, niepodlegające osądowi rozumu. Czuła to w kościach. Nie wszystko powinno zostać nazwane, doszła w końcu do przekonania, i dopiero wtedy upiła łyk kawy. Gorzka, słodka, stwierdziła bezwiednie. Tortilla natomiast smakowała wyśmienicie. Człowiek, westchnęła nad człowieczym losem, istota zamknięta w świecie zmysłów. Bo czyż i to

jej ostatnie wielkie doświadczenie nie było ostatecznie czymś nadzwyczaj zmysłowym? Jednak... nadal pozostawała pod jego wpływem, oszołomiona, lekka, jak gdyby poza samą sobą. Uczestniczyła kiedyś w kursie poświęconemu mistykom. Klasa, w której siedzieli była prosta, wręcz szkolna, biała tablica, beżowe ściany, brązowa ławka, siedziała wyprostowana na krześle, a przed nią leżał nowiutki zeszyt. Wpatrywała się bardzo uważnie w prowadzącego, który siedział za taką samą ławką. Na blacie ułożył starannie łokcie i mimo panującego lata miał na sobie lekką, zapiętą pod szyję kurtkę. Wyciągnął notatki sporządzone odręcznie, bardzo drobnym pismem, kartki wypełnione po brzegi, gdziegdzie zdarzały się dopiski, udało jej się nawet dostrzec wykrzyknik. Ona sama także notowała zapamiętałe, niemal każde słowo, które wypowiadał mężczyzna, a jednak do dnia dzisiejszego zostało jej w pamięci z tamtego kursu tylko jedno zdania. Mistycy nie traktowali Boga jako dodatku do swojego życia. Zdanie zaprzeczające. Nie traktowali. Ale też chyba oskarżające. Nie-mistycy traktują Boga jako dodatek do swojego życia. Tak, tak. Oto sprawa zasadnicza. Wymagająca radykalnych rozstrzygnięć. Przez chwilę pożałowała, że tortilla skończyła się tak nagle, bo w toku rozmyślań w ogóle nie skupiła się na jedzenie, i przemknęła jej przez głowę myśl, żeby zamówić jeszcze jedną porcję, także z tym białym, chrupkim kawałkiem bagietki, który poranił jej podniebienie. Ale chyba nie powinna. Taki rodzaj jedzenia był bardzo tłusty. Obfitował w węglowodany. Lepiej wypić wino na poprawę trawienia. Zdaje się, że sam rodzaj doświadczenia mistycznego był czymś radykalnym. Oślepiiony Paweł w drodze do Damaszku. Ester Hillesum dobrowolnie wstępująca do obozu zagłady. I wszystko to mieli za nic. A więc była jakaś nić łącząca ich z samym Bogiem, w przeciwnym razie nie zdobyliby się na tego typu rzeczy. Jej myśli popłynęły ku Mirkowi. Co zobaczył w klasztorze, że musiał się w nim zatrzymać? Czyżby i jego oplotła ta sama boska nitka? Nie, lepiej o tym nie myśleć. Musi wrócić do kościółka i stanąć przed ołtarzem.

Usłyszała kroki Mirka. W specyficzny sposób szurał obuwiem po każdej nawierzchni, po jakiej się przemieszczał. Wyuczyła się tego dźwięku, kiedy przychodził do sklepu. Składał jej niemal codzienne wizyty w drodze z pracy. Niedbale pociągał za klamkę, a w sklepie rozlegała się melodia dzwoneczków zapowiadających wejście klienta. Teraz zabrakło jej dźwięku dzwoneczków. Wstała od stolika i wyszła mu na powitanie. Uścisnął ją mocno, krzepiąco, a potem sam się w nią wtulił jak w ciepłą, upragnioną poduszkę.

– Kochana Tusiu – wyszeptał – jak dobrze, że w końcu jesteś.

Wyglądał solidnie. I jego pokrywał ten sam typ opalenizny, który zauważyła już wcześniej. Jakiś złoty jej odcień. Czerwony, jak ziemia w okolicznych górach. Pogłaskała go po pokrytym szorstkim zarostem policzku jak matka syna.

– Tak, jestem. – Spojrzała na niego z czułością. Chciała objąć wzrokiem całą jego sylwetkę. Wysuszoną skórę dłoni, popękana naczynka krwionośne na łydkach od codziennego wysiłku fizycznego, wysmukłone policzki i brązowe plamy, które musiały mu wykwitnąć na nosie od słońca. Miał świeżo przycięte włosy. To zapewne sprawka zakonników, którzy preferowali czystość i porządek. Pachniał oczywiście sokiem dojrzałych słodkich mirabelek. – Postanowiłam wcześniej wstąpić na kolację – poczuła potrzebę wytłumaczenia się.

– Niepotrzebnie – skwitował. – Zupełnie niepotrzebnie. Między nami, niejedna osoba tutaj czymś się podtruła. Ale widzę, że pijesz wino, bardzo mądre posunięcie w tych warunkach. Mam na myśli upały. Upały robią swoje z jedzeniem. A z jakichś nieznanym mi względów w tego typu barach właściciele lubią eksponować jedzenie. Niestety, nie w lodówkach. No ale... w kuchni na pewno coś niecoś się dla ciebie znajdzie. Możesz być o to spokojna. Lampka wina przed snem także, to się rozumie samo przez się. Domowej roboty. Ogród ugina się pod kiściami winogron. Sama zobaczysz. To istna kraina dojrzewających owoców. Niemal Arkadia. Et in Arcadia Ego, zapewne mi odpowiesz. Nie zaprzeczę. Ale może siądźmy jeszcze chwilkę tutaj, żebyś mogła skończyć wino. Nie warto, zapewniam cię, ale skoro już zostało zamówione...

Wysunął krzesło tak, żeby mogła nań swobodnie usiąść. Dla siebie wybrał to obok, nie naprzeciwko, chciał czuć na tyle, na ile to było możliwe jej obecność. Zwłaszcza, że, jak zauważył, wymykała się ze swoich kontur, coś ją rozpraszało, rozmywało sylwetkę i pozbawiało go jej zawsze krzepiącego wzroku. Tusia spoglądała na niego, ale nie tak jak oczekiwał. To nic, pomyślał, to nie ma większego znaczenia, najważniejsze, że tutaj przyjechała, do niego.

Postanowił od razu przejść do rzeczy, nie lawirować dłużej, nie nawiązywać do ogólników.

– Tutaj nawet śmierć traci na znaczeniu – wypowiedział swoje największe odkrycie. Wprost, z powagą zakrawającą na ignorancję. – To niemal wszystko, co chciałem ci osobiście powiedzieć. Nie mogłem o tym napisać. Nie miej mi za złe. Ale to jest prawda. Śmierć nie ma takiego znaczenia, jakie jej dotychczas przypisywaliśmy – powtórzył dobitnie, słowo po słowie, na jednym oddechu. – Nie podważam jej istnienia, ale sytuacja wymusiła na mnie przededefiniowanie jej znaczenia. Wiedziałem, że to będzie dla ciebie bardzo interesujące. Żeby nie powiedzieć, że to sprawa najwyższej wagi. Tusi, znamy się nie od dziś. Moja kochana Tusi, musiałem ci o tym powiedzieć, a jak już wejdziemy do klasztoru, to sama wszystko zobaczysz i jestem przekonany, że przyznasz mi rację.

Ciocia Tusia dopiła ostentacyjnie wino, ponieważ zauważyła, że Mirek nie ma jej nic więcej do powiedzenia przy tym akurat stoliku, w tej wyjątkowej chwili. Nie mogła

oprzeć się wrażeniu, że był już zniecierpliwiony, choć starał się za wszelką cenę ukryć jakiegokolwiek oznaki swojego stanu.

Wstali i skierowali się ku kompleksowi klasztornemu. Tym razem jednak patrzyła nieco inaczej na zabudowę miasteczka. Nie robiła już ona nań tak wielkiego wrażenia. Dostrzegła także symptomy zbliżającego się rozkładu, wrastające w ściany domów drobne drzewka, łuszczącą się farbę na kolorowych okiennicach, grzyb porastający donice mieszczące omdlewające od upałów nieznanne jej odmiany kwiatów, starszą kobietę, zgarbioną i niosącą w ramionach poźółłki owoc arbuza. Wcześniej byłaby skłonna uznać te drobne niedogodności za stanowiące o uroku owego miejsca, ale myśl, którą podzielił się z nią Mirek, sprawiła, że nabrały złowrogich odcieni. Et in Arcadia Ego. Także wyraźniej niż wcześniej doskwierała jej panująca duszność. Poprawiła rondo kapelusza w taki sposób, żeby bardziej osłaniało jej oczy. Poczula znużenie i ten rodzaj błęgiego lenistwa, który rozlewał się po ciele wraz z kropelkami wina. Mimo zapadającego zmierzchu coraz więcej osób wychodziło z domów, siadało na krzesłach wprost na ulicy lub przy barowych stolikach. Pielgrzymi zamawiali w barach alkohol. Każdy bez wyjątku miał na stopach jakieś lekkie obuwie – klapki, sandaalki, japonki. Niektórzy mieli piękne, silne stopy, inni pokryte drobnymi czerwonymi plamkami, pęcherzami lub jakimiś nietypowymi opatrunkami. Dało się wyczuć unoszący się wszem i wobec zapach wazeliny.

– Wazelina jest zalecana do smarowania stóp w ilościach nieograniczonych – mruknął Mirek. – Skóra staje się pod jej wpływem miękka, bardziej elastyczna i dzięki temu odporna na otarcia i zranienia. Smarowanie stóp na szlaku stało się priorytetem peregrinos – dodał kpiąco. – Ale dość już o tym. Jesteśmy na miejscu.

Przeszli do budynku plebanii, gdzie znajdowała się kuchnia, w której ciocia wyczuła lepkość soku z mirabelek, oraz pokoje dla gości. Na korytarzu natknęli się na zakonnik. Poprowadził ich do pokoju przeznaczone dla niej, gdzie obok piętrowego łóżka już czekała walizka. Mirek pociągnął ją za rękę.

– Chodźmy do ogrodu.

Teraz już nie potrafił ukryć zniecierpliwienia. Ona wołałaby się odświeżyć. Ściągnąć przepoconą sukienkę i przebrać się w coś lżejszego. Ale on nie potrafił dłużej zwlekać.

– Musimy iść właśnie teraz, zrozum.

Do ogrodu wchodziło się przez tylne drzwi plebanii. Był otoczony wysokim kamiennym murem, prywatna przestrzeń zakonu, wydzielona dla wyjątkowych gości. Wypełniony drzewami i dzikimi krzewami, gęsty od cieni i pomruków lisów, które schodziły o zmierzchu z gór. W ogrodzie czekały na nich dwa krzesła. Poprowadził ją do nich.

– Teraz będziemy czuwać – oznajmił, a ona, speszona, nie śmiała prosić o wyjaśnienia.

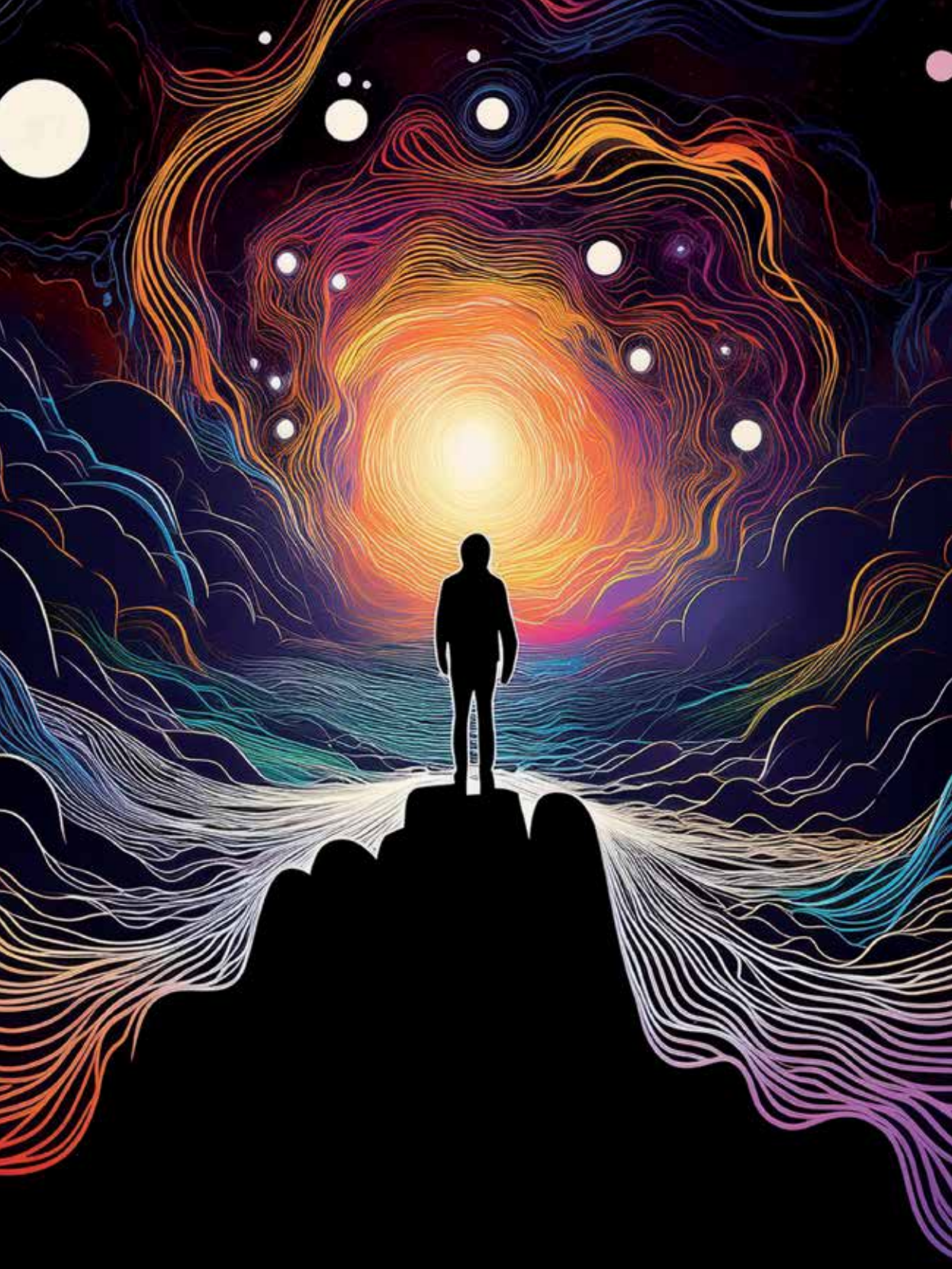
Kiedy zapadła noc i ogarnął ich chłód, okrył ich grubym, wełnianym pledem aż po brody. Ciocia Tusia zdziwiła się, że nie ogarnia jej senność. Coś poruszało się w powietrzu. Dopadła ją mdląca woń irysów. Pod stopami wyczuwała nieznaczne drgania wilgotnej ziemi, jak gdyby jej warstwy kruszyły się od wewnątrz.

– Przedziera się do nas – powiedział Mirek.

– Kto? – wyszeptała.

Ale on nie odpowiedział.

Pod jednym z drzew, zdaje się, że pod tą nieszczęsną mirabelką, dostrzegła wąskie pasmo światła. Wychodziło z ziemi, narastało i spomiędzy mroku wydobywało sylwetkę mężczyzny. Mężczyzna stał odwrócony do nich plecami i tylko przez chwilę mignęła jej jego dłoń, zraniona. Odrzuciła pled, poderwała się z krzesła, podbiegła do niego i z dziką satysfakcją dotknęła tej rany.



Łańcuch

Widać dobrze czarne kłębowiska drzew na bagnach, za łąkami, zbite w jeden kołtun potarganych łąbów, wycinankę dachów wsi w oddali i bryłę sporego kambura przy drodze. Noc tu była zawsze czarna, ale czasem trochę mniej. Wiadomo, pełnia. Wtedy wydaje się, że księżyc pokazuje tyle ile trzeba, żeby łatwo trafić do domu, tylko, że to wcale nie prawda, bo on pokazuje tyle, ile chce. Kambur leży na płaskim boku, na brzegu koleiny i wiecznie trzeba go omijać, żeby nie zawadzić osi i nie wywalić przyczepki kartofli, albo pedałem rowera i samemu nie plasnąć prosto w błoto. Nie jest aż taki wielgachny i zawsze Stasiak, jak wracał po nocy stąd, skąd takie Staśki po nocach wracają – myślał sobie, że za dnia to go weźnie i przesunie i do rowu wepchnie. Jak nie rękami, to łoma sobie kiedy do rowerowej ramy śnurkiem przywiąże, a na miejscu, to tylko starczy podłożyć mniejszy kamień pod żelazny drąg, na wagę go, chybotnąć cośkolwiek i kamburzec sam się do rowu potoczy, a droga się wręcz wyprostuje. Ale jeszcze nigdy tak nie zrobił. Ale planował. Jutro to na pewno, bo dziś to raz, że siły nie ma, a dwa, że łoma zapomniał i znowu po ciemku trza by dobrze za kierownik rowera trzymać, choć palce zgrabiałe.

Jesień to jesień, ziomb ciągnie od ruskich. Wiadomo, jak ziomb to zawsze od ruskich, stamtąd, co to białe niedźwiedzie ruskim w zamarznięte okna ryczą. I dobrze, niech ryczą i jeszcze z chałup kacapstwo wywłóczą. Tak sobie Stasiak przemyślał i od razu mu się cieplej zrobiło w ręce i wszędzie, bo przecież tutaj to nigdy aż tak zimno nie będzie. A już na pewno nie dzisiaj, kiedy widać, że nawet przymrozek nie chyta, bo by się zamrós na trawie, za rowem, świecił. A się nie świeci – popatrzył w bok, zapomniał o kamieniu, który był tam gdzie zawsze i przeleciał Stasiak przez kierownicę. Uderzył głową o mały kamień, ten co by się na wagę pod łoma nadał i upadł biedaczysko prosto w kałużę, która także nigdzie się nie przeniosła i błyskała tam, gdzie co roku, na jesieni – jedynym okiem patrzyła w niebo, nad drogą na Zawady. Smolista plama czarnej wody, akurat zagapiła się na księżyc srebrny i okrążyła jak kościelna taca na pieniądze. Musiała się bardzo zeźlić, że chłop rozciąpał jej taki piękny obraz, bo wystrzeliła z czarnych paluchów grubą mazią rozbełtaną szlaki i rozchlapała ją jak mogła najdokładniej, obryzgując upadłego Staśka.

Wygramolił się powoli, wytarł głowę jak się dało, popluł szlakówką na wszystkie strony i poszukał czapki w błocie. Była, to ją założył. Ściekło mu znowu na twarz, ale co tam. Czapka to zawsze czapka i jakieś ciepło daje. Oczy tylko obtarł. I tak jest ciemno, i tak. Kto tam będzie na niego patrzył, wolno mu być czarnym jak sam diabeł z piekła rodem. Oj, o tym diable to lepi po nocy nie marudzić, wole kogo innego spotkać – żeby odegnąć zły urok, od razu się przeżegnał i splunął przez lewe ramię.

Jak tak się zastanowić, to zawsze na ostatku z gospody wychodził, no kogo miałby spotkać? W drugą stronę przecie nikt po nocy nie łązi, chyba zwierz jaki, zmora, albo śmierć, ale ta to dawno temu, bliży gminy i pod koniec karnawału. Nigdy na jesieni, na jesieni sie nie pokazuje – przetłumaczył sobie i pomogło, odpędził złe myśli co do spotkania z kostuchą. Starczyło przecież, że łeb go porządnie bolał, strach żaden do kupy nie był tu potrzebny. Rozejrzał się za rowerem. Przednie koło jeszcze się kręciło i błyskało szprychami w księżycowym świetle, jak karuzela z fantami na odpuszcie, na straganie, przed kościołem. Krzywo jednak turkotało, widać nieźle scentrowane, ale niechby, jakoś by się pojechało, gorzej, że się łańcuch zerwał i tak dziwnie w korbę wkręcił, że ani żelastwa odpętlić.

No nie ma wyjścia, niech się wlecze za rowerem i tak bez to nie pojedą. Nie da rady skleić ogniwek na błoto.

– Jutro to już cię byku przewalę – warknął jeszcze do kamienia i zamierzał kopnąć, rozmyślił się jednak, bo mu doszło do rozumu, kogo więcej by to zabolalo. Podniósł swój koślawy pojazd, splunął w rozbełtaną breję i ruszył do domu. Jak rowerem było blisko, tak piechotą zrobiło się ciut daleko, a łeb mniej nie bolał, tylko coraz więcej. Łazł człek ociężałe, krzywe koło się kolebotalo, a i on się bujał, jakby w nim jakaś zębátka zęby se puszczierbiała. Trudno było tak wędrować, a tu jeszcze mus porządnie trzymać się rowera, dla podparcia zmęczonego ciała. Eech...

Łańcuch włókił się jak kotwica, niewzyczajnie coś oporny i długachny, dzwonił jakoś za głośnawo, a może tak w głowie Stachowej łomotało? Księżyc patrzył na to wszystko, chmurę wiatrem odwiał i światło padło najwięcej na miejsce przy drodze, gdzie dwie drewniane belki, krzyżem ramion się czerniły na tle gwiazdzistego nieba. Ot, zwyczajny, wiejski krzyż przydrożny.

O, żesz, jak tam dojdę, to już będzie niedaleko. Ciekawe, czy dawno tu stoi, dziadek opowiadał, że krzyżina był już stary i spękany, jak on był dzieciakiem. Chyba drewno mieli wtedy lepsze, albo lepi poświęcone, bo nic a nic, nie ugniło w nodze. Teraz to księdze tak byle jak chlapią kropidłem, że ledwo człowiek z kościoła wyjdzie, już mu się pić chce. Co, że skrucha na spowiedzi? Skrucha sucha, w gardle pali, a wodą się nie napijesz, dobrze, że jest gospoda naprzeciwno – przemyślał taszcząc rower i był pewien, że logicznie.

Nareszcie do krzyża doszedł, zatrzymał się dla odpoczynku i popatrzył w górę, na złączenie drewnien. Księżyc pokazał teraz błyszczącą, malutką postać cynowego Jezusa, przybitego do wielkich bel. Jak też taki, mały Pan Jezusik mógł ponieść taki wielki krzyż? Musiałoby być tych Pan Jezusów jak mrówek, a przecie wiadomo, że był jeden, gdzieś tu jest jakieś krętaństwo... – myślał z trudem, głowa pękała, dokuczając nie przestawała i dudniło w niej jak w kuźni. A Jezus błyszczał z wysoka, ze swoją spuszczoną głową, jakby i on się przyglądał Stachowi. Ciarki przeszły mu po grzbiecie, bo jak to tak? W nocy, pod krzyżem, ukrzyżowanemu w oczy patrzeć? Ale przypomniało mu się, że cynowy Pan Jezusik, przecież żadnych oczu nie ma, a już na pewno nie takie, żeby widzieć, tylko jakieś kropki, jak i reszta malutkiej rzeźby, w czymś warsztacie, z formy odlane.

Widział te źrenice z bliska, przecież sam figurkę do krzyża przybijał. Aż do zeszłego roku Chrystusik był inny, stary całkiem i dziurawy, ledwo blaszki kawałek, rdzą przezartej. Dlatego z chłopami postanowili Jezusa wymienić i dać nowego, bo już pomалу nie było i dla kogo czapki zdejmować z szacunkiem. Kłopot był wtedy – co ze starym Pan Jezusem zrobić? W końcu, Stacho był odważny i sam zaniósł poszczerbioną blaszkę na cmentarz, do grobowca starodawnego jaśniepaństwa. Pochował Zbawiciela delikatnie, wsuwając między odstające, żelazne wrota, do wiejącej chłodem, katakumby. Panu co pańskie... Pomodlił się i posłuchał nabożnie jak brzęknął Pan, upadając gdzieś w zaświaty.

Uśmiechnął się Stach i począł rozpamiętywać. Nowy Jezus od razu lepszy, z daleka błyszczący.. Ano tak, złożyli się na niego sąsiedzi, nie żeby jakiś wielki pieniądz był, ale on nic nie dorzucił, bo jego robota też przecież warta: starego Jezusa z krzyża zdjąć, a nowego przybić, gwoździe po własnych kosztach, po drabinie wejść, i najwięcej – figurkę kupić za składkowe. Przy tej myśli we łbie mu załomotało i ukłuło coś pod sercem.

Pożałował, że tyle uczynków zapomniał, a to akurat musi pamiętać. I po co?! Trza będzie do spowiedzi iść na Boże Narodzenie, a jak tu powiedzieć – więcej grzechów nie pamiętam – i dostać, za wszystko razem, rozgrzeszenie? Stara się jak może, żeby zapomnieć, a tu łeb uparty – pamięta i już! No przecież Chrystusik świeci się jak nowy, nawet po nocy. Sam go szczotką wyszlifował, o! Nikt się nie poznał, że Stanisław go z innego krzyża zdjął.

Przecież bidulek Zbawiciel poszedłby, prosto z cmentarza, za złom do huty, razem ze swoim starym, żelaznym krzyżem w druciane wykętasy. Jakiś bogol wyrzucił. Bez serca. Pewnie nowy, ładniejszy, lastrykowy, albo i malmurowy grób se postawił; może nawet bez Pan Jezusa, za to z jakimś ktowicósiem nowomodnym. Kawał głaza i tyle, co za moda barbarzyńska? No i znowu... własne barbarzyństwo mu się przypomniało. No bo, uratowany od pieca Jezusik może i jest wdzięczny za nowe miejsce i jeszcze większy krzyż, ale pieniądze sąsiedzkie poszły ze Staśkiem do gospody. A tu zaraz Boże Narodzenie

i spowiedź. Trzeba będzie księdzu zełgać, ni ma wyjścia. Albo... pójdę do spowiedzi, jak już wszystko się zapomni. Tylko skąd ja będę wiedział o czym zapomniałem, jak już nie będę pamiętał? – zapętlilo mu się wszystko, na amen.

Stał pod krzyżem, oparty o rower, a zerwany łańcuch dzwonił. *Jakim cudem dzwoni, skoro leży na leżąco i nie rusza się jak ja?* – zastanowił się przytomnie i rozejrzał na wszystkie strony. Wiatr się znowu nadał, dmuchnął, chwirutnął Jezusem i Pan się przekrzywił. Spojrzał Stasiak w górę i wstyd mu się zrobiło jeszcze bardziej, bo teraz w dodatku wróciła pamięć, że jednego gwoźdźca zgubił, a ten w nogach to się skrzywił i był nie dobity. W lato drewno rozeschło, no i teraz gwoźdź wyleciał, i Pan za jedną rękę wisi, a drugą w dół pokazuje.

– Eee... a co miałby pokazywać? Chyba te krzaki zarośnięte, nich tam baby pielą – mruknął i chciał odejść Stacho, kiedy dzwonienie się wzmogło i już nie tylko zza rowera dochodziło i nie tylko ze środka głowy obolałej, ale jakby z krzaków pod krzyżem, z tego miejsca, na które wskazywała ręka urwanego Pan Jezusa.

Akurat padła tam smuga księżycowego światła i z zarośli... wyskoczył wielki, czarny pies, czarny jak najczarniejsze smolisko, oczy mu się świeciły jak dwa rozpalone węgle i ciągnął za sobą ogromny łańcuch. Stasiak zdrętwiał ze strachu, bo w życiu ani takiego wielkiego psa nie widział, ani takiego dzwonięcia łańcuchem nie słyszał. Pomyślał, że oto tu, pod krzyżem na Zawady, wybiła jego ostatnia godzina, a czarny pies przyleciał po jego czarną duszę i zaraz go żywcem porwie na tamten świat, do samego piekła!

Czarny pies nie szczekał wcale, tylko obiegł wędrowca i krzyż zamykając ich w jednym kręgu, aż dzwoniący, srebrny, łańcuch falował i zostawiał za sobą białą smugę księżycowego światła. Biedak stał jak skamieniały, nie mógł się ruszyć ze strachu, a pies zatoczył drugie koło, ogłuszająco dzwoniąc żelaznymi ogniwami i zaraz znowu wyskoczył zza krzaków, zabiegł za Stacha i za chwilę miał zniknąć za krzyżem po raz trzeci...

Wtedy Stachowi przyszło do skołatanej głowy, że jeżeli pies go zamknie w trzecim kręgu łańcucha, to już naprawdę będzie koniec. I choć włosy mu dęba stanęły, wskoczył na rower i począł pedałowac z całych sił, pędził jak oszalały, byle dalej od czarnego psa, byle prędzej do wsi! Wiatr mu czapkę zerwał, a on tak jechał! Tak pedałowal! Żeby tylko już nie słyszeć dzwonięcia straszego łańcucha, żeby pies go nie dogonił. Cisnął na pedały ile sił w nogach, ile mocy w rowerze, aż wreszcie, sam nie wiedział jak, dojechał do domu. Nie wiadomo, czy bardziej mokry od wody z kałuży, czy zlany potem, oparł rower o ścianę. Wszystko jakby ustało, rozejrzał się – nigdzie żadnego psa nie widać, ani łomotu nie słyhać – odetchnął z ulgą, i poczłapał do drzwi.

Posłuchał jeszcze chwilę, powstał, trzymając się za kłamkę, żeby trochę uspokoić oddech. Wtedy księżyc oświetlił rower pod ścianą. I zobaczył Stanisław dokładnie, że koło jest scentrowane prawie, że w ósemkę, a łańcuch zerwany i jednym końcem

zakręcony w korbę, a drugi leży na ziemi i lśni jak srebrny wąż. Jak ja na tym dojechałem? Nie, to nie możliwe! – jęknął, szarpnął drzwi i zatrzasnął się w domu.

Jakiś czas potem, kiedy doszedł do rozumu i wrócił z dziękczynnej pielgrzymki do Błotnicy, opowiadał swoją historię dla przestrogi. Tłumaczył niedowiarkom, że to na pewno dobry Pan Jezusik, przed czychającym złym duchem, własną ręką go ostrzegł! I napomniął ku poprawie i nawet cudownie mu rower naprawił, dla czarnej duszy zbawienia.



SZUKAM PASTORA

*“Nikt prawie nie wie,
dokąd zaprowadzi go droga
,póki nie stanie u celu.”*

“Dwie Wieże” – J.R.R. Tolkien

Świt nieśmiało witał nowy dzień. Chłód nocy przyniósł pierwsze płatki śniegu, które o poranku radośnie lśniły w listopadowym słońcu. Strumień Sand Creek cicho szeptał wśród bujnych traw, nie przeczuwając nadchodzącej tragedii. Mieszkańcy obozowiska pogrążeni byli jeszcze w błogim śnie. Oczekiwali na wiadomości z Fort Lyon, skąd niebawem powrócić miała plemienna delegacja. Mieszkańcy Wielkich Prerii, sukcesywnie przesiedlani przez amerykański rząd ze swoich ojczystych terenów, od kilku dni z nadzieją czekali na pomyślne wieści z negocjacji. Inni, najdzielniejsi, wyruszyli na łowy, aby zapewnić żywność na zbliżającą się zimę.

– Ruszamy. Grać sygnał do ataku!

Na odkryty, uśpiony obóz stoczyła się kawaleria kilkuset niebieskich kurtek.

Tętent tysięcy kopyt przeszył ciszę.

– Wybić ich w pień. Nie oszczędzić ani jednego życia!

– Ależ pastorze! To przecież bezbronni ludzie!

– To dzicy. Poganie! Załatwimy ten problem raz na zawsze. I zapamiętaj jedno, żołnierzu: nie jestem już pastorem. Wykonać!

– Tak jest panie pułkowniku.

Bezsilni wobec niespodziewanego ataku, wyrwani ze snu i pozbawieni ochrony Czejenowie, wybiegali chaotycznie ze swych tipi wprost pod kule napastników. Bandycki ryk żołdaków mieszał się z lamentem zaatakowanych. Akcja była sprawna, krwawa i brutalna. Rzeźnicy nie mieli litości. Kobiety łkały, próbując chronić dzieci. Starcy, niezdolni do czynnego oporu, padali od ciosów szabel. Nastoletni wojownicy dumnie ginęli trato-

wani kawaleryjskimi kopytami, nie zdążywszy pochwycić broni. Masakra trwała kilka godzin, i kiedy wody Sand Creek zabarwiły się na brunatną czerwień, a nad pozbawionymi skalpów ciałami zaczęły krążyć kruki, pułkownik zatrzymał się przy jednym z namiotów. Stała przed nim młoda Indianka, jedna z nielicznych, która pozostała przy życiu. Hardo uniosła głowę zwracając się do dowódcy, kiedy ten zszedł już z konia:

– Dumny jesteś z siebie, wielki wojownika?

Pułkownik postąpił dwa kroki do przodu i uderzył dziewczynę w twarz.

– Milcz! Nie będziesz taka wyniosła, kiedy z tobą skończę. Szarpnął ją za rękę i wepchnął do tipi. Zanim bizonia skóra zasłoniła otwór, rzucił przez ramię do podkomendnych: – dobić pozostałych. Konie również. Po tym plemieniu nie ma zostać nawet wspomnienie. Nie zapomnijcie o trofeach. Odbiorę swoją nagrodę i zaraz wracam.

Wydarzenia z 29 listopada 1864 roku, wstępnie nazwane bitwą, po latach ochrzczono “Masakrą nad Sand Creek”.

*

– Tropimy bydlaka już od dwóch tygodni.

– Jesteśmy coraz bliżej. Myślę, że niespełna za dwa dni wpadnie w nasze ręce.

– Wiele bym dał, żeby to się już skończyło. Ludzie zaczynają narzekać. Konie też mają dosyć tej pogoni.

– Zatrzymamy się w cieniu tamtych drzew. Dziś już i tak zbyt dużo nie nadgonimy. Przekaż ekipie, że spędzimy tu noc. Ruszamy dalej skoro świt.

Siedmioosobowy oddział pod dowództwem szeryfa z Wild Horse, Billa Myersa rozlokował się pod koronami nielicznych wiązów rosnących gdzieś wśród ogromnych obszarów Wielkich Równin. Grupa pościgowa z zadowoleniem przyjęła perspektywę kilkugodzinnego odpoczynku.

– Rozsiodłać konie, napoić je i przytroczyć do drzew. Posilimy się, odpoczniemy. Niebawem przyjdzie czas na świętowanie. Lecz najpierw musimy dopaść tego diabła wcielonego.

– Racja. Tylko diabeł wcielony jest zdolny do takich zbrodni. W każdym z miasteczku, które mijaliśmy, zostawił po sobie ofiary z duchownych. Tylko szatan podnosi rękę na kaznodzieję.

*

– Szukam pastora. – Wahadła drzwi od saloonu huśtały się jeszcze. Pośrodku sali stał wysoki Indianin. Jego dumna twarz nie zdradzała żadnych emocji. Rondo wielkiego

kapelusza przysłaniało oczy. Gdyby karczmarz je widział, mógłby się przerazić. Rzucił tylko na odczepne:

– A po cóż ci pastor? On nie obcuje z Wielkim Manitou. – Zaśmiał się ochryple, wyraźnie zadowolony z własnego żartu.

Metys podszedł do lady. Spokojnie podniósł głowę i spojrzał przenikliwie na wesołka.

– Szukam pastora.

W jego spojrzeniu było coś, co natychmiast zdjęło uśmiech z twarzy gospodarza.

– Na końcu ulicy. W kościele. – Wybełkotał. – O tej porze przygotowuje się do porannej mszy.

– No! Teraz lepiej.

Pół-Indianin obrócił się na pięcie. Jego długi płaszcz zafalował. Karczmarz dałby sobie uciąć głowę, że zauważył głównię krótkiego miecza. Przybysz wyszedł na ulicę, zręcznie wskoczył na muła i ruszył stępem na koniec miasteczka, w stronę niewielkiego drewnianego kościoła.

*

Tego popołudnia do Kiowa dotarła grupa pościgowa. Rozemocjonowany tłum kłębił się przed kościółkiem. Uzbrojeni po zęby mieszkańcy żywo nad czymś debatowali. Niektórzy siedzieli już w siodłach, w każdej chwili gotowi do wyjazdu. Padały okrzyki: “Dopadniemy czerwonego diabła!”, “Morderca!”.

– Co się dzieje? – szeryf Myers podjechał do człowieka w gustownym garniturze.

– Makabryczna zbrodnia, szeryfie. – Odparł burmistrz Johnson. – Tuż przed poranną mszą wierni natknęli się na ten straszny widok. Zresztą, niech się pan sam przekona.

Weszli do świątyni. Do belki podtrzymującej strop nad ołtarzem przymocowana była lina, na której wisiało ciało przywiązane za nogi. Zgromadzeni powiedzieliby, że głową w dół, gdyby zwłoki nie były jej pozbawione. Ta leżała w kałuży krwi na ołtarzu, niczym na stole ofiarnym. Ciało, na wysokości piersi, przebite było mieczem. Tym samym, który karczmarz dojrzał pod płaszczem swojego nieoczekiwanego gościa.

– Co za potwór mógł czegoś takiego dokonać? Tego już zbyt wiele! Nie możemy pozwolić na kolejne zbrodnie.

– Kolejne? – Zdumiał się Johnson.

– Tak, kolejne panie burmistrzu. To już szósta ofiara zamordowana w podobny sposób. Za każdym razem jest to miejscowy wielebny. Zaczęło się w Wild Horse, gdzie przy zwłokach zostawił kij pielgrzyma. Dlatego mówimy na niego “pielgrzym”.

– Z Wild Horse do Kiowa są jeszcze po drodze Aroya, Hugo, River Bend i Agate. Tam też zamordował duchownych?

– Dokładnie. W każdym z tych miejsc zbrodnia wyglądała niemal identycznie. Wszędzie zostawia po sobie coś w rodzaju znaku. W Aroyi księżę, w Hugo torbę podróżną, w River Bend bukłak na wodę. Dwa dni temu, w Agate, głowa zawinięta była w coś w rodzaju zwoju. A dziś, tutaj, ciało jest przebite mieczem. To zastanawiające.

– Zaraz, zaraz... Coś mi to przypomina. – Burmistrz podrapał się po głowie. – Jeden z apostołów, zdaje się Jakub, miał taki ekwipunek w czasie swojej wędrówki do Composteli.

– Brednie. Skąd taki zwyrodnialec miałby wiedzieć o jakimś tam apostołe? Potrzebujemy świeżych koni. Ruszamy natychmiast. Pielgrzym nie zadaje sobie trudu w zacieraniu śladów. Wygląda to tak, jakby chciał, żebyśmy za nim podążali.

Kwadrans później grupa, wzmocniona kilkoma śmiałkami z Kiowa, ruszyła w dalszy pościg.

*

Pielgrzym zatrzymał się na wzniesieniu. W oddali majaczyły przedmieścia Denver. Gorączka złota sprzed trzydziestu lat rozbudowała młode miasto, które szybko stało się jednym z największych ludzkich siedlisk na granicy Wielkiej Prerii. Metys zsiadł z wierzchowca. W odległości pół mili dojrzał zabudowania rancza, przed którym bawiła się gromadka dzieci.

– Tu nastał kres naszej wędrówki, mój wierny przyjacielu. – Sięgnął do kieszeni płaszcza. W jego dłoni zalsniła muszla, kształtem przypominająca wachlarz. – Kres Drogi Zmarłych. Czuję, że dzisiejszy wschód słońca był dla nas ostatnim. Byłeś wiernym towarzyszem.

Pozwolił mułowi się położyć. Wyciągnął colta z kabury i przyłożył do skroni mieszańca.

– Wypełniłeś swoją misję. Nie pozwolę ci dostać się w łapy białych. Żegnaj.

Usłyszał jeszcze stumione głosy dobiegające z rancza. Coś zaszeleściło za nim w trawie. Rewolwer wypalił.

*

Grupa jeźdźców w tłumie wpadła na ranczo.

– Przejeżdżał tędy postawny człowiek? Pół biały, pół Indianin. W ogromnym kapeluszu i w zielonym prochowcu.

– Przyjechał. – Piegowaty chłopiec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Najpierw usłyszeliśmy wystrzał, a potem od strony wzgórza podjechał na mule, ciągnąc za sobą tego widłoroga.

– Pytał o coś? – szeryf Myers nie miał czasu na słuchanie opowieści.

– Szukam pastora. Tak powiedział.

– Pytał o pastora?

– Tak. I jeszcze, że ten widłoróg jest dla nas. – Wskazał palcem na ciało zwierzęcia. – I zostawił konia.

– Zostawił konia?

– No. Powiedział, że przyjaciele nie zasługują na straszny los. Kazał się nim zaopiekować.

– Powiedział, czy wróci po niego?

– Nie. Powiedział, że nigdy już się nie spotkamy. I poszedł w stronę Denver.

– Dzięki mały! Chłopcy, mamy drania! Galopem!

*

– Szukam pastora. – W drzwiach kościoła stanął potężny pól Indianin.

– Czego chcesz? – Pastor obrócił się i postąpił kilka kroków w stronę intruza. – Nie ma tu miejsca dla takich, jak ty.

– Pastor Chivington? John Milton Chivington?

– A jeśli tak, to co ci do tego? – Pułkownik, mimo swojego wieku nadal miał wyniosłą postawę i nadal dumnie unosił podbródek. – Czego chcesz, mieszańcu?

– Chcę, byś poniósł karę za swoje czyny, pastorze. Dwadzieścia jeden lat temu. Przypomnij sobie. – Metys zbliżył się o parę kroków. – Sand Creek. Dzieci. Starcy. Kobiety. Rzeź, okrucieństwo i śmierć.

– O czym ty bredzisz, człowieku? Stara historia. Nikt tego nie pamięta. – Pastor cofnął się, widząc, jak pielgrzym powoli zmierza ku niemu.

– Ja pamiętam. Młoda Indianka, którą zostawiłeś na pewną śmierć, przeżyła. Pobita, zbeszczeszczona, upokorzona. Nie raz opowiadała mi o tamtym bestialskim poranku. Od kołyski pielęgnowała gniew, karmiła rządem zemsty. Dziś poniesiesz karę. Odpowiesz za swe czyny. – W rękę pielgrzyma błysnął długi, myśliwski nóż z zakrzywionym ostrzem. – Opór nie ma sensu.

– Stać! W imię boże, stać! – Chivington natychmiast stracił rezon. – Niech Bóg mnie strzeże!

– W samo sedno, przeklęty starcze. Noszę imię Jacob. Jak na ironię. Jesteś celem mojej podróży. – Metys był już na wyciągnięcie ręki.

Huknął winchester. Jacob, gnany nienawiścią, zrazu nie poczuł bólu w ramieniu. Parł przed siebie w stronę pastora, który upadł cofając się przed śmiertelnym ostrzem noża. Huknęły dwa rewolwery. Jedna z kul strąciła mścicielowi kapelusz, odsłaniając ponure oblicze przyozdobione w żałobne barwy wojenne. Druga kula dosięgnęła uda. Przykucnął na chwilę. Próbował jeszcze wstać. Kolejna salwa upolowała korpus. Na zielonym płaszczu zamajaczyły krwiste ślady. Jacob padł na kolana.

– Zdążyliśmy w samą porę!

Do kościoła wpadli zbrojni pod dowództwem szeryfa z Wild Horse. Pod wpływem emocji celność ich strzałów nie była najlepsza, a jednak, mimo to, kolejne kule przeszywały ciało mściciela.

Nóż upadł na drewnianą podłogę. Druga dłoń upuściła muszlę, która rozpadła się na drobne kawałki. Tuż przed ostatnim tchnieniem pielgrzym spojrział w górę, na krzyż, i na umęczoną twarz przybitego do niego człowieka. Zdało mu się, że ujrzał życzliwy uśmiech, a usta się poruszyły. Jacobowi zaszumiało w uszach, a potem usłyszał tylko:

– Wybaczam ci... Chodź do mnie...





Pielgrzym Emeryk

Wincent siedział w fotelu, który mógł być równie stary jak on. Tak samo wysłużony, zapadnięty i od dawna gotowy do wyrzucenia na śmietnik. Mężczyznę jednak od wielu lat trzymało przy życiu jedno pragnienie. Fotel natomiast trzymał się na słowo honoru. Wokoło było mnóstwo bibelotów. Kwiaty, które dawno wyschły, obrazy, które dawno wyblakły. Meble wydawały się skrzypieć pod byle dotknięciem, jakby dając mu do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Wiedział, że nie powinien tu być, nigdy nie chciał skończyć na zapyziałej wsi na odludziu. Najbardziej denerwowały go jednak szczątki starego telewizora. Wielka kwadratowa obudowa leżała złamana w pół, a bulwiasty ekran rozbity był na kilka mniejszych kawałków. Nie był to jednak wypadek, a wynik tego, co zobaczył w tym pudle. Nie spodziewał się, że może mieć tyle siły, by zrzucić tego kłosa na ziemię; na pewno nie miał jej na tyle, by to posprzątać. Patrzył z irytacją na ten syf, czując, jak całe jego ciało napina się od środka niczym struna i skręca go we wszystkie strony. Ale ból towarzyszył mu na co dzień od dawna.

Pukanie do drzwi. Nikt go tu nie odwiedzał. Mieszkał w tym miejscu już ponad rok i pierwszy raz usłyszał pukanie. W pierwszej chwili nie wiedział, jak ma zareagować. W końcu się opamiętał – przecież tak długo czekał na ten dzień.

– Wchodź! – zawołał ochryple.

Grzegorz wszedł do czegoś, co przypominało bardziej leżę niż dom. Bywał w wielu miejscach i pracował w różnych warunkach, jednak to miejsce było dla niego wyjątkowo niepokojące. Nie było go w Polsce kilka lat, a w okolicach Świętokrzyskiego Parku Narodowego nie było go nigdy. Niespodziewane zaproszenie przyszło listem poleconym i nawet nie śmiał wyobrazić sobie, ile czasu wymagało dostarczenie go do Los Angeles. Odpisał, że przyjedzie w określony dzień, lecz liczył się z tym, że mógł wyprzedzić odpowiedź.

– Cześć, tato. – Zacisnął usta i kiwnął głową do mężczyzny w fotelu.

Starzec otworzył usta, chcąc odpowiedzieć, jednak żadne słowo nie zostało wypowiedziane. Kiwnął mu za to głową, jakby był zawstydzony. Syn rozglądał się po izbie, zatrzymując na chwilę wzrok na rozbitym telewizorze.

– Widzę, że się tu nieźle rozgościłeś.

Ojciec wbił paznokcie w fotel i odwrócił głowę w stronę plecaka rzuconego w kąt.

– Jestem spakowany. Możemy iść – powiedział, wciąż na niego nie patrząc.

– W sumie to nigdy nie lubiłem pić wody czy herbaty – westchnął gość i już sięgał po plecak, gdy zaskakująco silna ręka chwyciła go za nadgarstek i zatrzasnęła się jak imadło.

– To moje – warknął gospodarz i poluzował uścisk, gdy syn skinął głową.

Co za dziad – pomyślał Grzegorz. Nie widzieli się osiem lat i po tym czasie ojciec miał dla niego tylko tyle? To na jego kaprys doszło do zerwania kontaktów i na jego kaprys znowu się spotkali. Szczerze mówiąc, Grzegorz miał to wszystko gdzieś, ale inni powtarzali, że jeśli nie zareaguje, to potem sumienie zje go od środka. Teraz jednak kusiło go, by nagrać całe spotkanie i pokazać je wszystkim wrogom jego intuicji. *Jak stary przyk chce dźwigać swoje ciężary, to proszę bardzo* – pomyślał, a jednocześnie podał mu rękę, by wyciągnąć go z fotela. Ten o dziwo wsparł się na nim i wstał na nogi.

Wincent musiał skorzystać z pomocy. Nie chciał pokazać, jak bardzo jest słaby, ale wolał być podnoszonym z fotela niż z podłogi. Spojrzał na syna. Grzegorz przewyższał go, mimo że kiedyś starzec był równie wielki, tak samo barczysty i z tą samą brunatną czupryną. Wszystko szlag trafił. Każdy by mu pewnie powiedział, że taka jest kolej rzeczy – czas płynie i nikt przed nim nie ucieknie. Ale gdy on patrzył na syna, widział siebie. Może i tamten miał na imię Grzegorz, a nie Wincent, ale poza tym wszystko się zgadzało. Nie potrzebował widzieć zdjęć ze swojej młodości, bo ta młodość była przed nim. Ten chuj go po prostu okradł. On za to stał się zgarbiony, osłabiony i obolały. Było mu źle i doskonale znał tego przyczynę. Podniósł ostrożnie skórzany plecak i założył go na plecy.

– Idziemy – powiedział do syna, przechodząc przez drzwi i po drodze nadeptując mu na stopę.

Grzegorz zwiedził trochę świata. Był w tropikach, na safari i widział z bliska piramidy. Wychowywał się jednak w Polsce, więc wiedział, że niepozorność może być w niektórych miejscach normą. Nie było tu miliona znaków, tłumy turystów czy gigantycznej bramy. Było wejście do lasu – jedno z tysiąca wejść. Jedyne ledwo widoczne linie na drzewach dawały im znać, że są na szlaku. Tuż przed wejściem stała kolejna niepozorna rzecz. Jakaś rzeźba z drewna. Podłużna postać z okrągłą twarzą, bez wyraźnych rysów – jakby deszcz zmył z niej ludzki wygląd. O dziwo, rzeźba była zadaszona i miała nawet tabliczkę, która zawierała skromne informacje: „Emeryk – pielgrzym”. Grzegorz zauważył, że tekstu było więcej, lecz był zbyt starty, by cokolwiek z niego odczytać. Piel-

grzym miał może z półtora metra i nie było widać u niego nic charakterystycznego poza głową, na której mogła być kiedyś twarz.

– Wiesz może, co tu... – podjął Grzegorz, ale ojciec był już na szlaku i nie wyglądało na to, że zawróci. Westchnął więc i ruszył za nim.

Niedługo się dowiesz – pomyślał Wincent.

Grzegorz nie miał żadnych oczekiwań, wybierając się w tę podróż. Ojciec, mimo że miał lekko ponad sześćdziesiątkę, wydawał się trzymać na tyle dobrze, żeby wyznaczać dobre tempo na szlaku. Co prawda sześćdziesiąt to nie sto, ale widział, że ostatnie lata nie były dla niego łaskawe. Dla Grzegorza w sumie też nie. Otaczały ich cisza i spokój, których nie znał na co dzień. Wysokie i kruche drzewa, niektóre połamane, porośnięte mchem i zamieszkane przez robactwo. Nie było tu stromych zboczy, lecz spokojna ścieżka z lekkimi wzniesieniami.

– To czemu akurat tutaj? – spytał ojca, chcąc wreszcie poznać powód swojego przyjazdu. – Czemu nie zostałeś w mieście?

– Bo nic mi z tego – odburknął Wincent. – Tu mam spokój.

– To dokąd idziemy?

– Na górę.

O mało co nie potknął się o kamień. Miał na podorędziu tuzin przytyków i komentarzy, jednak chciał, żeby było to dobre pojednanie – i oby ostatnie.

– A co jest na górze? – spytał z udawanym zainteresowaniem.

– Klasztor – odpowiedział ojciec, podniósł z ziemi kij i zabrał ze sobą jako laskę.

– Nie wiedziałem, że z taty taki religijny człowiek.

Wincent zamachnął się kijem w jego stronę.

– Przestań mi tu aktorzyć – warknął.

– Ale to moja praca. – Uśmiechnął się pod nosem Grzegorz.

Starzec zacisnął rękę na kiju i ruszył szybciej przed siebie, mamrocząc pod nosem.

– Gnojek, kanalia, chuj... – mówił na tyle cicho, żeby Grzegorz nie usłyszał. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy zaczął mówić do siebie z braku towarzystwa. Pamiętał jednak inne rzeczy. Że ten gnojek zniszczył mu życie, że przez niego musiał robić w tej przeklętej fabryce. Poświęcił na to kawał życia, a ta kanalia była chociaż za to wdzięczna? Gdzie tam. I ten chuj miał jeszcze czelność okraść go z marzeń. Mamrotał oszczerstwa i mieszał bełkotliwie słowa.

Stary oszalał – stwierdził w myślach Grzegorz. Nigdy nie poznał ojca, mimo że mieszkał z nim przez dwadzieścia dwa lata. On do szkoły, ojciec do roboty. On chciał się bawić, ojciec szedł spać. On chciał rozmawiać, ojciec chciał się upić. Byli zawsze jak na dwóch przeciwnych biegunach. Grzegorz wykorzystał jednak swoją szansę i wy dostał się z tego grajdołu. A teraz wszystko do niego wracało. I wcale mu się to nie podobało.

Drzewa na szlaku przerzedziły się i ukazało im się olbrzymie rumowisko skalne, pokrywające całe zbocze. Stanęli przed barierkami, które oddzielały kamienny dywan od reszty szlaku. Na drugim końcu barierki stał inny zwiedzający, pierwszy, którego spotkali.

– Gołoborze – mruknął pod nosem Wincent, kiwając głową na skały.

– Fajne – stwierdził Grzegorz, mówiąc zupełnie szczerze. Ojciec prychnął na to określenie.

Zrobili sobie przerwę i wtedy właśnie podszedł do nich turysta z drugiego końca barierki.

– Przepraszam najmocniej – zwrócił się do Grzegorza. – Czy pan grał w „Zmorze”?

Grzegorz odgryził właśnie wielki kawałek jabłka, ale nawet z pełnymi ustami wykonał swój popisowy numer.

Oczy prawie wyszły mu z orbit, w źrenicach widać było przerażenie, jakby stanął przed sądem ostatecznym. Policzki zapadły się, a czoło zmarszczyło w taki sposób, jakby ktoś je wyciskał niczym ścięgno. Ostatnim szczegółem były usta w niemym sposób krzyku rozpaczy.

Wincent nie mógł ogarnąć tego, co widzi. Chłystek zaczął szczerzyć się jak głupi do sera, poprosił o autograf i o zdjęcie. I to jeszcze on miał im je zrobić. Przytrzymał palec na tym cholernym ustrojstwie i zrobił nieświadomie pięćdziesiąt zdjęć. Spojrzał na ostatnie i jemu samemu poprawił się humor.

– Wyszło – powiedział bardziej do siebie niż do mężczyzny, któremu oddawał telefon.

– Dzięki – odparł zadowolony turysta, jednak po zerknięciu na ekran mrugnął kilka razy i obejrzał się za siebie na gołoborze.

– Jednak nie wyszło? – spytał Grzegorz, już z normalną twarzą.

– Nie, nie, wszystko dobrze, ale muszę już schodzić – odparł zmieszany mężczyzna i ruszył prędko na szlak prowadzący w dół.

– Chyba aż tak źle nie wyszedłem, co nie? – zwrócił się Grzegorz do ojca.

Wincent wzruszył ramionami, uśmiechając się paskudnie, i ruszył ścieżką w górę.

– To tak często z twarzy cię ludzie poznają?

Grzegorz zaśmiał się pod nosem.

– Jak jesteś fanem horrorów typu B, to możesz zapamiętać. Grałem już w dziesięciu, a ta twarz przerażenia jest już jak wizytówka.

– Pamiętam ją – stwierdził ponuro Wincent, rozglądając się na boki.

– Dzięki. Gdyby nie ona, pewnie dołączyłbym do ciebie do fabryki na taśmie.

– Ehe – mruknął ojciec, prawie łamiąc w rękach kij, na którym się wspierał. – A co tam u rodzinki?

– Dobrze – odpowiedział krótko Grzegorz i przyspieszył kroku.

Szli obok siebie, czując, jak się od siebie coraz bardziej oddalają. Wędrowali w milczeniu przez kilkanaście minut, aż nadeszła mgła. Wincent szedł jednak pewnie dalej, a Grzegorz nie miał ochoty z nim dyskutować. Mgła była gęsta i mogli zobaczyć jedynie to, co mieli na wyciągnięcie ręki. Ukazało im się coś, co pięknie reprezentowało ich relację – nadpsucie. Drzewa, które wydawały się psuć od środka, i robactwo, wychodzące z ich szczelin w takich ilościach, że Grzegorz o mało co nie puścił pawia. Wincent kroczył obok niewzruszony, ale jego syn czuł się, jakby był na grzybach – i to nie kurkach czy rydzach, ale tych halucynogennych, jak na planie połowy jego filmów. Problem był w tym, że nawet podczas halucynacji nie widział takich zjawisk. Ludzkie twarze na korze drzew, wyjące w jego stronę; dźwięki tak przedziwne i niepokojące, że nie mógł pojąć, czy to odgłosy zwierząt w rui, czy w agonii. Wydawało mu się, że z koron drzew spadają glisty i karaluchy. Nie mógł wydobyć z siebie słowa, twarz przybrała formę jego filmowej „wizytówki”. Uświadomił sobie, że idący obok ojciec trzyma go za ramię w żelaznym uścisku i prowadzi do przodu.

– Tato? – wysapał Grzegorz, czując, że ledwo może oddychać.

– Już niedługo.

To go nie uspokoiło, wręcz przeciwnie, bo ojciec wciąż wydawał się być niewzruszony. Chciał mu się wyrwać, lecz był jak w letargu. Nagle usłyszał tętent kopyt i coś wyskoczyło przed nich. Jeleń. Olbrzymi jeleń, z wielkimi plamami gołego mięsa zamiast włosów, jakby odpadły mu płyty skóry. Jego ózór parował tak intensywnie, jakby zwierzę dobiegło do nich z drugiego końca świata, a jego ślepia były pełne czerwieni. Poroże było grube i połamane na końcach, ale to, co było zawieszane pomiędzy jego pniami, było najbardziej niepokojące. Twarz i to nie byle jaka, bo Grzegorz wiedział, że to jego twarz. To był tylko kawałek skóry, ale rozpoznał ją. Instynktownie dotknął spoconymi rękoma swoich policzków i nie wyczuł mięsa. Wszystko było na miejscu, jednak to go nie uspokajało.

Bestia zaryczała i stanęła dęba, przewracając ich obu na ziemię swoimi kopytami. Mgła opadła, a Grzegorz w końcu w pełni pojął, co się dzieje, i zaczął krzyczeć, płacząc jak dziecko. Wincent stęknął z bólu, podniósł się o lasce i warknął:

– Przestań się mazać.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął Grzegorz, trzęsąc się na ziemi jak osika.

– Jeleń nas znalazł – odpowiedział beznamiętnie Wincent. Nie dodał, że widział go wcześniej na zdjęciu.

– Ale co tu się, do kurwy nędzy, dzieje?! Świat się kończy czy co? Czemu tam była moja... moja twarz. – Złapał się za nią jeszcze raz, chcąc się upewnić, że jest na miejscu.

– Dowiesz się, jak dojdziemy do klasztoru – powiedział tylko ojciec i poprawił plecak, nie wiedząc, że jeden z jego pasów poluzował się, gdy upadł na ziemię.

Drewniany kloc wypadł z plecaka i spadł przed Grzegorzem. Postać wbiła się w glebę tuż przed jego twarzą, a on jakimś cudem zrozumiał, co to jest.

– Pielgrzym? – spytał cicho i wyciągnął do niego rękę.

– Nie! – krzyknął Wincent, lecz było już za późno.

Ból zalał głowę Grzegorza, niczym zimny prysznic na przebudzenie. Zobaczył obrazy przedstawiające jego ojca, który trzymał mniejszą wersję figury pielgrzyma. Widział, jak ścisnął ją w rękach, z pochyloną głową. Jak codziennie kroczył z nią przez szlak, na którym teraz byli, i gadał do niej. Jak przez całe noce wpatrywał się w figurę z goryczą i gniewem. Nagle wszystko się skończyło. Grzegorz wstał ostrożnie i spojrzał ze strachem na Wincenta.

– Coś ty zrobił? – spytał z posążkiem w ręce.

Widział szaleństwo w oczach ojca, gdy ten wyciągnął rękę po przedmiot.

– Oddaj – rozkazał.

– Coś ty zrobił?! – powtórzył z krzykiem Grzegorz.

– Ty złodzieju! – zawył Wincent, wymachując kijem w jego stronę. – Ty gnoju, kanalio, chuju jeden! – wyrzucał z siebie te same obelgi, które szeptał każdego dnia do posążka. – To wszystko przez ciebie!

– Przeze mnie? Co ci zrobiłem?!

– Życie mi zniszczyłeś! – zawył z bólu Wincent. – Moja Hania nie żyje, boś się urodził. Ja jej obiecałem i dbałem o ciebie, mimo że cię nienawidziłem. To ja miałem być na deskach teatru, a zamiast tego musiałem pracować w tej pieprzonej fabryce. To ja się w niej zniszczyłem, a ty gnoju jeden mogłeś robić, co chcesz! Wyglądasz jak ja! Robisz to, co ja chciałem robić! I jeszcze to... – Wsparł się na lasce, bo z gniewu ledwo mógł ustać na nogach, i wskazał na przerażoną twarz syna. – Ta twoja jebana „wizytówka” to moja twarz, gdy zabiłeś matkę! Zabrałeś mi nawet to, złodzieju!

Grzegorz osłupiał. Miał wrażenie, że minęło kilka lat zanim zareagował. Lecz w końcu powalił ojca na ziemię i przycisnął kij pod jego gardłem.

– I teraz bawisz się w jakieś kłątwy z posążkiem pielgrzyma? Bo jesteś chory na głowę? – syknął, nie mając już siły płakać ani krzyczeć. Jakby stał się zwykłą skorupą bez duszy.

– Emeryk – wysapał Wincent. – Kiedy Emeryk dotrze do klasztoru, świat się skończy. Ale ten posążek jest dla ciebie. On skończy twój świat.

Grzegorz może sam oszalał, bo nawet nie kwestionował słów ojca. Jakieś strzępki jego jaźni łączyły elementy tej układanki w błyskawiczny sposób. Rok temu ojciec opuścił rodzinny dom. Od roku nie mógł znaleźć żadnej roli w nowych filmach. Od pół roku

jego żona leżała w śpiączce po wypadku samochodowym, który spowodował, a córka nie chciała mieć z nim do czynienia. Może właśnie dlatego przyjechał na wezwanie ojca. Żeby uciec od wszystkiego. Ale teraz rozumiał, że to wszystko przez niego. Poderwał się do góry z kijem w ręce i podniósł idealną replikę pielgrzyma.

– Nie dotrze do klasztoru – powiedział tylko do kaszlącego ojca, wijącego się na ziemi jak robak. Rzucił posążkiem o skały i zaczął go deptać.

Wincent znieruchomiał na boku i zaczął się ochryple śmiać. Obok Grzegorza przeszła jakaś postać. Odziana w strzępy ubrań, które ledwo się na niej trzymały. Jej skóra była szara i brudna jak u trupa. Twarzy natomiast nie było. Jak u figurki i posągu na dole. Prząd głowy wyglądał, jakby zarośnięty kilkoma warstwami skóry, która przykryła oczy, nos i usta. Jakby ktoś zamalował je sprayem o ludzkiej barwie. Postać przeszła obok Grzegorza spokojnym krokiem, wiedząc, że nic jej nie zatrzyma. Mężczyzna przyklęknął i skulił się ze strachu. Pielgrzym nie zwrócił jednak na niego uwagi, tylko kroczył dalej. Grzegorz nie ruszył się z miejsca, natomiast Wincent podniósł się z ziemi i uśmiechał szczerze.

– To koniec – oznajmił triumfalnie. – Spotkaliśmy jelenia z legendy Emeryka, a teraz Emeryk sam się ruszył do klasztoru. Może ruszysz za nim?

Grzegorz nie odpowiedział, tylko przysiadł na ziemi i kołysał się, obejmując ramionami kolana. Wiedział, że nic nie może zrobić. To nie był horror, w którym grał, ale nie mogła to też być rzeczywistość. To był koszmar; musiał tylko poczekać aż się obudzi. Wincent, jakby czytając mu w myślach, pociągnął go za ucho.

– To nie sen – dodał, uśmiechając się obrzydliwie. – Masz za swoje, złodzieju. Pielgrzym z tobą skończy! – krzyknął mu do ucha.

– A co z tobą? – szepnął Grzegorz, patrząc pusto przed siebie.

– Nieważne – prychnął Wincent.

Grzegorz położył się i zamknął oczy. Leżał tak dobrą minutę zanim ojciec zareagował.

– Co ty robisz?

– Wiesz, jak to zawsze było w moich filmach? – spytał, lecz nie czekał na odpowiedź. – Moja postać umierała w jakiś koszmarny sposób, często pod koniec. Jeśli muszę jakoś odejść, chcę to zrobić na spokojnie. Jak ten pielgrzym. Żegnaj.

Wincent patrzył za pielgrzymem, który zniknął wśród drzew. Potem spojrzął na syna. Przypomniał sobie, jak któreś nocy oglądał cokolwiek leciało w telewizji i zobaczył go w jednym z tych głupich horrorów. Było tak, jak mówił, umierał w jakiś okrutny sposób.

A Wincent był tak zazdrosny, że to jego pokazują w telewizji, że rozwalił odbiornik. Teraz jednak Grzegorz wyglądał, jakby spał. Dzwony zabiły, a ptaki wzniosły się ponad korony drzew. Pielgrzym dotarł do klasztoru.

– Ty gnoju – szepnął starzec, wiedząc, że jego syn odszedł na własnych warunkach.

Tętent kopyt nadciągnął szybko i znikąd. Jeleń wbił Wincenta na swoje poroże, a on spojrzał zwierzęciu prosto w czerwone ślepia. Jego twarz zaczęła się obkurczać, jakby jakaś postać mięła ją w rękach. Nie mógł już krzyżeć, bo nie miał ust, nie widział, bo nie miał oczu, nie mógł nic wyczuć, bo nie miał nosa. Mógł za to iść przed siebie, gdy jeleń puścił go na ziemię. Mógł też słyszeć, jakby całym sobą, i nasłuchiwać, gdzie ma się udać jako kolejny pielgrzym.





TUNEL PEŁEN CISZY

Obudził się, kiedy ogień przygasł, pozwalając mu dojrzeć śnieg padający za oknem. Świece wyglądały jak przedziewiałe gwoździe wbite w zbutwiały parapet. Trzy, a każda była mniejsza od poprzedniej. Paliły się równie zawzięcie, choć ostatnia była już nie większa od kciuka. Nikodem pomyślał, że rzeczywiście przypomina palec, szczególnie w świetle pulsujących, dogasających węgielków koksownika, który ogrzewał wspólny pokój sypialny. Leżał pod kocami, poruszając żywo skostniałymi stopami w skrzypiących skórzanych butach. Przestał, kiedy któryś ze śpiących robotników wymruczał coś w ciemności. Brzmiało to jak skarga, ale chłopak jej nie zrozumiał. Nad jego głową krzywiło się jego imię, nakreślone węglem przez jednego z robotników. „*Pílagrímur*”. W ten sposób zaznaczono jego miejsce w noclegowni. Islandczycy nie potrafili wymówić jego pełnego imienia, ale on prawie w ogóle z nimi nie rozmawiał, miał więc to gdzieś. Mógł być i Pielgrzym. Powoli wstał, wciągnął kurtkę i przeszedł z zaciśniętymi zębami do zasuniętych drzwi. Uchylił je i wyszedł na zewnątrz, w pośpiechu zamykając je przed zimnem.

Księżyc nie był pełny, ale ani jemu, ani Nikodemowi wcale to nie przeszkadzało. Kształtne, blade księżycowe oko zdawało się zaglądać do wnętrza tunelu, który zionął czarną otchłanią. Bijący od ogromnego wejścia chłód skutecznie zniechęcał wszystkie żywe istoty. W innych miejscach na ziemi nawet późną nocą czekały psy albo chrzęściły kroki nocnych wędrowców. Tutaj, na zimnej północnej wyspie, panowała zupełna cisza. Niko ścisnął komórkę w dłoni, wlepiając się beznamiętnie w czarny ekran. Szron tkął pajęczynę na jego rękach, a gdy niemal skończył, Nikodem rozwarł nagle powieki, cisnął komórkę w ciemność i wrócił do środka, gdzie płonęły palce.

*

- Jak się czujesz?
- Dobrze.

- Nie kłam.
- Naprawdę. Wszystko w porządku, Nikoś. Mówili, że za jakiś czas powinno mi się polepszyć. Może nawet przyjadę cię odwiedzić.
- Tutaj jest bardzo gorąco. Przecież ty nie lubisz upałów.
- Leżeć w łóżku też nie lubię, a mimo to muszę. Wolałabym stać obok ciebie i patrzeć na Górę Oliwną. Jaka ona jest?
- Bo ja wiem? Oliwna.
- O której kończysz? Ostatnio mówiłeś, że wpół do szóstej, ale wczoraj dzwoniłam o szóstej i nie odebrałeś.
- Widocznie byłem zajęty. To ja będę do ciebie dzwonił, mam, okej? Tutaj jest taka służbowa budka i telefon na kabel. Nie dzwoń, no chyba, że to super ważne.
- Dlaczego? Nikoś, co się dzieje?
- Nic, mam. Po prostu nie chcę, żebyś się martwiła, jak czasami nie odbiorę. Będę dzwonił codziennie, ja do ciebie. Dobrze? Kocham cię. No, muszę już iść, bo się spóźnię.
- Czemu u was jest tak głośno?
- To... jedzie jakiś samochód. Trzymaj się. Słuchaj lekarzy i odpoczywaj.
Oddał słuchawkę zniecierpliwionemu Islandczykowi, który wypluł ogryzek przeżuwanego papierosa i zaczął gniewnie wybierać numer. Wychodząc, Niko usłyszał jego szczerzy śmiech, kiedy mężczyzna powitał radośnie kobietę, do której zadzwonił. Nikodem przyspieszył kroku. Przeszedł wzdłuż nowo położonych torów kolejowych, tak lśniących, że przebijających się przez śnieg. Buciorobotników dudniły na drewnianych kładkach, a jeden muskularny Norweg szarpał się z wiatrem, który próbował wyrwać mu z dłoni schemat budowy. Niko przeszedł przez płataninę rur i kabli, zakładając szybko kask. Zdażył przed wzrokiem nadzorcy, który machnął ręką, każąc mu się pospieszyć. Zapytał o coś głośno.
- Gadałem przez telefon – odparł Niko, pociągając nosem z zimna. – Telefon – wyjaśnił, patrząc na zmarszczone czoło podstarzałego człowieka. – Phone. – Złożył palce w odpowiedni gest i przyłożył do ucha. – Sími¹, debilu.
Nadzorca pokiwał ze zrozumieniem głową i gwizdnął, jakby przywoływał rozpierzchnięte owce. Robotnicy ruszyli ku czarnym wrotom tunelu, maszerując niespiesznie. Wychodzili z przybudówek albo spomiędzy rozładowanych wagonów, wysoko unosząc nogi w oblepi-onych śniegiem butach.
Tunel był prawie skończony. Tak wysoko w górach ciężko było wwieźć maszyny, mieli więc tylko przestarzałe generatory i paliwo, które nie zawsze pozostawało płynne. Porzucając cywilizację, pracowali w rytmie przeszłości, siłą własnych ramion, używając

¹ isl. telefon

łopat, kilofów, wiader i taczek, stawiając drewniane stemple i mieszając zaprawę na brzydkie, grube filary. Góry ustępowały niechętnie, a Niko rozumiał ich niechęć. Stały tutaj od zawsze. Dlaczego miałyby tak po prostu poddać się wiecznie nienasyconej ludzkiej chciwości? Łopaty i kilofy raniły tysiącletnie ciało, powoli, ale nieprzerwanie brnąc do przodu. Góry musiały im ulec, choć przecież zawsze spoglądały na ludzkość z góry. Mrówczy człowiek wiercił swoje dziury, kruszył kamienie i wbijał żelazne pręty, a góra przyglądała się temu w milczeniu.

Ale tego dnia postanowiła krzyknąć.

Wielka kamienna płyta naruszonego pracą sufitu zadrżała nagle, a długie szczeliny urosły i rozciągnęły się, jak błyskawicznie rosnące pędy bluszczu. Nie było czasu, by cokolwiek zrobić. Głazy runęły na ziemię z hukiem, a przeraźliwe dudnienie poniosło się echem w głąb tunelu. Łabędzi śpiew góry przeszył każdego z jej zabójców, a kiedy z sufitu spadły już ostatnie kamyczki, wciąż można było usłyszeć jego pogłos, smutny i przesiąknięty bólem, odchodzący powoli w niepamięć. Słyszać było także ludzki krzyk.

- Guð² ...

W ciemności i pyłe zamajaczyła dłoń w grubej rękawicy, która zadygotała słabo niczym podrygująca niechętnie kukielka. Ścisnęła się, rozwarła, i padła na kamienie. Niko kaszlał i osłaniał oczy przed pyłem. Dźwignął starą lampę sztormową, która leżała obok. Upadając, stłukła szybkę, ale wciąż sączyła wokół siebie jasny blask. W jego świetle Niko zobaczył zamaryłych w zdumieniu pozostałych robotników. Krzyknął ku nim, by mu pomogli, lecz oni nie odpowiedzieli. Niko stał czarny pył z twarzy i ruszył po gruzach do uwięzionego człowieka. Słyszał zniekształcone przez echo dziwne głosy ludzi po drugiej stronie rumowiska, którzy mogli próbować coś mu poradzić albo przed czymś przestrzec. Nie rozumiał ich słów. Ani ich, ani szlochu leżącego mężczyzny, któremu spadający głaz przygniótł nogę. Dostrzegłszy Nikodema, Islandczyk zaczął mówić po angielsku.

- *Pilgrim... Please, help me. Guð, pílagrímur... Help me.*

Niko postawił lampę i spróbował odsunąć kamień, ale ten nawet nie drgnął. Islandczyk krzyczał i wzywał boga. Krzyk wspinał się w górę po gęstym pyłe, wprawiając w drganie całą grootę. Bóg nie przychodził. Byli sami. Niko rozejrzał się za czymś, czym mógłby podważyć głaz, ale uwięziony człowiek nie pozwolił mu się oddalić.

- Uspokój się!

Przygnieciony mężczyzna go nie posłuchał. Złapał chłopaka za spodnie kombinezonu i pociągnął, tak mocno, że Niko upadł na kolana. Zobaczył krew na popękanej, pełnej gruzów ziemi, ciemnoczerwoną posokę ściekającą ciurkiem po nierównych krawędziach

¹ isl. - Boże...

skąły. Niko dyszał, czując bębniące w jego kask drobne kamyki. Nie minęła chwila, a ranny wygiął plecy w pałąk i zaczął się trząść. Okładał pięściami wszystko dookoła, jakby chciał odpędzić jakieś niewidzialne stworzenia, które przywiodła woń jego krwi. Zdzielił chłopaka w bark, a potem w twarz. Nikodem wpadł między dwa wygięte żeliwne pręty. Szyna kolejowa obija mu nerki, słyszał obłąkane wrzaski. Odbijały się od zawałonych kamieni, od ścian tunelu i porzuconych maszyn, echo nieznajdujące ujścia z potrzasku, które ludzie sprowadzili sobie na własne głowy. W oddali cichło coś, co przypominało dźwięk dzwoniącego telefonu.

*

Po uprzątnięciu i ocenie strat, naczelnik zawyrokował, że nic poważnego się nie stało. Według tego, co zrozumiał Niko, zawałił się mały fragment niezabezpieczonego sufitu, który natychmiast uszczelniono. Ucierpiał przy wypadku robotnik miał otwarte złamanie nogi i raną głowę. Nikodem widział, jak go opatrywano. Bez znieczulenia, bez trwonienia czasu. Obwiązano mu czoło bandażem, a nogę nastawiono, po czym pozostawiono na pryczy w głębi noclegowni, by stękał i dygotał. Niko spędził noc, obserwując padający śnieg w świetle dwóch świec. Trzecia, najmniejsza, była tylko kałużą zamrożonego wosku.

Następnego dnia wrócili do pracy. W szarych, naciąganych na czoło jednoczęściowych kombinezonach, zapinanych na rzepy buciorach i sięgających obojczyków rękawicach przypominali nurków, którzy przemierzali skaliste morskie dno, powoli i bez zapału zmierzając ku światłu dwóch przeraźliwie jasnych reflektorów. Te stojące na tyczkach oslepiające oczy prowadziły wszystkich ku ich przeznaczeniu, a cichy szum pracujących żarówek wprawiał każdego w otępienie. Spoceni, milczący i przemarznięci, przebili się na drugą stronę góry. Wieczorem, gdy robotnicy rozlewali czarną jak smoła parującą kawę, Niko miał okazję, żeby zadzwonić do domu.

– Halo?

– Cześć, mammo.

– Cześć, Nikoś. Coś słabo cię słyszę. Przeziębiles się? W Ziemi Świętej jest zimno?

– Nie, to tylko... Jestem zmęczony i tyle.

– To normalne podczas pielgrzymki. Lecz zbawienie będzie twoje. A ja będę zdrowa, jeśli Bóg...

– Mammo. Prawie skończyliśmy. Dokończymy tylko parę rzeczy i wracam do domu. Może jeszcze w tym tygodniu. Byłoby fajnie, nie? Mammo?

– Coś przerywa. Co w tym tygodniu?

– Mówiłem, że...

– ...est nie tak..

Rozległ się głośny trzask. Niko odsunął słuchawkę. Dobięły go przeciągłe odgłosy postukiwania i siorbania. Ktoś rzucił ku niemu pytanie, a choć Niko dobrze je zrozumiał, nie odpowiedział. Nie chciał kawy. Nie chciał siedzieć w wychłodzonych, przemakających barakach, słuchając ponurego pomrukiwania robotników i podrygiwania starych sprężyn w przegniłych materacach. Nie mógł patrzeć na bezdrzewne, kamieniste wzgórza, na poskręcane wąskie drogi i szarą wodę oceanu w oddali. Nie mógł znieść wiecznie skostniałych palców, tego, że musiał spać w butach i tej przeklętej, zatruwającej myśli samotności, która w połączeniu z zimnem i ciemnością sprawiała, że Niko zaczął nienawidzić życia. A przecież przybył tutaj, żeby je naprawić. Nie bez powodu przezywali go „Pielgrzymem”. Piechotą przeszedł przez mokrą pustą wyspę, żeby dotrzeć na jej odludną północ i zatrudnić się przy budowie torów. Z jakiegoś powodu byli także przekonani, że jest katolickim księdzem, wykonując znak krzyża, gdy go mijali, podczas gdy on chciał tylko zarobić wystarczająco pieniędzy, by zapłacić długi zaciągnięte na matkę oraz koszty jej leczenia.

Przysiadł na pryczy rannego Islandczyka, który, półprzytomny, zaczął snuć jakąś opowieść, a choć Niko nie rozumiał jego słów, z uwagą wysłuchał całości. Wykonując znak krzyża, prosił „pílagrímurga” o przebaczenie albo rozgrzeszenie, więc Nikodem położył mu dłoń na czole i udał, że odprawia jakiś obrządek, byle tylko człowiek dał mu spokój. Kiedy ranny zasnął, chłopak powłókł się do własnego łóżka i spędził noc, patrząc na padający za oknem śnieg. Ostatnia ze świec wiła się swoim płomykiem niespokojnie na zbutwiałym parapecie, paląc się tak gorliwie, jakby chciała jak najszybciej się spalić.

*

Wyrównali sufit i podłogę, położyli tynk, pomalowali kolumny i udekorowali cegłami obie strony tunelu, a na koniec poprowadzili lśniące, cuchnące smarem szyny przez całą jego długość. Wystarczyło tylko zanieść nowy żółto-czarny znak na miejsce, w którym tory przecinały zwirową drogę dla samochodów. Niko miał wykopać łopatą dół i wbić znak, a potem wrócić przez tunel do stacji, gdzie czekała na nich ciężarówka. Robotnicy wygarniali rzeczy z szafek i pakowali się w pospiechu.

Niko szedł prędko, niosąc na ramieniu ciężki znak. Panowała zupełna cisza. Nie podróżował wtedy żaden samochód, nie szedł żaden człowiek. Można było zastanowić się, po co temu miejscu tory kolejowe, skoro nikt nie kwapił się, by się tutaj dostać. Niko nie miał czasu, żeby się nad tym zastanowić. Oparł znak o najbliższy kamień, rozkopał zaspę śniegu i wbił łopatę w zmarzniętą ziemię. *PRZEJŚCIA NIE MA*, głosił napis. Ze stoków otaczających go gór spłynęło gwałtownie zbudzone, wściekłe echo, które narastało

w dolinie, wstrząsając ciałem kopiającego dół chłopaka. Wyglądało to tak, jakby dostał ataku. Pot spływał mu strugami po czole, a palce płonęły żywym ogniem. Mimo tego nie przestawał kopać. Wbił niedbale zaostrzoną tyczkę ostrzegawczego znaku i przysypał go szybko ziemią. Obrócił się ku cichnącemu echu. Zaczął krzyżeć. Wrzeszczał tak długo, jak tylko starczyło mu tchu, a potem zatoczył się jak pijany i rozplakał się. Szlochał jak człowiek, którego nogę strzaskał spadający kamień, głaz ciśnięty na oślepa przez konającą górę. Gdyby Niko stał głębiej w tunelu, pocisk mógłby trafić jego. Góra mogła zmiażdżyć go z łatwością. Pozbawić go zarobku i ratunku umierającej matki, której skłamał, iż wybił się na pielgrzymkę do Jerozolimy, by tam błagać Boga o zdrowie, które tylko on mógł przywrócić umierającemu na raka człowiekowi; pogrzebać żywcem zarówno jego, jak i wszelką nadzieję na odkupienie. Niko jej nienawidził.

– Nie zabijesz mnie! – ryknął przycupniętym w żalobie ciemnoszarym chmurom. – Nie pozwolę ci! Przeżyję, choćbym miał...

Po opuchniętych, skulonych chmurach rozeszło się spazmatyczne światło błyskawicy. Huk rozerwał niebiańską płachtę i na świat zstąpił lodowaty deszcz. Niko uświadomił sobie, że jego łyzy wyschły. Podniósł się na nogi i porwał się biegiem w stronę tunelu. Biegł, ślizgając się po gładkich torach, potykając się o zaspy. W oddali, w ostatnim świetle wyłączanych reflektorów-oczu, zobaczył jednego z robotników, który rozmawiał przez telefon. Mężczyzna dojrzał wracającego chłopaka i zacisnął szczękę. Wyciągnął w jego stronę słuchawkę.

– *Pílagrímur, mamma* – powiedział krótko.

– Miała nie dzwonić – odparł Niko. Deszcz spływał po jego twarzy. – Obiecała mi, że nie zadzwoni. Że będzie czekać, aż ja...

Islandczyk wzruszył ramionami. Zostawił telefon i odszedł w kierunku szykującej się do odjazdu ciężarówka. W blasku jej światła dało się dostrzec tkwiącego w deszczu samotnego młodzieńca, który drżącą dłonią przyciskał do ucha słuchawkę. Z szeroko rozwartymi oczami przytaknął głosowi dobiegającym z aparatu, a potem znieruchomiał, głuchy na kolejne słowa. Wpatrywał się pusto w tunel, rozmazane przez deszcz wejście na cmentarz bezimiennych.

– Jesteś rozgrzeszony, pielgrzymie – powiedział Bóg do słuchawki, przemawiając rozwartą gardzielą bazaltowej góry. – Możesz wracać.

– Flýttu þér! – rzucił ku niemu naczelnik, przytrzymując rozsuwane drzwi ciężarówka.

– Komdu eða þú verður!

Z gardła tunelu wydobył się ryk, który mógł być rumorem nadjeżdżającego pociągu. Krople deszczu umykały przed nim w popłochu. Z paszczy, po drugiej stronie, wyłonił się księżyc w pełni, a następnie drugi. Srebrzyste oczy Boga spojrzały w oczy Nikodema, pełne łaski.

³ Pospiesz się!

⁴ isl. - Chodź albo cię zostawię!





Wszystkie stopnie Grabarki

*„Zresztą wydaje mi się, że pielgrzymka nie jest dla przekonanych,
ale dla tych, którzy wątpią, szukają.”*

Marek Kamiński

Jeden. Najtrudniej jest zacząć – ale zaczynam.

Jeden. Pewnie dziwisz się, że tu jestem. Sam jestem zdziwiony. Pamiętasz chyba, że nigdy nie byłem zbyt religijny, a od tamtego dnia zapomniałem o Bogu. A może raczej nie chciałem o nim pamiętać. Bo jak można pamiętać o kimś, kto w jednej chwili rujnuje ci cały świat? Kto w ułamku sekundy odbiera ci to, co budowałeś latami; kruszy szczęście, które chroniłeś dotąd z takim trudem? Tak wiem, to nie wina Boga, mówili. Ty też pewnie powiedziałaś coś takiego: za wcześnie, za ślisko, zbyt mgliście. I zbyt zmęczeni kierowcy. Złe miejsce, zły czas. Wyjątkowo pechowy splot wydarzeń. To nie twoja wina, szepnęłabyś, zaglądając mi w oczy z bliskiej odległości, a twoje tęczęwki byłyby brązowe jak kawa, gorzka czekolada, kora drzewa.

Szkoda, że teraz patrzę na mnie tylko ze zdjęć – a żadne nie uchwyci w pełni ich koloru. Żadne nie pokaże prawdziwej ciebie ani tego, jaka byłaś. Właśnie: byłaś. Wciąż nie umiem przenieść cię do czasu przeszłego. Wciąż jeszcze przyłapuję się na tym, że wiem twoje ulubione zasłony, a w kuchni na blacie stawiam dwa kubki z kawą. Wszystko po to, by oszukać samego siebie. By na ułamek sekundy pozwolić sobie uwierzyć, że zaraz otworzą się drzwi, a ty wbiegniesz do mieszkania, zdyszana i przepraszająca, że nie było cię tak długo. Że nadal jesteś.

I właśnie dlatego ja jestem tu. Jest taka góra, mówiłaś. Takie miejsce na Podlasiu. Nawet minęliśmy wskazówki do niego, pędząc na weekend do Białowieży. Chciałaś, żebym skręcił, ale ja śpieszyłem się już do hotelu i jego atrakcji. Do twojego ciała, które w letniej sukience w kwiaty pociągało mnie jak nigdy wcześniej, choć przecież podobałaś mi się od pierwszego spotkania. Nie teraz, rzuciłem. Nie mamy czasu. Kiedyś. Potem. Innym razem. Gdybym wiedział, co się stanie – i jak mało zostało nam czasu, spełniłbym

twoją prośbę. Spełniałbym każdą, zanim zdążyłabyś ją wypowiedzieć. Niech więc będzie Grabarka, tak jak chciałaś. Dla ciebie, choć już bez ciebie.

Ale teraz wszystko już takie jest.

Dwa. Podnoszę wzrok. Za mną nagrzany asfalt parkingu aż pulsuje z gorąca. Jest tak ciepły, że czuję się, jakbym brodził w morzu lawy. Gorąco bez trudu przebija przez podeszwy moich sportowych butów, których nie nosiłem od kilku lat. Od naszego wyjazdu w góry, zaraz po ślubie. Po nim miały być kolejne, ale coś się zmieniło – i mieliśmy poważniejsze sprawy. Dziś mam przed sobą ledwie górę, a nie wiem, czy dam radę. Mrużę oczy w pełnym słońcu, patrząc na strome schody na Grabarkę. Od samego patrzenia kręci mi się w głowie. Nawet nie próbuję ich policzyć, wydaje się ich być nieskończenie wiele jakbym stał u stóp zikkuratu albo biblijnej wieży, która miała sięgnąć nieba: strome i ostre, wyslizgane tysiącem stóp, które się po nich wspiwały. Zaciskam dłoń na kuli. Zaciskam zęby. To nie będzie łatwa droga, być może nawet jej nie skończę jak tych wszystkich plan-szówek, które odkładaliśmy przed końcem, bo było już późno, spieszyliśmy się albo przyszli znajomi. Dziś już nigdzie mi się nie spieszy, a kiedy ktoś przychodzi, nie otwieram. Byłabyś zła, ale nie mogę. Nie potrafię znieść myśli, że gdy oni rozsiądą się w pokoju, twój fotel i kubek zawsze już pozostaną puste.

Trzy. Jak mam liczyć stopnie, kiedy przez łzy ledwie je widzę? I jak mam przestać cię opłakiwać, mimo że minęło już pół roku? Pół roku, a mi wciąż wydaje się, że to się stało wczoraj. Że nie dalej jak dwadzieścia cztery godziny temu obudziłem się w szpitalu, a z twarzy twojej mamy wyczytałem, że stało się coś złego. Nawet nie musiała nic mówić. Miała to w oczach i zmarszczonym czole. Ból, którym zaraziła mnie, nim padły pierwsze słowa i popłynął w moich żyłach razem z kroplówką. Od tamtej chwili nie potrafię się z niego wyleczyć. Od tamtego momentu szukam twojej twarzy w sklepie i w metrze, do tego stopnia, że potrafię pobiec za kobietą, która nosi podobny płaszcz, czesze się tak samo albo używa twoich perfum. A właśnie, jeśli mowa o zapachu. Czujesz, jak pachnie lasem: sosnami, które porastają Grabarkę z każdej strony i przechodzą w połacie lasu, aż ta święta góra prawosławnych wydaje się wyspą w morzu zieleni, szyszek i igliwia?

Pięć, sześć, siedem. Tak samo pachniało na tamtej randce, gdy pojechaliśmy rowerami do Puszczy Kampinoskiej, pamiętasz? Wiatr plątał ci włosy, owady rozbijały się nam o przedramiona, a ja już wiedziałem, że chcę, byś była dla mnie kimś więcej niż koleżanką. Nie miałem tylko odwagi, by ci to powiedzieć.

Na szczęście ty miałaś. Na tyle, żeby mnie pocałować.

Dziewiętnaście, dwadzieścia. Kula zgrzyta o kamienny stopień aż przechodzą mnie ciarki. To dopiero dwadzieścia schodów, a czuję się, jakbym przebiegł maraton. Patrząc na stopnie z okrągłych kamieni, siwych jak popiół albo rdzawych jak glina: jedne są wielkie jak zaciśnięta pięść, inne małe jak rączka dziecka. Po takich schodach szliśmy

na nasz ślub w małym kościółku tam, skąd pochodziłaś, a później, stojąc na nierównych stopniach, przyjmowaliśmy prezenty i życzenia. Gdyby choć część z nich mogła się spełnić. Gdyby chociaż jedno. Zaczynam dłoń na uchwycie aż do zbielenia knykciów, ale nie daję rady. Potykam się i nie mija chwila, a kula uderza o ziemię, a ja tkwię na nagrzanych słońcem kamieniach. Na początku nie czuję bólu. Nawet nie zauważam rany, dopiero gdy ktoś pyta, czy wszystko w porządku, zerkam na kolano. (W porządku? Nic nie będzie już w porządku!). Nie przestaje płynąć z niego krew.

– Dzięki. Wszystko gra – zmuszam się do uśmiechu (kiedy ostatni raz się uśmiechałem?) i robię prowizoryczny opatrunek. Ten ból nawet nie jest bólem. Ten ból jest niczym przy tym, co chwyta mnie za gardło każdego ranka, gdy szukam cię na pustej stronie łóżka.

Przez kolejne pięćdziesiąt stopni robię co się da, by utrzymać równowagę, a jednak znowu się potykam. Mówią, że Jezus upadał trzy razy. Ile razy ja upadnę? I ile razy trzeba upaść, by nie mieć siły już wstać? Mobilizuję siły, skupiam myśli. To bardziej siła umysłu niż mięśni, gdy dźwigam się po raz drugi. Nie chcę pomocy. To mój rachunek sumienia i muszę zrobić go sam. To moja droga, i sam muszę odbyć ją do końca. Moja podróż, której, gdybyś żyła, pewnie nigdy bym nie przeżywał i moja pielgrzymka, gdy dawno nie jestem wierzący. Sto dziewięć, sto dziesięć. Uspokajam oddech. Serce wali tak mocno, że słyszę w uszach własne tętno. Z każdym krokiem dociera do mnie, że to nie tylko droga na szczyt, na Grabarkę i do cerkwi. To chyba, a może przede wszystkim, droga w głąb siebie. I kto wie, może będę tak szedł w nieskończoność jak Pielgrzym, którego oglądaliśmy w czasie wycieczki na Święty Krzyż. Kamienna rzeźba u podnóża wzgórza, gdzie wszyscy zaczynają wędrówkę, a jednak ona nigdy nie może zacząć, nieruchoma w deszczu, śniegu, słońcu, choć jeśli wierzyć legendom, co rok przesuwana jest o ziarnko piasku. Nie mniej, nie więcej. A kiedy dotrze na szczyt, nastąpi koniec świata. Nie miałem wtedy pojęcia, że mój świat skończy się jeszcze szybciej. Byłaś zachwycona tą opowieścią, podczas gdy ja miałem mieszane uczucia. Ta wspinaczka, rozciągnięta w czasie, wydawała mi się straszna, a jeszcze straszniejszy miał być jej finał, bo wraz z podróżą Pielgrzyma miał skończyć się nie tylko jego trud, ale miało skończyć się wszystko. Przypominało mi to jakąś mityczną karę jak u Syzyfa, toczącego głaz albo Prometeusza, przykutego do skały. Teraz dotarło do mnie, że to nie długość podróży ani jej trud przerażały mnie najmocniej. Najbardziej współczułem Pielgrzymowi, bo był sam. Przez wieki, epoki, pory dnia i pory roku zawsze sam. A kiedy jest się samemu, czas płynie inaczej. Musiałem cię stracić, żeby to zrozumieć.

Sto trzydzieści jeden, sto trzydzieści dwa. Idę, stoję, znowu idę. Bombarduje mnie światło, sączące się przez gałęzie sosen. Boli każdy mięsień. Po stokroć mam ochotę zawrócić i tyle samo razy czuję, że muszę iść. Muszę wspinać się dalej. Trochę tak jak w życiu, z którego nie można ot tak sobie wyjść, choćby nie było nie wiem jak trudne.

Sto trzydzieści osiem, sto trzydzieści dziewięć. Za zieloną ścianą lasu, gdzieś na szosie ze Sławatycz, ryczą silniki. Gdyby nie ten dźwięk to chyba uwierzyłbym, że jestem na końcu świata. Samochody przyspieszają, trąbią, w szalonym pędzie mkną z Podlasia i w przeciwnym kierunku. Rozumiem ich. Kiedyś byłem taki sam. Pędziłem z domu do pracy, ze zlecenia na zlecenie, wracając tak późno, że jedyne, co mi zostawało, to przykryć się kocem i spróbować zimnej już kolacji. Nawet jej nie odgrzewałem. Zresztą i tak jadłem na mieście, a rano... Właściwie tylko mijaliśmy się w drzwiach: ja już w garniturze i z teczką w dłoni, ty z szopą nieuczesanych jeszcze włosów, idąca za zapachem kawy jak lunatyk. A ja jak zwykle nie miałem ani minuty, żeby zostać z tobą dłużej. Cholernie mi teraz żal tych minut, wiesz? Ciebie mi żal: wyglądającej w oknie, czekającej do późna. I siebie mi żal: głupca, który wpadł w błędne koło, goniąc za czymś, co wcale nie było mu niezbędne. Pieniądze? I po co mi teraz one? Po co mi kwoty na koncie, gdy nie możemy razem zdecydować, na co je wydać? A ty... To ty byłaś dla mnie jak tlen. Nic dziwnego, że teraz się duszę. I w tym upale, i bez ciebie. Słusznie nazywają Grabarkę Górą Pokutników. Ja też muszę odpokutować czas, który zmarnowałem. Każdy wieczór, w który się mnie nie doczekałaś, każdą kolację, którą musiałaś zjeść beze mnie. A mnie wciąż brakowało czasu.

Teraz mam go aż nadto, ale nie mam ciebie.

Sto czterdzieści dziewięć, sto pięćdziesiąt. Pot płynie mi po plecach, czuję jak ścieka ze skroni. Coraz więcej kropli spływa wzdłuż kręgosłupa. Zmęczenie miesza się z bólem, od upału kręci mi się w głowie, a to pierwsze, co czuję od twojej śmierci. Do tej pory nie czułem nic, tylko ten tępy, nieprzemijający ból. Sosny poruszają się na wietrze, ich pnie są niepokojąco czerwone, ogniste, jakby cały las stanął w płomieniach. Spośród nich wyrastają krzyże. Rozglądam się: jest ich coraz więcej, osaczają mnie, cały las krzyży w tym sosnowym. Jedne są wysokie na dwa, trzy metry, inne niskie. Jedne sprzed trzech dekad, inne zaledwie sprzed paru dni; inne tak stare, że deszcz zmył z nich daty i słowa, próchniejące i szerniałe, obrosłe mchem, coraz bliższe ziemi, w którą, gdy upadną, wtopią się zupełnie jak kolejne suche gałęzie, jak zwykły element runa. Polskie, litewskie i białoruskie słowa mieszają się, ktoś wyrzył coś w cyrylicy, ktoś w starocerkiewnym, a ktoś jeszcze w języku, którego w ogóle nie potrafię zrozumieć. Prośby, podziękowania, pamiątki z pielgrzymek, tak samo od katolików, jak i prawosławnych. Wieża Babel dwudziestego pierwszego wieku, a wszystko w jednym celu: by to na nich Bóg zwrócił uwagę. By Gospodin wysłuchał ich jako pierwszych. Patrzą na dziesiątki, setki, tysiące krzyży i nie mogą nie myśleć o tych, którzy od trzystu lat przychodzili tu przede mną. I kiedyś też będą przychodzić. Nie jestem sam: jestem ogniwem w żywym, niekończącym się łańcuchu tych, którzy pieli się na to wzgórze od lat, najpierw wierząc, że uchronią się tu od zarazy, a później, że z sosnowego wzgórza na Podlasiu rzeczywiście bliżej jest do Boga. Ale nie mogą nie myśleć też o innym krzyżu z jasnego drewna, który grabarze wetknęli

nad twoim grobem. Miał tam stanąć pomnik, w końcu sam zatwierdzałem projekt, ale nie widziałem go jeszcze. Nie byłem tam od twojego pogrzebu, zresztą wtedy, otumaniony lekami przeciwbólowymi i psychotropami, znalazłem się tam jedynie ciałem. Duchem byłem z tobą, na sekundy przed wypadkiem, w samochodzie, gdzie pachniało twoimi perfumami i gdzie śpiewałaś z Sanah – aż do zachrypnięcia, aż do znudzenia, aż zagroziłem, że wyłączę radio. Dla mnie byłaś tam. W aucie, nad morzem, znad którego wracaliśmy, w naszym mieszkaniu, do którego mieliśmy dotrzeć. Wszędzie – ale nie na cmentarzu. Teraz też cię tam nie ma, prawda? Twoje życie nie mogło się zmieścić w ciasnej trumnie tak jak tego, kim byłaś, nie dało się streścić w datach życia na nagrobnej tabliczce. Bo jak tak w ogóle można? Jak można upchnąć człowieka z jego planami i marzeniami w niewielkim, drewnianym pudle? To tak jak próbować zmieścić kilka lat życia w jednej walizce. Wiesz, bo próbowałaś. To było niecały rok po naszym ślubie. Powietrze w mieszkaniu wydawało się naelektryzowane jak przed burzą, chociaż prawdziwa burza właśnie się przetoczyła. Cisza, która nastąpiła niespodziewanie po krzykach, trzaskaniu drzwiami i nerwowej tupaninie, niemal raniła w uszy. W tej ciszy słyszałem każdy twój ruch: trzask suwaka, zgrzyt klamki, wreszcie uderzenie drzwi we framugę, gdy wybiegłaś na schody. Kiedy cię dogoniłem, byłaś już w połowie drogi na przystanek, a oczy wciąż lśniły ci po kłótni. To był piękny dzień, a jednak one ciskały pioruny. Nie umiałaś mi wybaczyć.

I w tamtej chwili ja też nie wybaczyłem sobie, że doprowadziłem do pierwszej kłótni.

– Przepraszam.

Pokręciłaś głową, aż brzęknęły kolczyki w twoich uszach.

– Nie sądziłam, że taki jesteś.

– Bo nie jestem – zapewniłem, chwytając cię za rękę. – Ale myślałem, że jeszcze mamy czas. Że będę miał cię tylko dla siebie. Boję się, że teraz... wszystko się zmieni.

– Bo zmieni – nie odwzajemniałaś mojego uścisku, ale i nie puszczałaś mojej dłoni.

– Ale nie bój się. Nie masz powodów. Przecież mnie nie stracisz.

– Obiecujesz?

– A czy ja cię kiedyś okłamałam.

Dwieście pięć, dwieście sześć. A jednak okłamałaś, myślę. W ustach gorzki smak wyrzutu miesza się ze słonawym posmakiem potu. To już prawie koniec, prawie szczyt. Nie wyzdrowiałem nagle, nie doświadczyłem cudu. Widać dwieście stopni to za mało, by zmienić ludzkie serce. Nie jestem jak postaci z hagiografii, które święci potrafili wskrzesić, jak ten człowiek, którego biskup Stanisław przywrócił do życia. Ja wciąż czuję się martwy. Pusty, rozbity i zagubiony. Dwieście dziewiętnaście, dwieście dwadzieścia. Już widzę zarys cerkwi, już prawie czuję zapach modrzewiowych belek i woskowych świec, długich

i cienkich jak palce, które ludzie zapalają w różnych intencjach, a których ja nie zapalę, bo odkąd cię nie ma, ja nie mam już próśb ani życzeń.

Dwieście dwadzieścia dziewięć. Dwieście trzydzieści. Koniec.

Kiedy jestem na górze nie czuję nic, nawet satysfakcji. Ostrożnie stawiam stopy jak żeglarz, który pierwszy raz staje na nieznanym łądzie i zastanawiam się, co powinienem teraz zrobić. Co tacy jak ja robią na świętych górach? Co mówią Bogu, w którego nie wierzą? Przygryzam wargi i zerkam to na dół, to na górę, mój wzrok prześlizguje się między parkingiem i cerkwią, alfą i omegą, początkiem i końcem, gdy słyszę:

– Tato, tak długo szedłeś. Już nie mogłam się doczekać!

Patrzę w twoje oczy. Są dokładnie takie, jak zapamiętałem: brązowe jak kawa, gorzka czekolada, kora drzewa. Patrzą na mnie z powagą z siedmioletniej twarzy-czki, podczas gdy ręce chwytają moją dłoń i prowadzą. W chłód cerkwi, którego tak potrzebowałem. W kierunku Boga, którego przestałem potrzebować.

A przynajmniej tak sobie wmówiłem, tak samo jak wmawiałem sobie, że się nie nadaję na ojca, aż spakowałaś walizkę i chciałaś odejść. To była nasza jedyna prawdziwa kłótnia. Po niej nie kłóciliśmy się więcej, przynajmniej nie na serio. Po niej dotarło do mnie, że nie jestem nieomylny, a dzień, gdy wziąłem na ręce naszą córkę, jeszcze mnie w tym utwierdził. Może więc i teraz, sądząc, że wszystko, co dobre, skończyło się z tobą, nie miałem racji? Może ty ją miałaś mówiąc, że nigdy mnie nie stracisz?

Drzwi cerkwi stoją otworem. Twoje oczy nie przestają się we mnie wpatrywać. Czy ty to widzisz? Czy wiesz, że twoja córka odziedziczyła po tobie więcej, niż się spodziewałem, a zarazem dostała upór po mnie, gdy nie przestaje ciągnąć mnie za rękę.

– Idziemy, tato? No chodźmy już!

Ile uwagi poświęcałem jej po twoim odejściu? Czy w ogóle ją zauważałem, kiedy smutek przysłaniał mi wszystko, myślę, zapalając dwie świece: za nią i za ciebie. Nie wiem, co lubi robić ani jak mają na imię jej koleżanki. Naprawdę nie wiem. Gdybym tak mógł cofnąć czas... Ale mogę chociaż cofnąć się schodami w dół, do początku tej drogi. Jeden. Zaciskam palce na uchwycie kuli i ruszamy w dół. Cztery, pięć, sześć. Mam dużo czasu, żeby to nadrobić, żeby chociaż spróbować się do niej zbliżyć. Ponad dwieście stromych schodów, a dokładnie... wszystkie stopnie Grabarki.

PROLOG

Niezliczone ilości płatków śniegu spadały bez wytchnienia, wirując w bezmiarze lodowatego powietrza. Niepowtarzalne i jedyne w swoim rodzaju drobinki śnieżnego puchu osiadały na grubych zlodowaciałych warstwach pierzyny, zlewając się z nią w ogromną bezkształtną masę, którą następnie rozbijały ciężkie kroki strażników. Niemieckie wojskowe mundury okrywały dokładnie żołnierzy, którzy mimo, że trzęśli się z zimna, pilnowali cały czas tysiący więźniów. Tam po drugiej stronie zasieków i kilku warstw płotu, starannie splecionego z drutu kolczastego, stali oni. Ściśnięci jak najmocniej, by wzajemnie się ogrzać. Cała rzesza zmarzniętych ciał, o ledwie bijących sercach, stała czekając na komendę. Wszystkie opadające z sił osoby szczękały zębami z zimna. Niezliczone ilości przesywanych dreszczami więźniów owiniętych w pasiaki stało na mrozie ze spuszczonym wzrokiem. Na pierwszy rzut oka, wszyscy byli jednakowi, przemarznięci, wyglądiali i w identycznych łachmanach. Byli jak na pozór identyczne płatki śniegu, różniące się jedynie historią zawartą w ich bliznach, zmarszczkach i wspomnieniach. W tej dygocącej z zimna zaspie śniegu, zbitej z owiniętych w pasiaki płatków był jeden, który nie myślał o ratunku dla siebie. Był to Pielgrzym – obozowy kapelan, równie zmarznięty i głodny co reszta, lecz bardziej do tego przyzwyczajony. Swoje pseudonim zawdzięczał licznym pielgrzymkom, które odbył przed wojną oraz pobytem w wielu obozach śmierci takich jak ten. Pielgrzym czuł, że zbliża się wymarsz – początek nowej pielgrzymki, być może i jego ostatniej. Prosił Boga o zbawienie zarówno dla swoich współwięźniów jak i oprawców. Z modlitwy wyrwał go dziecięcy głos, który usłyszał za plecami

– Mamo jestem głodna – jęk niespiesznie wypęłała z ust małej dziewczynki przytulonej do nogi jakiejś kobiety. Kiedyś była to Weronika, teraz nazywała się 45849. Oprócz dziewczynki przytuleni do kobiety stali jeszcze dwaj chłopcy. Pielgrzym wiedział już co powinien zrobić ze swoją racją żywnościową. Myśląc o tym, nie odrywał wzroku od czwórki przepasanych pasiakami płatków śniegu, które dla SS-manów różniły się jedynie numerem...

STACJA 1

Papieros przyciśnięty do dna popielniczki wydał z siebie cichy dźwięk, który ze zgrzytem wydobył się z głośników umieszczonych w strefie obozu.

– Ustawić się w rzędach po pięć, odebrać racje żywnościowe i wymarsz! – trzeszczały obozowe głośniki. Cała zmarznięta i pokryta prószącym wciąż śniegiem zaspas ruszyła w kierunku bramy do piekła na ziemi, przez którą jakiś czas temu ich wprowadzono. Istna lawina białego puchu spadła z ponumerowanych płatków śniegu w pasiakach, które brnęły przed siebie w nadziei na ratunek. W tym momencie ratunkiem dla nich była jedynie połówka bochenka chleba, którą otrzymywali po przekroczeniu bramy. Kolumny „żywych trupów” przesuwwały się powoli, łąpczywie wbijając zęby w zamrznięte bochenki chleba. Pielgrzym odebrał swój i od razu odwrócił się w stronę Weroniki z córeczką na rękach i dwójką wygłodniałych chłopców u jej boku.

– To dla ciebie – rzekł Pielgrzym i wcisnął dziewczynce do rąk całą swoją część bochenka.

– Co to ma być! – krzyknął jeden z SS-manów i zaczął zbliżać się do Pielgrzyma.
– Miłosierny będzie się dzielił chlebem! – nie ustawał strażnik. Odebrał dziewczynce obie połówki chleba, a Pielgrzyma złapał za kark i zabrał na bok...

STACJA 2

Już znaczna część więźniów opuściła teren obozu i nieświadoma dokąd zmierzła, brnęła przez śnieżne zasy. Jako ostatni bramę przekroczył skulony Pielgrzym z obwiązany wokół głowy drutem kolczastym, który przypominał koronę cierniową. Zadawoleni z siebie SS-mani popychali go kolbami karabinów i krzyczeli, by się nie zatrzymywał. Krew mieszała się ze łzami na twarzy obozowego kapelana, a następnie zamarzała, tworząc drobne sople. Nagle Pielgrzym ujrzał jak po jego prawej stronie idzie dziewczynka, której podarował chleb. Szła sama, oddzielona od matki i braci. Widać było, że z każdym krokiem coraz bardziej brakowało jej sił. Nagle upadła, zagłębiając się w przytulnej śnieżnej pierzynie. Najbliższy SS-mam już przyłożył lufę pistoletu do jej głowy i miał zamiar oddać strzał, gdy Pielgrzym przemówił:

– Nie rób tego! Ja ją poniosę, tylko nie strzelaj.

– Dobrze – roześmiał się strażnik. – Nie przejdiesz z nią na rękach nawet stu metrów, ale z chęcią na to popatrzę – zakończył posepnie żołnierz, a Pielgrzym zbliżył się do osłabionej dziewczynki i wziął ją na swe ramiona. Niósł ją, zmarznięty i głodny, ocierając twarz z krwi ciekącej z czoła...

STACJA 3

Pielgrzym szedł równo z pozostałymi skazańcami w szeregu, gdy nagle usłyszał za sobą krzyk

– Raus! Raus! Jeśli chcesz być taki miłosierny to masz iść jako pierwszy!

– Nie mogę... – wysapał mężczyzna, a na te słowa SS-man przyłożył pistolet do skroni dziewczynki.

– Mogę Ci w takim razie pomóc – wycedził przez zęby żołnierz, a Pielgrzym tylko pokręcił głową i przyspieszył. Mijał idące posępnie szpalery więźniów, kurczowo trzymając wątłe ciało dziewczynki. Nagle upadł i poczuł przeszywający ból w plecach. Gdy się obrócił ujrzał za sobą komendanta obozu, który właśnie uderzył go w plecy kolbą karabinu. Mężczyzna roześmiał się, a jego okrutni podwładni zaczęli ponownie pospieszać Pielgrzymem...

STACJA 4

Pielgrzym podniósł się z zasy śniegu i zmierzał na czoło kolumny patrząc co jakiś czas na dziewczynkę, na której twarz powolnie skapywała jego krew sącząca się z rany. Wycieńczony mężczyzna, który już od kilku dni nie miał niczego w ustach ponownie zwolnił kroku.

– Nie zatrzymuj się. Proszę – usłyszał cichy głos niesiony przez podmuch wiatru. Pielgrzym podniósł wzrok i ujrzał przed sobą starszą kobiecinę o siwych włosach schowanych pod chustą. Staruszka szła przed nim o lasce i wciąż powtarzała:

– Nie zatrzymuj się. Proszę. Idź dalej i pokaż im, że nie dadzą rady cię złamać – kobieta chwyciła chustę i powolnym ruchem ręki zsunęła ją z głowy, obnażając ogromną ranę. W czaszce kobiety zionęła dziura po strzale w tył głowy, z której sączyła się krew. Pielgrzym przesyłał dreszcze, a staruszka wciąż szeptała:

– Nie zatrzymuj się. Proszę synku. Zrób to dla mnie.

Pielgrzym przyspieszył kroku i gdy już zbliżył się do staruszki, ta rozplynęła się i odleciała wraz z wiatrem, który ją tu przyprowadził. Do oczu mężczyzny ponownie napłynęły łzy. Przypomniawszy sobie, jak na początku wojny Niemcy dokonali egzekucji na mieszkańcach jego rodzinnego miasteczka. Jedynym który przeżył ową rzeź był właśnie on...

STACJA 5

– On miał iść na czele, a nie z boku – powiedział komendant obozu do jednego z żołnierzy.

– Ale on nigdy nie wyprzedzi wszystkich więźniów z tym dzieckiem na rękach – odparł SS-man.

– To niech jakiś więzień mu pomoże – słowa wraz z kłębami pary wypłynęły z ust komendanta. Wybrał jednego dobrze zbudowanego więźnia i kazał mu pomóc Pielgrzymowi. Wycieńczony Pielgrzym powiedział, że nie odda nikomu dziewczynki, więc więzień wsparł mężczyznę i razem przyspieszyli kroku. Mijali szeregi, które nie zawsze składały się z pięciu więźniów. Nieraz mijali płatki śniegu wlokące się dwójkami, czy trójkami. Wszyscy byli równie wycieńczeni i z każdym następnym krokiem opadali coraz bardziej z sił. Każdy z nich miał jeszcze resztki nadziei. Ci którym jej zabrakło zatrzymywali się, upadali na skutą lodem drogę, albo próbując ucieczki kończyli w rowie pod cieniutką warstwą śnieżnej pierzyny, która otulała ich ciała do błogiego, nieprzerwanego snu.

STACJA 6

Pielgrzym wsparty na ramionach więźnia powłócząc nogami, szedł na wprost. Zbliżał się już do początkowych szeregów, gdy nagle usłyszał krzyk. – Moja córeczka, żyje! Ona żyje! – krzyczała kobieta, która wybiegła właśnie spośród posępnie przesuwających się szeregów. Była to Weronika, przypadła do swej córki i Pielgrzyma. – Dziękuję Ci! Tak bardzo Ci dziękuję – powtarzała kobieta głaszcząc dziewczynkę po policzkach palcami przypominającymi sople lodu. – Nie możemy się zatrzymywać. Musimy iść dalej – powiedział Pielgrzym, a jego słowa tańczyły po kłębach pary w rytm szczękających z zimna zębów. Weronika spojrzała na mężczyznę i oderwała fragment pasiaka z nogawki. Następnie wytarła twarz Pielgrzyma, a zbyt cienki materiał przesiąkł krwią i łzami wycieńzonego więźnia.

– Dziękuję Ci, ale musimy iść dalej. Nie możemy dać się im złamać – powtarzał bezsilnie Pielgrzym.

– Szybciej! Zaraz będziemy przechodzić przez wieś, a ty masz jako przestroga dla ludzi iść na czele tego pochodu – uszy więźniów przeszył krzyk SS-mana, który następnie zbliżył się do Weroniki z bronią w ręku. – Wracaj do szeregu, bo będę strzelał! – nie ustawał żołnierz.

– Nie mogę, tam jest moja córka – westchnęła roztrzęsiona kobieta, a SS-man położył palec na spust.

– Wracaj do szeregu, czy tą dwójkę też mam zastrzelić? – wycedził przez zęby wskazując na dwójkę chłopców idących obok kobiety...

STACJA 7

Rozległy się trzy strzały. Pielgrzym dotarł już do pierwszej piątki zaczynającej ten makabryczny pochód śmierci. Wyrzedził ich i szedł torując drogę swym współwięźniom. Zobaczył jak po obu stronach drogi gromadzą się ludzie, którzy trzymali w rękach jedzenie, koce oraz kamienie.

– Będą mogli nakarmić i ogrzać tą małą dziewczynkę – szeptał sam do siebie Pielgrzym. – Tylko po co im te kamienie? Może to nie są kamienie? Nie wiem już sam – powtarzał mężczyzna, a obraz przed nim coraz bardziej się rozmywał. Powoli dźwięki też zaczynały się zniekształcać, aż w końcu docierały do niego tylko strzępki krzyków.

– Rzucają w nas kamieniami – krzyczeli SS-mani.

– Mordercy! – grupka ludzi krzyczała, a ich słowa leciały wyrzucone w powietrze jak kamienie, którymi celowali w niemieckich żołnierzy. Następnie zlodowaciałe powietrze przeszło kilka strzałów, krzyków oraz ciała głucho upadające na śnieg.

– Tu robimy chwilę przerwy! Niech to było odpocznie! – zakomenderował jeden z żołnierzy. Szeregi więźniów zaczęły się zatrzymywać, a Pielgrzym szedł dalej powtarzając pod nosem

– Nie zatrzymam się. Nie dam się złamać. Obiecuję... – powtarzał tak, póki jeden zbłąkany kamień nie trafił Pielgrzyma w kolano. Więzień upadł, a krew z rany bryznęła na kupkę udeptanego śniegu...

STACJA 8

Gdy Pielgrzym się ocknął ujrzał płaczące nad nim i małą dziewczynką kobiety z okolicznej wsi. Mała śnieżynka w pasiaku jadła chleb i łapczywie popijała go wodą. Jedna z kobiet chciała dać mu jedzenie, lecz odmówił i powiedział, żeby dała innym, którzy bardziej tego potrzebują. Więzień zaczął się rozglądać za tymi wygłodniałymi, wymęczonymi i ponumerowanymi płatkami śniegu. Kobiety martwiły się o Pielgrzyma, ale on pocieszył je i podniósł się ze ścieżki, widząc przed sobą cały pochód migoczący zakrwawionymi i brudnymi pasiakami.

– No ruszaj się! – krzyknęła dwójka SS-manów, który czekali na dwa ostatnie żywe numerki, mające dołączyć do oddalającego się marszu.

– Prosimy dajcie im tu zostać – powiedziała jedna z kobiet.

– Dobrze, ale w takim razie muszą zostać tu na zawsze – wycedził żołnierz i odbezpieczył karabin.

– Nie! Nie! My musimy iść! Nie damy się złamać – powiedział Pielgrzym i wziął dziewczynkę na ramiona. – Nie możemy się zatrzymać. Musimy iść – powtarzał bez namysłu jak mantrę, która miała zostać z nim już do końca jego dni i do końca tej ostatniej pielgrzymki...

STACJA 9

Każdy kolejny krok zdawał się być coraz cięższy. Przeszkłone oczy Pielgrzyma wpatrywały się to w dziewczynkę, to w przydrożny rów, z którego co jakiś czas wystawały wychudzone nogi lub ręce, z których bezwładnie zwisały pasiaki powiewające na wietrze. Nagle cały świat zmienił barwę na czarną, potem na białą, a następnie na czerwoną. Osłabiony Pielgrzym stracił na chwilę przytomność. Ocknął się dopiero po kontakcie z lodowatą zaspą śnieżnych owoców zimy. Nie podnosząc się zaczął kaszleć, wypluwając na śnieg słowa wraz z krwią.

– Musisz iść. Nie możesz się zatrzymać. Oni nie mogą cię złamać – szeptał Pielgrzym. – Widzisz tą ścieżynkę między drzewami? Musisz tam iść. Iść i nie zatrzymywać się – nie przestawał więc i z każdym kolejnym słowem na śniegu przybywało krwi.

– Tak widzę – odparła przerażona dziewczynka.

– Więc biegnij moja mała Śnieżynko – zakończył i podniósł się, po czym błagalnie spojrział na ostatniego esesmana, który z nim został. Żołnierz kiwnął potakująco głową, a dziewczynka na ten znak pobiegła między drzewami. Mały pasiak powoli zmniejszał się, aż w końcu zupełnie zniknął między drzewami. Pielgrzym ruszył przed siebie patrząc teraz tylko na posępne mury szkoły SS w Lęborku, która wylaniała się zza drzew górując nad tysiącami więźniów zmierzających w jej kierunku. Dobrze, że dzięki poświęceniu dawnego kapelana obozu, do tego straszego miejsca zbliżało się o choć jeden żywy płatek śniegu mniej...

STACJA 10

Pielgrzym wraz z jedynym łaskawym SS-manem zostali znacznie w tyle, ale zbliżali się już do całej reszty więźniów, którzy w większości stali na śniegu bez ubrań. Za trzęsącymi się z zimna wychudzonymi ciałami piętrzyła się góra usypana z brudnych pasiaków, które SS-mani ciągle zrywali z więźniów i rzucali na ogromny stos. Oczy Pielgrzyma jeszcze chwilę temu pełne nadziei straciły całkowicie blask, gdy spoczęły na ogromnych dołach wykopanych nieopodal. Obrazy i dźwięki zaczęły ponownie się

zniekształcać, a do oczu Pielgrzyma napłynęły łzy. Mężczyzna zbliżył się do najbliższego żołnierza i zlodowaciałymi palcami odpiął guziki pasiaka. Gdy został już obdarty z więziennych szat, nie czekając na rozkaz postanowił pójść w stronę ogromnego dołu...

STACJA 11

Wiedział, że to właśnie tu skończy swoją ostatnią pielgrzymkę. Pogodził się już z tym i właśnie dlatego każdy kolejny krok mimo, że okupiony coraz to większym cierpieniem był dla niego lżejszy. Brakowało mu sił by iść, więc zbliżył się do murów szkoły SS. Wsparł się tam i stał bez ruchu czekając aż usłyszy echo setek kroków, lub niemieckie okrzyki. Lecz usłyszał coś zupełnie innego...

STACJA 12

– Gdzie jest ta dziewczynka? – spytał znajomy Pielgrzymowi głos.
– A Śnieżynka... Śnieżynka odleciała i obiecała mi, że się nie zatrzyma i nigdy nie da się złamać... komendancie... - westchnął Pielgrzym i gdy spojrział w bok ujrzał swoją matkę stojącą przy murze.
– Wiedziałam, że dasz radę synku – staruszka pokiwała siwą głową. Komendant również skinął głową i zaraz po tym rozbrzmiał jeden głośny strzał, który przyniósł Pielgrzymowi ukojenie...

STACJA 13

– Weźcie go stąd – powiedział komendant i oddalił się od miejsca kończącego ostatnią drogę tego wielkiego człowieka. Płatki śniegu obdarły już nawet z numerów podniosły wątłe ciało Pielgrzyma, który stał teraz z boku wtulony w pierś matki, która kołysała go do snu...

STACJA 14

Współwięźniowie położyli ciało męczennika na skraju dołu, a następnie każdy z nich otrzymał po jednym strzale. Zwłoki Pielgrzyma zsunęły się do wyrwy, która miała stać się miejscem jego wiecznego spoczynku. W masowym grobie przybywało ciał, które piętrzyły się jak pasiaki usypywane w coraz to większą górę. Wśród wszystkich martwych był tylko jeden z koroną z drutu kolczastego zdobijącą skronie... Ale nie on jeden miał do opowiedzenia swoją własną historię...

EPILOG

Gdy Pielgrzym już się uspokoił i wyswobodził z objęć matki zobaczył Weronikę, która stała zalana łzami

– Dziękuję Ci – wyszeptała i rozplynęła się w powietrzu.

– Mamo? A ty nie znikniesz? – spytał Pielgrzym.

– Nie synku. Ja tu przyszłam po Ciebie – odparła staruszka. A gdy tylko wypowiedziała te słowa między drzewami zaczęły pojawiać się stopnie, tworząc schody stworzone ze światła. Kobieta uniosła się i pokonała kilka stopni.

– Mamo, a co tam na nas czeka? – spytał Pielgrzym.

– To ty mi powiedz... Przecież to właśnie temu poświęciłeś całe swoje życie – uśmiechnęła się staruszka i wraz z synem rozplynęła się między ośnieżonymi koronami drzew...

ZEGARMISTRZ

Wiatr dość ponuro szemrał w zamykających się nad nami koronach drzew, ponad którymi czerniała już brudna, krakowska noc. Planty. Ona i ja. Niewiele rozmawialiśmy. Ani nasze dłonie, ani spojrzenia się nie stykały. Pomiedzy nami, panowała półśłówkowa niezręczność. Miałem szczerą nadzieję, że alkohol w barze, do którego zmierzaliśmy rozwiąże nam języki. Liczyłem kroki, liczyłem oddechy i niedopałki papierosów rzucone na asfalt, gdy nagle ona powiedziała:

– Patrz, jaki...

Powiodłem wzrokiem w miejsce, które wskazała. W świetle latarni, na skraju ławki siedział bezdomny. Był to dość przysadzisty jegomość z białozółtą od papierosów brodą, która dostojnie spoczywała na stylowym, choć koszmarnie brudnym sweterku w romby. Włosy wypływały spod równie stylowego i równie brudnego kaszkietu. Mężczyzna z zaciekawioną miną przyglądał się przechodniom. Cały jego dobytek spoczywał na towarowym wózku przykryty niebieską plandeką ściśniętą gumami do mocowania bagażu. Ze szczytu plandeki skrzeczało małe radyjko.

– Kraków – powiedziała – tutaj nawet bezdomni wyglądają jak cholerna pocztówka.

Przesadzała... i jednocześnie miała rację. Mężczyzna siedzący na ławce naprawdę wyglądał jak pocztówka, albo jak postać, której zapomniał napisać Schulz. Mityczna postać ojca, stary cadyk, który czeka na swoich chasydów... menel muśnięty przez mit.

Im mniej kroków dzieliło nas od tego człowieka, tym skrzeczenie jego małego radyjka stawało się wyraźniejsze. Z szumów wyłonił się rytm, mogłem też zrozumieć pojedyncze słowa. Zwolniliśmy.

– Woźniak – powiedziałem do niej.

– Co? – spytała.

– Tadeusz Woźniak – odparłem wskazując skinieniem na radyjko – Zegarmistrz światła purpurowy.

Zawsze tak robiłem – gdy tylko moje ucho wychwytiło w powietrzu melodię, próbowałem rozpoznać ją za wszelką cenę, a kiedy to się udawało, nie mogłem nie wypowiedzieć tytułu na głos. Ale skąd ona mogła o tym wiedzieć? Umówiliśmy się przez portal randkowy, a z kilku wymienionych między nami wiadomości, trudno ułożyć całego człowieka. Byliśmy dla siebie przypadkowi. Spotkaliśmy się przed chwilą. Na chwilę. Na szczęście uśmiechnęła się i przytaknęła, a ja poczułem pierwsze tego wieczoru ukłucie ciepła. – Może nie będzie katastrofy – pomyślałem.

Wozniak w tym czasie śpiewał, że chce na wszystko jeszcze raz popatrzeć i pójść w na zawsze do miejsca, które nazywał „Niewiemgdzie”. Ładne. Uśmiechnąłem się – trochę do melodii, trochę do siebie, a trochę do niej. Pierwsza nić porozumienia. Jej uśmiech splótł się z moim, spojrzenia wreszcie się musnęły...

– Trzeba być w moim wieku, żeby ze spokojem jeszcze raz na wszystko popatrzeć – chrapliwy głos wbił się klinem między nas.

Mężczyzna z ławki patrzył niby dookoła, niby nigdzie, ale przede wszystkim – na mnie i na nią. Nie mówił w przestrzeń, mówił do nas. Słowa wbiły się jak haczyk w moje podniebienie i niewidzialna żyłka zaczęła ściągać mnie w stronę malowniczego kloszarda. Przysiadłem obok niego, a ona – obok mnie. Spojrzeliśmy na siebie nie bardzo rozumiejąc, dlaczego w ogóle to zrobiliśmy. Druga nić porozumienia.

Mężczyzna dalej błędził wzrokiem po wieczornych Plantach. Mruczał coś pod nosem, wiercił się i uśmiechał. Zastanawiało mnie, czy jest w jakimś innym świecie, czy po prostu podśpiewuje sobie trzeszczącą z radia piosenkę.

Zastanawiało mnie też, po co w ogóle usiadłem na ławce obok niego i czy ona nie uważa mnie teraz za kretyna. Ale przecież usiadła obok, więc może też poczuła tę absurdalną potrzebę znalezienia się tuż obok mężczyzny. A może to był po prostu głupi kaprys, z którego najrozsądniej było się wycofać? Niestety, to akurat było najbardziej niezręczne. I chyba nie do mnie należała decyzja. Byłem zakleszczony. Przede mną stał wózek obciążony niebieską plandeką, po lewej siedział on, po prawej ona.

Tuż obok ktoś śmignął na elektrycznej hulajnodze, przejechał rower, ktoś się zaśmiał. Mężczyzna zaczął mówić. Nie rozmawiał z nami, po prostu mówił i chciał być słuchany. A może potrzebował nas tylko po to, żeby mieć pretekst do mówienia – nieważne, czy słuchaliśmy go, czy nie?

Mówił dość płynnie i jednocześnie – dość nieskładnie. Pomyślałem, że przypomina trochę kajakarza górskiego: niby pędzi w dół rzeki, ale prąd czasem znosi go na jakąś skałę, którą on musi wyminąć, wkładając w to całą siłę swoich mięśni. Gubi się na chwilę i z wysiłkiem wiosłuje w stronę poprzedniej myśli, z powrotem w nurt. Mówił na przykład o swojej pracy z młodzieżą w jakiejś prowincjonalnej szkole, gdy nagle przypomniał mu się syn. Wkładał więc wiosło w wodę, odwracał kajak swoich myśli

w jego stronę, spinając wszystkie mięśnie, wyławiał imię syna, jakiś szczegół o jego fizjonomii („rudy był bardzo przystojnie”), a potem puszczał. Syn, porwany przez nurt zniknął z opowieści, a mężczyzna wpadał na skałę zwaną rozwodem. A potem na inną, wokół której kłębiły się opowieści o tym, jak to próbował uniknąć służby wojskowej, a potem na jeszcze jedną – tę o ulicy.

Była w nim radość, było rozczarowanie i spokojne wycofywanie się z życia. Czasem zgodnie z chronologią, a czasem, niespodziewanie, całkowicie wbrew niej. Mężczyzna szedł ulicą jako starzec, by wyjść zza zakrętu swojej opowieści jako krakowski sztubak. Wędrował tam, gdzie poniosły go słowa. Płynął z nurtem opowieści, a my patrzyliśmy na jego heroiczne zmagania z narracją.

Mężczyzna zamilkł wreszcie, zmęczony tym słownym wiosłowaniem. Oddychał ciężko, a broda unosiła się i opadała na jego brudnym swetrze. Coś błysnęło nagle w jego oczach, rozejrzał się, a potem wziął głęboki oddech, jakby zbierał siły. Nachylił się w naszą stronę i konspiracyjnie zaczął znowu. Cicho, cichutko, jakby zdradzał nam największy sekret:

– My byliśmy młodzi. Świat chcieliśmy zmieniać, tak po swojemu. I parliśmy, parliśmy do przodu nie oglądając się za siebie. Starzy mówili, starzy ostrzegali, starzy radzili, ale co nas to obchodziło? My byliśmy młodzi, a oni starzy. My chcieliśmy popełniać własne błędy i potykać się po swojemu. No i po swojemu wygrywać. Jak przed nami wyrosła ściana, to tę ścianę burzyliśmy. Tak po swojemu, razem młodzi przyjaciele, rozumni szalem... to Mickiewicz. Starzy gadali, a my parliśmy do przodu, z poranionymi rękami, ale sami! Rozumiecie? Sami!

Czy rozumielismy? Być może. Być może każdy młody nosi w sobie tę potrzebę, o której mówił, jak ptak nosi w sobie potrzebę lotu. A może po prostu to, w jaki sposób mężczyzna mówił, rozpałało w nas jego ogień. Odczekał, aż obok przejdzie grupka przepelnionych piątkową radością studentów, a gdy już się oddalili, ciągnął dalej:

– Nagle wyrosła przed nami ściana, ale taka, której nie umieliśmy zburzyć. Próbowaliśmy tak – nic, próbowaliśmy inaczej – ona dalej stoi. Próbowaliśmy wszystkiego i wszystko nas zawiodło. Sami nie dawaliśmy rady. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby zwrócić się o pomoc do starych. Może oni będą wiedzieli, co zrobić. I odwróciliśmy się, żeby zapytać starych, co zrobić... a tam nie było już starych...

Zamilkł.

„A tam nie było już starych”. Po tych słowach nie było już nic do powiedzenia. Ale my czekaliśmy. Ona nachylona w stronę mężczyzny, oparła ciężar ciała o moje ramię. Poczulem to dopiero w tym oczekiwaniu. Ja ze wstrzymanym oddechem. Chciałem, żeby mówił, żeby nie skończyć na tym. Ale nie było ciągu dalszego. „Nie było już sta-

rych”, powiedział stary mężczyzna siedzący tuż obok. Oboje chyba czuliśmy, że powinien mówić. Nie kończyć. Być i mówić do nas... póki jest.

Ale nic nie powiedział, tylko odchylił się i rozejrzał po Plantach. Gdy znów na nas spojrział, zdziwił się, że nadal siedzimy obok niego.

– Idźcie już. Czas czeka – odprawił nas.

Wstaliśmy bez słowa i ruszyli w piątkowy wieczór. Jeszcze raz spojrzałem w jego stronę, ale on rozglądał się wokół, jakby nigdy nas nie było. Chwycił swoje radyjko i zaczął przy nim majstrować.

– Zegarmistrz – powiedziała, gdy już się trochę oddaliliśmy.

Uśmiechnąłem się. Zegarmistrz. Tak został z nami tamtego wieczoru – jako „Zegarmistrz”. Tak został z nami na zawsze – nasze przypadkowe misterium, nasz mistrz nauk tajemnych. Nasza trzecia nić porozumienia.

Chciałbym napisać, że w spotkaniu na Plantach chodziło o tamtego mężczyznę, o Zegarmistrza, chciałbym, żeby to jego „a tam nie było już starszych” wybrzmiało, zostało ze mną do rana i przez następne dni, aż do teraz.

Ale to przecież ona została. To o nią i o mnie chodziło. Kiedy przecinaliśmy gwar Rynku, kiedy siedzieliśmy stykając się kolanami, nie było już starych. Nie było Zegarmistrza, tylko my – gotowi na popełnianie swoich własnych błędów, przed którymi nie miał kto nas ustrzec.

NIE MA TO TAMTO, WRACAJ

On i ona na kosmicznej schadzce.

Już pielgrzymują po polskim niebie: Wenus i Jowisz obok siebie. Choć ona druga od słońca, a on piąty, nic nie stoi na przeszkodzie ujawnić ludziom kumulację ich zmywy, bowiem wybrała się Wenus na randkę z Jowiszem. Teraz hasają po niebie w miłosnym tańcu, jak to kochankowie. Czy srogi Mars zmarszczy brew z zazdrości? Pewno tak, jak to starcy, bo wczoraj niebo miejscami było zasłonięte. Donoszą w necie, że chmurne szarą szmatą zakryły widok na Jowisza i Wenus. Czy z rozkazu Marsa? Zazdrość ma wiele kształtów i kolorów, wszak ona nie jest feerią lipcowych łąk.

Gołym okiem można śledzić miłosne igraszki – ten podniebny spektakl zbliżania się ciał niebieskich. Pielgrzymują, a raczej flirtują co ileś dekad, regularnie schodzą się i rozchodzą, wodząc ludzkie oko po nieboskłonie, mimo że rozdziela ich Ziemia. Spotkają się na swojej linii za ileś lat. Koniunkcja wyznacza ten cykl od prawieku, a romans stuleci będzie trwał.

Już trzecią noc ludzie zadzierają głowy, nie potrzebują lunety, bo co wieczór zbliżają się ku sobie dwie, ogromne planety. On już złowił z głębin jej kształty, przybliżył ku sobie i wspólnie turlają się poza widnokrąg, jak to kochankowie.

Jeden taki, siedząc na tarasie przerwał picie, myśli, że po niebie gonią się dwie białe myszki, albo pielgrzymują duchy po niego.

– Felka, choć, popatrz na tych pielgrzymów na niebie! Widzisz to co ja? – woła kobietę, a szeptem mówi do siebie.

– A może umieram? Czyżby kończyło się moje ziemskie pielgrzymowanie?

Po chwili.

– Felaaa! Ja... – woła spazmatycznie.

– Edek! zaraz zabiorę ci piwo! Dość! opoju. Jaki pielgrzym? Olbrzym, durniu, to Jowisz – odpowiada z kuchni. Kontynuuje belferskim tonem. – Marek w Monachium te cuda widział, a i Jurek w Katowicach. Przecież dzwoniła Zosia z Irlandii. Widziała dokładnie, gdy okno otwierała. Za tydzień przywiezie dzieci na wakacje. Słyszysz opoju?! Zajmiesz się wnukami. Nie ma to tamto.

On jednak babie nie wierzy i otwiera trzecią butelkę rzucając kapsel w niebo.

Perseidy i sny.

Pod koniec wakacji Zosia przyjechała po dzieci na Kielecczyznę. Jeszcze mają tydzień laby nad Czarną. Po zapadnięciu zmierzchu wyszła na taras oglądać panoramę nieba.

Perseidy, potocznie zwane spadającymi gwiazdami, apogeum swojej aktywności tego roku mają w połowie sierpnia. Zosia spojrzała w niebo. Wybrała miejsce za domem od strony lasu. Czeka. Znudzona, że nic się nie dzieje, położyła się na ławce-huśtawce. Drewniane dechy odprężyły szyję, która przez kilkanaście minut podtrzymywała przechyloną w tył głowę. Usnęła. Wybudził ją trzask.

Pomiędzy koronami brzoź świeciły gwiazdy wielkości dojrzałych czereśni. Wisiały tuż, tuż nad brzożami. Trzaski były coraz głośniejsze i w równym odstępnie i trwały około dziesięć minut. Dochodziły z pobliskiej kępy brzoź, akacji i sosen, rosnących u podnóża małego pagórka.

Wstała z ławki. Od strony północno-wschodniej gwiazda zniknęła za płotem, w malinach. Druga przeleciała za stodołę, trzecia znikła w starym modrzewiu, najwyższym w okolicy. Nie leciała dalej, jakby ostre gałęzie modrzewia pochwyciły światło i zagasiły. Jednocześnie ucił trzask łamanych gałązek.

Zamierzała wrócić do domu, wówczas zobaczyła, bardzo, bardzo wysoko, rozbłysk światła, które miało kształt ogona, taki, jaki zna z obrazów telewizyjnych podczas startu sputnika. Światło przybrało formę rozplecionego warkocza. Nie widziała spadających odłamków świetlnych. Za wysoko. Ruch na niebiosach tej nocy był wzmożony, jak na ulicy Marszałkowskiej w godzinach szczytu. Po swych trajektoriach kursowały samoloty i jednostajnie przesunął się satelita.

Po kilku dniach pierzaste chmury przysłoniły częściowo gwiazdozbiór. Pojawił się wreszcie półksiężyc, a Zosia przy śniadaniu zakomunikowała:

– Dzisiejszej nocy księżyc wstał dopiero po godzinie drugiej. Obudziłam się i był nad starym sadem. Równiutko z nim przesuwał się... chyba Jowisz – oznajmiła Zosia bratu Markowi, który przyjechał z żoną z Monachium. Pielgrzymują co roku do rodzin-

nego domu. Czas wakacji to jedyna okazja, aby pobyć rodzinnie, ale nade wszystko z rodzicami.

– Zośka, nie opowiadaj głupot – rzekła kąśliwie bratowa.

– Trzeba było zadzwonić na 112, pogoniliby księżyc do roboty – skwitował brat Marek chcąc rozładować napięcie między kobietami.

Zosia zostawiła uwagi bez komentarza, uwielbia humor brata. Później opisała nocne oglądanie Perseidów, które również pielgrzymują w kosmosie w konkretnym celu. Tej nocy po tej podniebnej projekcji miała dziwny sen.

/.../ Znika Wielka Niedźwiedzica ze złamanym dyszlem i wywozi zagrabione sny z naszych głów. Nowy dzień wschodzi ze starymi sprawami i galopuje w codzienność. Jeśli pamiętamy sen, czy może być przepowiednią? Jeśli obudzimy się z krzykiem, tak jak las podczas polowań – nie będzie to świąteczny dzień. Dlatego zagłuszamy koszmary senne płataniną spraw. Przysposabiamy się do nowych wyzwań, podróżując z dnia do dnia.

Mój sen: patrzyłam na Ziemię z perspektywy kosmosu. Glob był w mgielnej osłonie i wglądał jak kwiat lotosu. Obrazek niczym jak ze zdjęć z bezzałogowej sądy księżycowej.

Czasem Bóg ujawnia, że chroni naszą planetę. Uczy nas pielgrzymowania do siebie. Każde stworzenie, i mrówka i gwiazda mają swoje szlaki i obowiązki. Ze wszystkich miejsc najdroższy ten zakątek nad Czarną, skąd z krzemowej górkę mam najcudowniejsze widoki.

Z notatnika Zosi.

Rodzinka gdzieś się rozpierzchnęła. Dzieci już śpią. Pojutrze wracamy do Irlandii. Siedzę na tarasie na ulubionej ławie ojca. Mama wciąż wołała do niego: Edek to, Edek tamto. A on nie drgnie, dalej siedzi i patrzy, tak jak ja teraz. Czasem mruknął nie podnosząc się – Zaraz Fela! Albo – Już idę Fela!

Siedzę z widokiem na samosiejki. Odważnie podeszły pod domostwo zasłaniając widoczność. Las przyszedł po swoje. Ludzie pozwolili drzewom rosnać na dawnym kartoflisku. Właściwie oddali nieurodzajną glebę pradawnym lasom sosnom i dębom, koniecznie z brzożami, bo bez nich lasy są ponure. Każdy pielgrzymuje do swych miejsc.

Sarny coraz śmieiej podchodzą do siatki. Mają swoje dziury do jabłek. Któreś jesieni zobaczyłam matkę z małymi koziołkami. Było ich z pięć. Szły w kierunku ogrodzenia. Na jabłonce wisało jeszcze kilka zimowych, a dużo leżało pod drzewkiem.

Gdy wiosenne ciepło wyzwała w ciołkach rywalizację, zwycięski wojownik domaga się od łani uległości i akceptacji swych genów. Natura egzekwuje swe prawa. Dlatego wiosną, o każdej porze dnia i nocy, słychać tarcie o drzewa. Rumor. Mości się byk, a może

nie sam. Czasem ziemia dudniła, jakby tabun koni przegalopował. Trzeszczały chwiejne brzoźki. Siedząc na ganku, mimo woli, podsłuchuję sarnie igraszki w brzoźowo-sosnowym lasku wyrosłym na kartofflisku.

Przewodniczy im Faun, te kozie rogi i kopytka. Ech, usiąść tu w noc, kiedy zwierzęta mówią ludzkim głosem.... Co wtedy, co wtedy im odpowiem?

Demeter na tych kieleckich piachach nie była płodna. Żłocisty sierp wyrwała jej chciwość. No i co miała robić? Żłoto pszenicy nie szumiało, nie dzwoniły kłosy, nie budziły gospodarzy. Pracowity dzień przetaczał się z głodem do przednówka.

Czy słowiańska Mokosz przegnała insze za morze, sama wylegując się na żłocistych pagórkach? Makosz strzęsła Panomę z gałęzi w sadzie. Któregoś roku z wiosną przymroziło, sypnęło. Tulipanom ciężko się podnieść spod grubej warstwy śniegu. Puste kosze znów do komory się poniosło. Nie skosztowałam czereśni.

/.../ Babcia pochylając się nad łądygami ziemniaków oblepionych stonką powiedziała:

– Wnusi, tu rosły buki na tych piaszczystych pagórkach.

– Szkoda, że je wykarczowano – mruknęłam wściekła na rozżarzone ziarna piachu, które wpadały przez dziurawe trampki.

– Kartofle się ugotowały... – powiedziała retorycznie mama, hen przede mną. W głosie ból i przerażenie. Nawet do przednówka nie wystarczy mały kopczyk pokryty ziemią i łęciami.

Ślamazarnie zbierałam czerwone pędraki do puszek po paprykarzu. Byłam wściekła. Dlatego zostawiwszy czerwone pędraki i dziurawe trampki wyjechałam ze wsi, mimo że kolory ziemi od dzieciństwa mnie fascynowały, szczególnie po wiosennej orce. Od parującej, ciepłej czerni po miodne piaski – ziemia oddycha, wyzwolona i gotowa na urodzaje. Cóż może być piękniejszego? A jednak exodus ze wsi wciągnął mnie w wir. Teraz pielgrzymujemy do domostw jak do sanktuarium, ładując swoje akumulatory na życie w miejskim buszu.

/.../ Rozżarzony asfalt, czy blokowisko błyskawicznie nauczyło mnie moresu do krzemowych pagórków. Spoglądam za okno w cudze okna bloku. Szarówka, normalna marcowa, a biel za oknem i ożywcze powietrze. Przewietrzył nam Bóg miasto. Nowa dostawa śniegu przykryła smętki. A mnie jest szkoda zimy. Już na drzewach seledyn się panoszy. Mrozu nie było, złego nie wymroziło. Moje policzki są puchate jak wedlowskie ptasie mleczko.

Wiesz zapewne już na dobre w brzęczeniu pszczół – z lipcowego nieba spadają szable Perseid. Jadę tam, spektakl nie może mnie ominąć. Brzozowy las samosiejek śni mi się w różnych odsłonach natury. Niezwykły. I pomyśleć, że kiedyś było tu tylko pole. W otulinie białych brzoź odnajdę trakt wydeptany przez sarny. Odważnie zagarniają kopytkami teren. Pielgrzymują po swoje. Każdej wiosny na dawnym kartoflisku dudni rykowisko pod rytmicznie trzęsącymi się wierzchołkami sosen i brzoź. Odwieczny rytuał przyrody, a człowiek, jako ten naczelny, musi uszanować. Pielgrzymi jako i my.

/.../ Nie można uciec w krainę leśnych stworków, magicznych przestrzeni-mgielnych, kosmicznych, w takie jak na tych cudnych ilustracjach. Uciec do miast, w to pudełeczko z lalkami, bo część Europy jest do góry nogami, bo nie zatrzymuje bestialstwa Rosji i mordu na Ukrainie. Nie mam siły na ból, ale być tam pod nawałnicą swołoczy ruskiej – ileż trzeba mieć bohaterstwa, aby zostać w ojczyźnie i jej bronić. Tego nie da się nawet opisać. Fotoreportaż jest najznakomitszym przekąźnikiem. Dlatego ucieczka w fantasmagorie, baśniowość, w cudne obrazy – jest moim katharsis, ale nie dla tych z Buczy czy Irpienia.

/../ Przesuwam palce po globusie. Zakołowałam. Wiruje wokół osi. Chcę zobaczyć wschód na Uralu na Skale Czerwonej, lecz dalej wędruję palcem po globusie; od Australii po Park Yosemite. Jestem na prerii. Chcę zobaczyć Indian – młodych, narowistych wierzchowców.

Pielgrzymuję palcem po globusie, niczym akwizytor od drzwi do drzwi i niczego za drzwiami nie widząc. W ten sposób można zagrać w ruletkę w Las Vegas, albo nocą imprezować, lecz nie można ruszyć w nieznaną, w zapach bawełny nad Missisipi albo smakować wina w Prowansji. Jedyne co mogę, to przesuwac palcem po globusie. Wciąż szukam swojego miejsca, którego nie naznaczono na mapie, ani tego pocałunku, ani wschodu słońca na Uralu na Skale Czerwonej. Wiem, gdzie jest miejsce nad rzeką Czarną.

A ja Panie chcę po prostu usiąść na łące ojca i popatrzeć na dolinki. Gdy ta miłość z głębi Ziemi obejmie ciało, gdy zniewoli umysł bladorożowa jutrznia – co więcej potrzeba? Albo zanurzyć stopy w chłodnej wodzie Czarnej. Wulkan mego serca wygaś, proszę, Boże.

Chce usiąść spokojnie na łące i popatrzeć na dolinki, na harmonię Twego zamysłu. Wrócić? Jak chce tata?

Rzeka wyznacza rytm dnia.

Przed trzecim tysiącleciem Czarna wróciła w ciche zakola. Niestety, stare koryta są już nieaktywne. Rosną w nich wielkie połacie chaszczy. Teraz płynie wśród tataraków i wysokich traw. Pułapką są zdradliwe nurty lecz pokornie płynie swym nurtem. Dokąd jej wody pielgrzymują i podskórne nitki dopływu?

Zosia urodziła się w Dolinie Czarnej, w Staropolskim Okręgu Przemysłowym. Urzędowe spisy informują, iż w jej wsi, w 1510 roku były tak zwane „cztery dymy”. Dymarki. Rudę żelaza wykopywano z pobliskich pól, a w sto lat później pod rzeką Czarną wybudowano szyby kopalniane. W jej wsi był wielki piec do przetopu rudy żelaza. Teraz Czarna przepływa przez kilkanaście gmin kształtując przez stulecia swój brzeg. We wsi Zosi rzeka pracowała najwydajniej, a jest najczystsza rzeką w Polsce.

Rzeka nie negocjuje, ona płynie korytem, niezależnie dopóki człowiek nie wkroczy ekspansywnie w jej nurt i przekieruje wodę w inne rzeczne koryta.

Ujarzmienie licznych odnóg Czarnej w zbiornik, na zawsze zmieniło okolicę, a energię wodną zmuszono do pracy. Czyżby nastąpiło zniewolenie wodnego pielgrzyma? Przecież spiętrzone wody swą energią zakręciły olbrzymim kołem, uruchomiły kuźnice, papiernie, fryszerki. W dalszej części brzegi przeistoczyły się w rude rozlewiska, a łąki i łęgi w krwiste bajora. Szlaka, zwana również żużlem, kaleczyła bosc stopy na poboczach dróg.

Są miejsca, gdzie Czarna pośród zarośli i wodorostów kryje swój nurt. Jedni boją się tych miejsc. Nad innym brzegiem słychać ciche śpiewy. Rzeki dzieciństwa nie wysychajcie!

Deszczowy maj wezbrał rzeki, z potokiem ryby płynęły w łęgi na zielone łąki z dołami po wojnie. Gdy woda wsiąkała w ziemię, w muł zakopały ogony, pyskiem łowiły powietrze.

Zosia z Markiem, mieszkającym teraz w Monachium, poszła z przetakiem na łąki. Przetak zanurzyli w mule i na dnie dwa ogony wierzgały. Duży i mały. Król wód i płotka. Szczupak skwierczał paradnie, gdy ich matka Fela smażyła go na patelni. Natomiast płotkę wrzuciła do wiadra,

– Marek, zanieść płotkę do rzeki – powiedziała stanowczo.

To było następnego lata, Zosia brodzi po mieliźnie i do stóp podpływa rybka. Bawi się w berka albo kąsa jej pięty.

– To ty płotko? Pamiętasz mnie? Z bratem wypuściliśmy cię w nurt Czarnej. To było po powodzi.

Przesuwają się granice na mapie, wyjeżdżają ludzie, jedynie kłótnie o miedzę są niezmiennie. Rzeka Czarna leniwe pluszcze i przejryste ma dno. Od zarania przyfruwają bociany nad rzekę. I one pielgrzymują do swych miejsc, skrzydlaci posłańcy Pana Boga.

Kiedy człowiek orze, jak co roku, pod zasiew, spod pługa rozsypuje się ziemia w miękkie redliny. Bociany są tuż, tuż. Widzą, że coś pełźnie, pod fruwają, a na glebie zostawiają znaki graficzne. Boćki orzą czerwonym dziobem użyźniając ziemię. Z roku na rok coraz ich mniej. Trajektoria ich lotu, do Polski, ma las wysokiego napięcia. W albumach zostaną wkrótce widoki białych ptaków przy kolach traktorów, bo stado boćków wokół konia i pługa od dawna nie do zobaczenia.

W pobliżu Czarnej na pastwisku Feli i Edka jest rozległe bajoro z żabkami i kaczeńcami. Zimą bajoro zamarza w esy floresy. Od kwietnia na palikach stoją boćki jak żołnierzyki na apelu. Klekoczą czerwone dzioby. Głodne. Czyhają, aż żabi skrzek urośnie i rozpocznie się polowanie. Teraz trwają żabie gody.

Ojciec Zosi zrobił zdjęcie bocianom i przesłał w emailu do Zosi. Chciał zachęcić wnuki do przyjazdu na wakacje. Ma cichą nadzieję, że wrócą na jego gospodarstwo. Podróżowanie do obcych jest nie do wyobrażenia przez Edka. Jak można siedzieć u obcych, skoro w domu jest lepiej i jest praca. Te tabuny migrujących po wejściu do Unii, powinny teraz powracać. Taką ma nadzieję Edek: powrócą. Tak rozmyśla siedząc na swej ławie. Spogląda w tajemnicze, nocne niebo, szukając potwierdzenia. Rankiem zapisze.

– Zocha, przyjeżdżaj, albo najprościej, wracaj na swoje – emailuje ojciec do córki – przepiszę twoim chłopakom gospodarkę. Niedługo będą spadać twoje Perseidy. Nie ma to tamto, wracajcie.

W okno bębnią zimne krople. Dzieci nudzi malowanie tęczy, wolą szukać jej w kałuży. Znikają za progiem, aby na podwórku tupać, bełtać i obmyślać, jak wyłowić kolory z błota, a których w nim ich nie ma. Niech się stworzy, co jeszcze niestworzone, potem zwałą na psa lub kota, ale muszą pobiec nad bajoro i przepłoszyć bociany. Dziecięce pielgrzymowanie.



Nie jesteś sam...

Maria szła zdecydowanym krokiem. Nie rozglądała się dookoła. Po prostu naprzemiennie stawiała nogi. Zupełnie jak w transie. Niczym pielgrzym. Szła równo. Miarowo. Lekko przygarbiona. Na rękach niosła całe swoje życie. Swoją radość i niepokój. Radość i strach. Odwagę i pokorę. To wszystko mieściło się w słowie: syn.

Maria swoją pielgrzymką nazywała czas od narodzin Stasia. Od kilku lat była jak w transie. W pielgrzymce. Miała cel. Jeszcze nie do końca wiedziała jaki. Ale ten cel na pewno był. Choć nie rozumiała, kto dał jej pokutę w postaci tej niezwykle trudnej lekcji życia. A może była to nagroda?

Często zadawała sobie w myślach pytania: Dlaczego to ona została wybrana, by każdego dnia walczyć z tyloma przeciwnościami losu tylko po to, by jej rodzina mogła wszystko jakoś przetrwać? Co będzie końcem tej pielgrzymki?

Maria próbowała nie zaprzętać sobie głowy odpowiedzią na te pytania. Po prostu nie знаła na nie odpowiedzi. Ale niezwykle ciążyło jej to brzemienie. Być może przytłaczała ją świadomość, że jej pielgrzymka miała potrwać do końca życia.

Życie toczyło się swoim tempem. Bywało różnie. Ale dziś zdecydowanie było trudno. Do pokonania miała zaledwie kilkaset metrów, które zwykle zajmowały jej nie więcej jak kilkanaście minut. Ale teraz nie było takiej możliwości. Nie mogła iść szybko. Był z nią Staś. Młodszy syn, rezolutny pięciolatek, właśnie uświadamiał wszystkim dookoła, jak silny miał głos.

Staś głośno wrzeszczał. Wszyscy się na nich patrzyli. Przechodnie zatrzymywali się z wyrzutem w oczach. Kręcili głowami z dezaprobatą. Zupełnie jakby była całkowicie winna całej tej sytuacji. Po czole Marii spływały strużki potu. Ale nie poddawała się.

Staś nie był zwyczajnym dzieckiem. Był wyjątkowo wyjątkowy. A tą jego całkowitą niepowtarzalność cechował autyzm.

Tak.

Maria już potrafiła to słowo powiedzieć głośno. Zajął jej dobrych kilka miesięcy zanim pogodziła się z diagnozą. Tak jej się przynajmniej wydawało.

A miało być tak pięknie...

Maria już w bardzo młodym wieku miała poukładany w głowie plan na przyszłość. Skończyła wymarzone studia. Spotkała wspaniałą miłość. Krzysztof był ideałem. Nie dość że przystojny, to w dodatku mądry i dobry. Planowali razem wspólne życie do grobowej deski. Skromny ślub tylko przypieczętował to, o czym od dawna marzyli. Na świecie pojawiła się Agatka. Po kilku latach urodził się Staś.

Maria gdy tylko wzięła syna na ręce, poczuła, że jest zupełnie inny niż córka. Płakał głośniej, bardziej przenikliwie, żałośniej, rozdzierająco, bez przerwy... Od pierwszych chwil było ciężko. Dużo ciężiej, niż przy pierwszym dziecku. Ale to podobno było normalne. Tak przynajmniej wszyscy mówili.

Staś ciągle krzyczał. Były nieprzespane noce, nerwy i łzy, Bezradność i strach. Maria nie miała pomocy z żadnej strony. Krzysztof szybko wrócił do pracy w delegacjach, a Maria musiała ogarniać ten cały cyrk w pojedynkę. Rodzice mieszkali daleko, a z teściami nie układało się najlepiej. Nie utrzymywali w sumie żadnych kontaktów. Nawet tych poprawnych.

Maria po prostu musiała radzić sobie sama. I nie chodziło o obowiązki w domu, które wykonywała automatycznie. Pranie, gotowanie, sprzątanie... Zmęczenie fizyczne było niczym w porównaniu ze wypaleniem psychicznym. Maria traciła energię i chęć do życia.

Czas mijał. Staś rósł. Niby był zdrowy, gaworzył, raczkował, chodził. Ale nie zachowywał się, jak inne dzieci. Pierwsze słowa były trochę później niż u Agatki, ale były.

Ale było coś jeszcze. Staś wielu rzeczy nie lubił i bardzo wyraźnie dawał sygnały, że coś mu nie pasuje. Nie znosił wręcz butów i skarpetek. Bez przerwy je zdejmował. Najchętniej cały dzień chodziłby boso. Nawet po śniegu. Fascynowało go światło, półcień, wszelkiego rodzaju gra kolorów.

Nie akceptował też zupełnej ciszy do tego stopnia, że czasem Maria musiała wstać w środku nocy i włączyć radio w kuchni, żeby tylko było słychać w tle jakiś dźwięk. Z drugiej strony był przewrażliwiony na niektóre dźwięki. Wybudzał go na przykład szum szeleszczącej w nocy kołdry. Potem nie mógł zasnąć po kilka godzin.

Lubił stałe trasy. Kiedyś musieli pojechać inną ulicą, bo na drodze, którą zawsze jeździli był wypadek. Policja kierowała samochody na objazdy. Staś w ciągu sekundy zorientował się, że nie jadą jak zwykle koło dużego sklepu, potem wieżowca i drzewa. Wpadł w czarną rozpacz. Płakał, krzyczał, tupał...

Miał też swoje rytuały. Przed wyjściem z samochodu Maria musiała dwa razy włączyć i wyłączyć radio. Tak po prostu. Musiała to zrobić. Inaczej Staś zaczynał swój koncert i nie było mowy o opuszczeniu pojazdu i o jakiegokolwiek aktywności. Gdy coś upadło na ziemię Staś musiał to podnieść i ponownie upuścić. Za wszelką cenę.

Maria na bilansie dwulatka zgłosiła lekarzowi płaczliwość, dziwne zachowania, nienaturalny upór i opóźniony rozwój mowy. Usłyszała wtedy od pani doktor z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem:

– Chłopcy tak mają. Proszę dać mu czas. Po prostu taki jego urok. Jeszcze się rozgada. Uspokoi. Nie dzieje się nic niepokojącego.

Ale działo się. Doszły napady szału zupełnie bez powodu, wybiórczość pokarmowa. Coraz większy upór i nadwrażliwość na wszystko dookoła. Na dźwięki, zapachy, dotyk, światło.

Maria była na skraju wyczerpania.

Przez kilka pierwszych lat od narodzin Stasia chodziła jak maszyna. Dbała o dzieci, o dom, ale nie czerpała żadnej radości z życia. Po prostu chciała to przetrwać. Przeczekać. wytrzymać.

W końcu po kilku miesiącach bezowocnego diagnozowania syna ktoś zupełnie przypadkowo skierował ją do lekarza psychiatry. Maria dość szybko odrzuciła negatywne skojarzenia i stereotypy ze słowem psychiatra. Nie miała nic do stracenia. Bardzo szybko lekarz oznajmił:

– Pani syn ma autyzm dziecięcy. Przykro mi.

Cisza.

Tylko tyle i aż tyle. Maria nie potrafiła tego zrozumieć.

– Ale jak to? Przecież on jest zdrowy. Autyzm? Dlaczego Staś? Czym sobie na to zasłużyłam? – te pytania powtarzała w głowie bez przerwy.

Odpowiedzi nie znała.

Właśnie wtedy postanowiła swoje życie nazwać pielgrzymką. Musiała po prostu zacisnąć zęby i iść. Dla siebie. Dla dzieci. Ciągle do przodu. Małymi krokami. Często pod wiatr i pod górę. Po kamienistej i pełnej cierniów drodze. Czasem na skróty, albo naokoło. Dłuższą i trudniejszą drogą. Na końcu pielgrzymki powinien na nią czekać spokój i odpoczynek. Tego postanowiła się trzymać.

Przyszedł czas na terapie, rehabilitacje, rewalidacje, turnusy. Bardzo powoli, małymi kroczkami zaczynali się ze Stasiem rozumieć. Pisała do niego własną instrukcję obsługi. Maria miała wrażenie, że ta instrukcja jest napisana w języku chińskim i ma przynajmniej tysiąc stron. Ale bez niej zrozumienie Stasia było niemożliwe.

Maria czytała wszystkie możliwe publikacje na temat autyzmu. Przedzierała się przez gąszcz naukowej terminologii, czasem nieprawdziwych informacji.

Nie było łatwo, ale pojawiły się pierwsze efekty wprowadzonych terapii. Staś stał się dużo spokojniejszy. Po prostu poczuł się zrozumiany. Jego potrzeby zostały zauważone. W przedszkolu zatrudniono panią do pomocy tylko dla niego. Było mu dużo łatwiej opanowywać płacz. Zaczął więcej mówić. Dużo się uśmiechał.

Szybko okazało się, że jest niezwykle inteligentny. W ciągu kilku tygodni nauczył się sam czytać. Literki i cyferki po prostu uwielbiał. Znał wszystkie marki samochodów, znaki drogowe. Uwielbiał wprost kalendarze. Znał liczbę dni w każdym miesiącu i wszystkie święta. Zaskakiwał otoczenie fotograficzną pamięcią.

Jednak jego wybitne zdolności bardzo często ginęły przykryte płaszczem niepożądanych i trudnych zachowań. Najgorzej było poza domem w niekontrolowanych sytuacjach trudnych do przewidzenia. A sytuacji nieprzewidywalnych było wiele.

Kiedys Maria jak zwykle weszła do sklepu po kilka rzeczy. Staś szybko dał upust swoim emocjom. W kolejce pomrukiwał, aż wreszcie zaczął na cały głos wrzeszczeć. Pewnie przeszkadzał mu donośny dźwięk z głośnika. Może go ktoś przez przypadek dotknął. Albo wszechobecne w otoczeniu zapachy wywołały u niego wyraźny dyskomfort. Maria to wiedziała, ludzie w kolejce już nie:

- Ale jesteś niegrzeczny! Taki duży i płacze...
- Kiedys to się inaczej wychowywało dzieci, nie tak bezstresowo!
- Jak będziesz tak krzyczał, to cię zabiorę od mamy! Chyba sobie z tobą nie radzi!
- Głowa mnie boli od tego krzyku! Ile można? Niech go Pani uspokoi!

To tylko niektóre z komentarzy, które padały pod ich adresem. Maria robiła wszystko, aby uspokoić syna. I zwykle nic nie działało.

Jednak dużo lepiej rozumiała Stasia, niż kiedys. Wyzwoliła w sobie pokłady cierpliwości, o które by się nigdy nawet nie podejrzewała. Zabierała synka wszędzie ze sobą. Musiał się w końcu nauczyć żyć wśród ludzi. Odwrażliwić. To był jej cel. Nie mogli się przecież zamknąć w domu i nie wychodzić. Przecież Staś nie był chory!

Niestety bardzo często Maria czuła, że cały świat był przeciwko niej. Z czasem przestała nawet lubić ludzi. Czuła się krytykowana, oskarżana, napiętnowana...

Ale dziś wszystko się zmieniło!

Wyszli jak zwykle po Agatkę do szkoły.

Maria poza domem funkcjonowała jak saper rozbijający minę. Poziom napięcia i stresu był u niej na najwyższym poziomie. Staś najczęściej wybuchał, jak bomba z opóźnionym zapłonem. W najmniej spodziewanym momencie. I Maria musiała być na to przygotowana.

Obok szkoły był niewielki skwer. Staś miał dobry humor. Maria pozwoliła mu pobiegać między alejkami. Na pierwszy rzut oka nie różnił się od innych dzieci w swoim wieku. Radośnie podskakiwał z uśmiechem na twarzy. Dotykał listki. Podnosił z zainteresowaniem kamyczki.

Jednak w pewnej chwili zauważył flagę wywieszoną przed drzwiami wejściowymi do szkoły. Biało-czerwony materiał załopotał głośno na wietrze i Staś zareagował im-

pulsywnie. Wystraszył się. Zaczął szybko machać rączkami, jak ważka przed odlotem, Zawsze tak robił, gdy się stresował. Zamknął palcami uszy i głośno piszczał. Z całych sił.

Zaczął się atak szafu. A Maria nie mogła uciec. Czekali przecież na Agatkę, która zaraz miała skończyć lekcje. Każda sekunda była jak wieczność. Maria w opanowany i stanowczy sposób przytuliła Stasia i czekała aż się uspokoi. Tylko to mogło pomóc. Ale to musiało potrwać przynajmniej kilka minut.

Maria zdawała się nie zauważać wpatrzonych w nią oczu zupełnie obcych ludzi. Czekala na lincz bez ruchu ściskając z całych sił wystraszonego chłopca. Wzrok innych rodziców i babć czekających na swoje „zdrowe” i „normalne” pociechy wbijał się w jej skórę.

Już wiedziała, z której strony nastąpi atak. W jej kierunku szła kobieta. I nagle z jej ust padły słowa, które zmieniły wszystko:

– Jest Pani wspaniałą mamą! Najwspanialszą na całym świecie. I świetnie sobie Pani radzi. Proszę się niczym nie przejmować. Wszystko będzie dobrze – powiedziała nagle spokojnym i łagodnym głosem.

– Ale skąd Pani może to wiedzieć? – zapytała Maria.

– Nie jesteście sami. Mój wnuk też ma autyzm. Po prostu wiem co to znaczy – odparła.

W tym momencie Maria poczuła spokój i ciepło.

Tych kilka dobrych słów sprawiło, że wszyscy obserwujący ich ludzie nagle w jej oczach złagodnieli. Wzrok już nie przeszywał Marii na wskroś. Ktoś ją wreszcie rozumiał i wspierał. Tylko tyle i aż tyle. Ktoś też rozumiał autyzm. Próbował go tak jak Maria odczarować. Obedrzeć z krzywdzących stereotypów. Nie tylko ona się z tym musi zmagać.

Zwykła ludzka życzliwość dała Marii niewyobrażalną siłę. Po policzkach płynęły jej łzy. Ale nie były to łzy rozpacz. Jej trudna pielgrzymka dała jej w tym momencie chwilowy oddech. Czuła się tak, jakby szła właśnie z góry. Było jej niesamowicie lekko. Świeciło słońce a wokoło rozciągały się wspaniałe widoki. Podczas pielgrzymki nie zawsze jest trudno. są też dni dobre. I to był właśnie ten dzień.

Maria to czuła. Szepnęła tylko do ucha nadal krzyczącemu wniebogłosy Stasiowi:

– Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Nie jestem sama... Nie jesteś sam...



Fosa

Słona mgiełka raz za razem uderzała w twarz człowieka idącego wzdłuż brzegu morza. Podmuchy wiatru stawały się coraz silniejsze, co powodowało, że sól łatwiej dostawała się do oczu. Człowiek ciągnął za sobą duży, płócienny wór, który wydawał się być dość ciężki, bowiem zostawiał za sobą w piachu głęboką bruzdę. Właściciel worka nie wyglądał jednak na zmęczonego ani znużonego. Z całą siłą uporu parł naprzód przez mokry piach, boleśnie raniący skórę wiatr oraz sól.

Wielką trudność mogłoby sprawić komuś określenie wieku tego człowieka. Włosy miał na tyle długie, że, gdyby nie zmierzwił ich morski szkwał, zakrywałyby mu szyję i sporą część twarzy. Ich kolor nie różnił się znacząco od piachu, wśród którego brnął ich właściciel. Skórę miał ciemną, zakonserwowaną w ciągu wielu lat ekspozycji na niszczące, a zarazem życiodajne promienie słońca. Wędrowiec miał na sobie jedynie lnianą koszulę, rozpiętą, bądź też rozerwaną i wpuszczoną w spodnie, wykonane z takiego samego materiału. Len bielony był na pewno przez wprawnego blicharza, bowiem człowiek ciągnący wór wydawał się emanować nadzwyczajnym blaskiem. Czy były to jednak promienie słońca odbite od powierzchni ubioru, czy może on sam, czerpiąc moc z uporu, który pozwalał mu ciągnąć tak ciężki wór przez piach, roztaczał świadomy blask – tego nie sposób było określić.

Za wędrowcem rozciągały się dziesiątki, jeśli nie setki kilometrów pustej przestrzeni, zagospodarowanej jedynie przez piach i słoną wodę pod horyzontem, zaś gęste, szarogranatowe chmury powyżej horyzontu. Przez tę mroczną zasłonę niebios przesączało się nie-wiele światła, lecz wystarczyło go w zupełności, aby człowiek mógł widzieć to, co znajduje się przed nim. A był to widok niesamowity. Gdyby natura była w stanie projektować latarnie morskie, bez wątpienia dokładnie tak by one wyglądały.

Na skalnej skarpie, wygładzonej tysiącletnimi dmącym wiatru, niosącego ze sobą erozjogenną wilgoć, stała strzelista wieża o ścianach skręconych niczym wyżymany z wody skrawek materiału. Zakończona była kopułą w kształcie zaokrąglonego u szczytu stożka, czy raczej jajka przeciętego w połowie wysokości. Zwisały z niej długie, równie

skręcone jak ściany, stalagmity. W ten sposób sprawiała wrażenie kształtu absurdalnie organicznego, a jednocześnie zimnego i surowego, uzbrojonego i gotowego do pożarcia każdego, kto ośmieliłby się podejść bliżej.

Człowiek zatrzymał się na ten widok. Wiatr wokół niego dął coraz silniej, odbijając się od pobliskich skał z taką mocą, że wydawało się, iż ktoś dmie w gigantyczny róg. Dźwięk rozbijał się w otwartej przestrzeni i trafiał do uszu wędrowca, próbując wywołać w nim trwogę.

Ten jednak, niewzruszony, stał w piachu, a stopy obmywała mu zimna woda morska. Wpatrywał się w wieżę bez strachu, choć wydawało się, że po policzku płynie mu samotna łza. Gdy jednak kropla zakończyła swój żywot, spadając z orlego nosa i odlatując z podmuchem wiatru, wędrowiec rzekł do siebie:

– Nareszcie.

To jedno słowo zadziało niczym zaklęcie nadające nowej mocy jego wędrowce. Jeszcze mocniej zacisnął palce na zmiętym brzegu worka i ponownie ruszył przed siebie. Teraz jednak widział swój cel, dostrzegał go nawet przez piach tańczący przed nim w powietrzu. Z nową siłą ciągnął wór wraz z zawartością, która, najwyraźniej, przeznaczona była dla wieży. Wędrowiec z każdym krokiem szedł coraz szybciej i pewniej. Wyglądało na to, że bagaż zupełnie mu nie ciąży. W pewnym momencie jednak zaciążyły mu wspomnienia i uczucia, kłębiące się w nim.

Starął się skupić na drodze, jednak każda chwila coraz bardziej wytrącała go z równowagi, plątała nogi i wybijała krok z rytmu. Lewa, prawa, lewa, prawa, prawa. Potknął się i przewrócił na mieszaninę mokrego piachu i ostrych fragmentów muszli, które wbiły mu się w łokcie, gdy starął się zamortyzować upadek. Uniósł głowę i spojrzał ponownie w kierunku swego celu. Próbował ocenić jak wiele drogi jeszcze mu pozostało. Na pewno czekało go wspięcie się po skarpie na górę, lecz z tej odległości ściana zdawała się być praktycznie płaska i pionowa, bez ani jednego wgłębienia czy szpary, na których można byłoby się oprzeć w trakcie wspinaczki. Dodatkowo wiedział, że będzie musiał wnieść na górę bagaż w postaci niewygodnego i ciężkiego worka. Przez moment rozważał nawet pozostawienie go na dole, lecz miał przeczucie, że bez bagażu nie zostanie wpuszczony do wieży. A musiał się tam dostać.

Podniósł się z niejakiym trudem, wyciągnął ostre fragmenty muszli ze skóry, która piekła go niemiłosiernie przez ilość soli zawartej w powietrzu. Nie skrzywił się jednak ani nie wydał z siebie przy tym zabiegu żadnego dźwięku, zaś jego oddech był pewny i miarowy. Oderwał szybkim ruchem długi pasek koszuli, związał nim worek i przewiesił go sobie przez ramię niczym torbę.

Jakiś czas zajęło mu dotarcie do ściany skarpy. Stanąwszy przed nią zdał sobie sprawę z trudności zadania, jakie go czeka. Jego bose stopy były już mocno pokaleczone

przez ostatni odcinek drogi wśród ostrych muszli i śliskich kamieni, dłonie zaś zmęczone ciągnięciem ciężkiego worka przez piach. Wędrowiec wiedział jednak, że przewieszenie go sobie przez ramię wcześniej, niż było to niezbędne, nie wchodziło w grę.

Spojrzawszy w górę zawahał się po raz pierwszy od początku wędrowki. Skarpa wydawała mu się na tyle znajoma, że wiedział, jak powinien rozpocząć wspinaczkę. Jednocześnie jednak sprawiała wrażenie absolutnie niemożliwej do zdobycia. Wbrew wszystkiemu wyciągnął prawą rękę i rozpoczął wspinaczkę.

Ściana była śliska i zaledwie lekko chropowata. Niewiele w niej było pęknięć, stąd też sprawiała wrażenie odlanej z formy, stworzonej przez złośliwe istoty, nie mające litości dla ludzi takich jak Wędrowiec. On jednak wiedział, że tylko ta skalna ściana stała pomiędzy nim, a celem, który tak usilnie starał się osiągnąć. Oczyma wyobraźni widział już, jak wypakuje zawartość worka... przestał skupiać się na wspinaczce, co natychmiast się na nim zemściło. Stopa ześlizgnęła się z płytkiego wcięcia, dłonie nie zdołały utrzymać połączonego ciężaru jego ciała oraz bagażu i będąc już prawie w jednej czwartej wysokości udał się na gwałtowne spotkanie z drapiezną plażą poniżej.

Sprzyjało mu połowiczne szczęście. Co prawda niczego sobie nie złamał, zaś bagaż, jakimś cudem, przetrwał upadek, jednakże dwa palce u lewej dłoni, wskazujący i środkowy, były wygięte pod nienaturalnym kątem. Wędrowca oblał pot wynikający z przebijającego się do jego umysłu uczucia silnego bólu spowodowanego nie tylko upadkiem, ale, przede wszystkim, wybitymi palcami. Dodatkowo wiedział, że jeśli ich nie nastawi, nie będzie w stanie się wspinać.

Zacisnął więc mocno zęby, aż zazgrzytało szkliwo i pociągnął silnym ruchem oba palce, umieszczając je z powrotem w stawach. Spróbował zacisnąć pięść, co udało mu się, choć nie bezboleśnie. Palcami dało się poruszać, a ścięgna, choć mocno naciągnięte, nie zerwały się. Nie miały one jednak jeszcze pierwotnej siły chwytu.

Niestety, przez nieuwagę wydłużył swoją wędrowkę. Musiał poczekać, aż ciało dojdzie do siebie. Ponowne, natychmiastowe podjęcie próby wspinaczki wiązało się bowiem z ponownym upadkiem. Przysiadł więc, opierając się plecami o ścianę skarpy, z workiem leżącym przed nim i kotłującymi się wspomnieniami.

Teraz wiedział, że to dobry czas i miejsce, aby sięgnąć po kilka z nich. Chwycił więc pierwsze, najbardziej ruchliwe i przyjrzał mu się dokładnie. Było jaskrawe, ewidentnie dojrzałe, zaś zapach przywodził na myśl świeżo upieczony chleb. Poczuił jak, mimowolnie, ślina wypełnia mu usta. Wgryzł się w nie z niecierpliwością, zaś smak uderzył go feerią barw, które z wolna blakły i przekształcały się w obraz drewnianej chałupy pokrytej strzechą ledwie widoczną spod zwałów białego, zimnego puchu. Z komina leniwie sączył się siwy dym, zaś wokół zalegał śnieg. Jedyne, małe okienko, dzielone

na czworo, emanowało ciepłym, pomarańczowym światłem, zaś blask Księżycy w Pełni nadawał scenie kolorytu sennego poranka, choć była późna noc.

Interesujące, jak ludzie widzą wspomnienia. Nie są one, zazwyczaj, pierwszoosobowe. Niczym sny, ogląda się je z perspektywy oddalonej od głównego bohatera, co wytwarza niezbędny dystans do minionych wydarzeń. Wędrowiec widział więc siebie samego przez to małe okienko. Widział, jak siedzi przy ławie ze swoją rodziną; jak jego matka sięga po porcję kaszy z omastą; jak jego żona zdejmuje żeliwny gar z pieca, odstawia go na bok i układa równo fajerki, aby ogień nie zmarł. Na blasze pieca syczały i czerniały ćwiartki kartofli, które już za moment jego córka, parząc sobie język i wargi, będzie wpychała ze smakiem do ust. Zza zapiecka natomiast, zwabiony zapachem roznoszącym się po izbie, wychynął staruszek, jego ojciec, który zaczął węszyć, uśmiechając się bezzębnie. Kiedy jego małżonka odstawiała garnek na ułożone fajerki, sięgnęła do drzwiczek pieca chlebowego otwierając je na oścież. Chwytiła za wiosło i wprawnym ruchem, za jego pomocą, wyciągnęła z żarzącej się pieczary parujący bochen brązowego dobra.

Sielanka sceny chwyciła Wędrowca za serce. Poczul straszliwy żal, którego nijak nie potrafił zatamować, a który przelewał się przez wszystkie tamy, jakie dotychczas wzniósł. Wreszcie zaczęły one pękać, jedna po drugiej, uwalniając dławiące uczucie w przełyku i gniotąc niemiłosiernie klatkę piersiową, powodując suchy i niedający ulgi szloch. Trudno mu było zapanować nad sobą więc, aby odsunąć od siebie to dławiące uczucie bezsilności, sięgnął po kolejne wspomnienie. Miało ono kolor zgnitej zieleni i pachniało czerwcowym lasem w samo południe. Smak zaś miało wyraźnie mdły, lekko słonawy.

Scena, której się przyglądał, przedstawiała setki ciemnobrązowych słupów, sięgających zielonego sklepienia. U stóp tych słupów rozciągał się miękki dywan z mchu i wyrastających ponad niego paproci. W jednym ze skupisk tych roślin leżał bez ruchu Wędrowiec ściskając w dłoni siekiere. Pomiędzy słupami przemykały uzbrojone w karabiny cienie w mundurach. Przypomniał sobie, że Pan mówił o nadciągającej wojnie, o odzyskaniu kraju, o roli ich, chłopów, w wyprostowaniu historii. Wędrowiec jednak niewiele zrozumiał z tej przemowy. Jego zadaniem przecież była praca na roli i pilnowanie Pańskich lasów. I to właśnie czynił, gdy zauważył w oddali ruch. Nie chciał ryzykować więc skrył się w paprociach. Cienie przemykały szybko i sprawnie, zaś Wędrowiec wciągał zapach runa leśnego w zupełnym bezruchu. Leżał tak jeszcze przez chwilę, po czym, rozejrzawszy się wokół, postanowił wstać i udać się do domu. Co prawda cienie szły w zupełnie innym kierunku, niż znajdowała się jego chałupa, jednak uznał, że lepiej nie ryzykować. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wtem, gdy podnosił się z ziemi, usłyszał strzał. Był prawie pewien, że dochodził on od strony jego domu. W tym przekonaniu upewnił go przenikliwy pisk wydobywający się z gardła jego żony.

Wędrowiec gwałtownie ocknął się ze wspomnienia. Bezwiednie zaciskał szczękę i pięści, które pobielaly i zaczęły go boleć. Wystarczy, pomyślał. Należało jak najszybciej wrócić do wspinaczki. Nie mógł przecież w nieskończoność tego przeciągać. Szczególnie, że wiedział jak bolesnym procesem jest wgrzanie się we własne wspomnienia.

Wstał, rozruszał ręce i nogi, przerzucił ponownie wór przez ramię i ruszył ku górze. Tym razem nie tylko upór go napędzał, ale również świeżo rozdrapana przez sięganie do wspomnień rana, która nie tyle nie zdążyła się zagoić, ile zwyczajnie wdało się w nią zakażenie. Czy miało ono być śmiertelne w skutku, czy może uda się znaleźć na nie jakieś lekarstwo, tego nie wiedział. Nadzieja pomagała jednak bólowi sięgać rękoma ku szczytowi skarpy, aż wreszcie, po kilku godzinach morderczej pracy Wędrowiec dotarł na miejsce.

Stojąc przed wieżą człowiek spostrzegł, że sprawiała ona jeszcze bardziej monumentalne wrażenie niż z dołu. Jej szczyt, będący iglicą podobną do kozłogo rogu, zdawał się rozszarpywać całe niebo na dwoje, gdy natomiast podszedł bliżej zauważył, że ze skręconych ścian sączy się czerwona ciecz. Wyglądało to tak, jakby naprawdę ktoś wyżył wieżę. Ciecz skapywała po powierzchni ścian i zbierała się w rozległych, choć płytkich kałużach wokół budowli, niczym fosa.

Wejście do wieży nie znajdowało się od strony klifu. Wędrowiec musiał ją więc obejść dookoła, aby znaleźć jakieś drzwi. O ile jakiegokolwiek drzwi do jej wnętrza prowadziły.

Drzwi jednak znalazły jego. Idąc wokół monumentalnej konstrukcji i przyglądając się jej ścianom nie zauważył stojącej na jego drodze kobiety i wpadł w nią z impetem. Oboje upadli w kałużę czerwonego płynu. Wędrowiec spojrział ze złością na postać leżącą przed nim, lecz natychmiast się zmiętył widząc, że ta płacze. Uznał, że musiał zrobić jej jakąś krzywdę, gdy w nią wpadł więc wstał natychmiast i podszedł bliżej, podając dłoń. Kobieta spojrzała na niego wilgotnymi od łez oczyma i, po chwili wahania, sięgnęła ku wyciągniętej dłoni.

– Przepraszam, nie zauważyłem pani. Wszystko w porządku? – rzekł ze wstydem mężczyzna. Kobieta, zanim odpowiedziała, przyglądała mu się chwilę, jakby ważąc jego słowa i zastanawiając się, czy aby na pewno są szczerze.

Pojedynek spojrzeń przedłużał się, a Wędrowiec zaczął czuć się nieswojo. Wreszcie kobieta, chyba uznawszy, że przeprosiny były szczerze, uśmiechnęła się delikatnie i pokiwała głową. Nic porozumienia, która w tej chwili się zawiązała, popchnęła mężczyznę do większej śmiałości:

– Czy wie pani może, gdzie jest wejście do tej wieży? – zapytał pełen nadziei.

Odpowiedź, jaką usłyszał, zbiła go z tropu.

– Lubisz zagadki? Powiem ci, gdzie jest wejście, jeśli uda ci odgadnąć zagadkę – odparła z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Nie jestem pewien, co ma pani na myśli. Nigdy nie byłem dobry w zgadywaniu – ciągnął rozmowę Wędrowiec – mogę spróbować. Ostatecznie, jeśli ją odgadnę, dowiem się, gdzie jest wejście do wieży. Jeśli nie, to sam go poszukam.

Kobieta nagle spowaźniała, usłyszawszy co powiedział mężczyzna. Spojrzała na niego twardo, zacisnęła mocno usta, zmrużyła oczy i rzekła dźwięcznym, melodyjnym głosem:

– Obawiam się, że to nie takie proste, Pielgrzymie.

– Nie odbywam pielgrzymki – odparł szybko i stanowczo zanim zdołał ugryźć się w język. Poczł się zaatakowany, musiał się bronić.

– Odbywasz, lecz jeszcze sobie tego nie uświadomiłeś. Pielgrzymowanie jest prawie tym samym co wędrówka, z tą jednak różnicą, że na końcu pielgrzymki masz szansę otrzymać roz-greszenie. To od ciebie zależy, czy do tego dojdzie.

– Czy to twoja zagadka? – Wędrowiec porzucił kurtuazję zwracając się do kobiety. Człł się poirytowany i bardzo zmęczony. Pragnął już wejść do wieży i zakończyć podróż. Dopóki jed-nak ona trwała, nie mógł liczyć na wytchnienie.

– Nie. Moja zagadka brzmi zdecydowanie prościej: Co to jest? Wisi na gałęzi i choć jest już dojrzałe, nie spada?

Wędrowca złał zimny pot, zaś gęsia skórka prawie boleśnie postawiła mu włosy na rękach. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie mógł zgadywać – znał przecież odpowiedź. Myśli i wspomnienia kłębiły mu się w głowie coraz szybciej, coraz boleśniej. Zawartość worka, który cały czas miał przewieszony przez ramię, zaczęła się gwałtownie poruszać, a w głowie brzmiało mu jedynie: DLACZEGO?! DLACZEGO?! DLACZEGO?!

Z obrzydzeniem zdjął z siebie worek i rzucił go na ziemię. Prowizoryczny sznurek wykonany z kawałka koszuli pękł, wypuszczając z worka najgorsze z możliwych wspomnień. Pachniało pogorzelskiem i sadzą. Oraz krwią.

Duszne, letnie powietrze wypełnione było czarnym dymem. Chałupa, będąca nośnikiem bezpieczeństwa, spokoju i miłości, płonęła, a huk ognia wręcz ogłuszał. Wędrowiec nadbiegał od strony lasu, widząc jedynie tylną część budynku. Biegł co sił w nogach odrzucając siekię, by ta mu nie przeszkadzała. Przed domem leżały cztery poskręcane ciała. Każde z nich otoczone było własną, czerwoną fosą. Krwawe aureole. Wędrowiec jednak jeszcze tego nie widział. Dopiero, gdy szerokim łukiem ominął płonący dom i wybiegł na ścieżkę, dopiero wtedy ujrzał scenę w pełnej krasie. Widok ten sprawił, że stanął jak wryty, jednak niedowierzanie wzięło górę. Musiał sprawdzić, dotknąć i poczuć. To nie mogło się dziać.

Wszyscy nie żyli. Matka leżąca obok ojca, wyciągająca ku niemu rękę. Ojciec, zastygł w próbie osłonięcia się przed strzałem, który, ostatecznie, pozbawił go tchu i tętna. Żona, zamarła w ostatniej próbie doczołgania się do swego dziecka.

– Tato...

Wspomnienie zamigotało, a wszystko wokół osnuła nieprzebrana czerń. Jedyнным ja-snym punktem był on tulący córkę, z której życie szybko wyciekało mu przez palce. Próbował ją uspokoić, lecz ona już była spokojna. Spojrzał na jej zastygłą w wyrazie zdziwienia twarz, szkliste oczy i czerwień rozlaną na jasnej sukience, którą wręczył jej w prezencie poprzedniego dnia. Pamiętał jej radosny śmiech i wdzięczne całusy na szorstkim policzku. Pamiętał ciepło oplatających mu szyję, drobnych dłoni, które już na zawsze stały się wyrazem wiecznego spokoju. Krzychał tak głośno i długo, aż poczuł w ustach smak krwi ze zdartego gardła.

– Dlaczego mi to robisz?! – zapytał głośniejsz, niż zamierzał. Głos mu się łamał, broda drgała, a łzy lały się strumieniami.

– Przykro mi. To nie jest prawidłowa odpowiedź – odezwała się kobieta głosem jego córki.

Otworzył oczy by się jej przyjrzeć, lecz nie zauważył przed sobą nikogo. Stał natomiast samotnie na brzegu morza, a mokry piasek plaży chłodził mu stopy. Westchnął i ruszył przed siebie. Na horyzoncie majaczył wysoki klif, na nim zaś stała wieża. Zaciśnął mocniej palce na brzegu płóciennego worka i ponownie rozpoczął wędrówkę, zaś słońca mgiełka raz za razem uderzała w jego twarz, gdy szedł wzdłuż brzegu morza.

